www.tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 9 (895)
27.02-5.03.2017
Cena 5,80 zł
(w tym 8% VAT)

Krzysztof Blusz: PiS w potrzasku

Bogusław Liberadzki: Unia odetnie nas od pieniędzy | **Isabelle Huppert:** Aktorka w świecie macho | Ucieczka z piekła Boko Haram | Kerala – indyjska enklawa równości

Ilu wyklętych to mordercy?

BANDYTA NA POMNIKACH

Józef Kuraś „Ogień”

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

rampa
TEATR PRZYJAZNY
musical ANDREW LLOYDA WEBBERA
& TIMA RICE'A
JESUS CHRIST
SUPER STAR
★★★★★
JEZUS ŚPIEWA BOSKO
Jakub Panek, Gazeta Wyborcza
oryginalna inscenizacja i reżyseria
JAKUBA WOCIALA I SANTIAGO BELLO
powrót legendarnej rock opery
po sukcesie w 2016
SPEKTAKLE TYLKO
W MARCU I KWIETNIU
Teatr Rampa w porozumieniu z The Really Useful Group Ltd prezentuje
BRITISH COUNCIL
TVP 3 WARSZAWA
radio wawa ZAWSZE POLSKA MUZYKA
WP
DZIENNIK TEATRALNY
eBilet.pl
empik
zakochaj się w Warszawie

CYTATY

JERZY URBAN, REDAKTOR NACZELNY
Każdy rzecznik jest gadającą głową, chyba że jest gadającym półgłówkiem.
„Nie”

MARIAN PILOT, PISARZ
Sarmacka Polska była koszmarnym, niewolniczym państwem, w którym chłop był z bydlęciem zrównany.
„Tygodnik Powszechny”

AGATA PASSENT, FELIETONISTKA
Jak najbardziej jestem za reformą edukacji. Zróbcie świecką szkołę.
„Twój Styl”

PIOTR FRONCZEWSKI, AKTOR
Nie zostałem aktorem dla poklasku. Zostałem nim, by być kimś, kim nie jestem.
„Wysokie Obcasy”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Wyklęci nieświęci

Coraz bezczelniejsza narodowa prawica wybrała sobie Hajnówkę jako miejsce demonstracji siły. Nieprzypadkowo. Marsz gloryfikujący Romualda Rajsa „Burego” i jego zbirów mających na sumieniu śmierć kilkudziesięciu furmanów żyjących w tej okolicy to przesłanie dla rodzin ofiar: Nie jesteście u siebie. Jako prawosławni nie macie w Polsce takich praw jak katolicy.

Jakim trzeba być degeneratem, żeby z imieniem morderców na bannerach pojechać pod domy krewnych ofiar! A temu deptaniu godności obywateli Polski przyglądają się biernie władze RP i hierarchia Kościoła katolickiego. Na protesty przeciwko spektaklowi „Klątwa”, in vitro, pigułce „dzień po” biskupi mają czas. Są nawet nadaktywni. A na fałszowanie historii i gloryfikację morderców nie reagują. Na to są jakoś przeraźliwie głusi. Miał rację Paweł Kukiz, gdy napisał, że jeśli domagamy się od Ukraińców zmiany podejścia do UPA, najpierw powinniśmy rzetelnie się przyjrzeć „wyklętym”. Nawet tak stronnicza instytucja jak IPN ma przecież setki tomów akt, które w sposób oczywisty wykluczają wielu gloryfikowanych dziś „wyklętych” z grona bohaterów. To IPN pisał o „Burym”, że „zabójstwa furmanów były działaniami zmierzającymi do wyniszczenia części tej grupy narodowej i religijnej, a zatem należącymi do zbrodni ludobójstwa, wchodzących do kategorii zbrodni przeciwko ludzkości”. Wiedząc, że „Bury” ma na sumieniu także śmierć kobiet i dzieci, narodowcy kolejny raz zbierają się, aby sadystycznie deptać groby jego ofiar i zastraszać żyjące rodziny. Podobnie jest na Podhalu, gdzie pomniki kata Podhala odsłaniali były prezydent RP i biskupi.

Neofaszystowska prawica już nie musi kryć twarzy pod kominiarkami. Może, za zgodą władz, jątrzyć i prowokować. Jest przecież ideowym spadkobiercą tych, którzy mordowali po wojnie okoliczną ludność. Czy w jednej grupie mogą być postacie tak skrajnie różne jak „Bury” i „Ogień” oraz rtm. Pilecki? Przecież traktowanie ich w jednakowy sposób to oczywista paranoja. Prezydent Duda nie widzi między nimi różnicy, podobnie jak nie widzi różnic w wielu innych ważnych sprawach. A organ o. Rydzyka idzie jeszcze dalej i raduje się, że podziemna armia wraca. Pozostaje mi więc zapytać: A kiedy wróci rozum i przemówią fakty?

FAULE

Prawicowi cenzorzy

Aktorka Julia Wyszyńska została wyrzucona z serialu „Na dobre i na złe” emitowanego w TVP 2. Ukarano ją za udział w przedstawieniu „Klątwa” – poinformował portal wPolityce.pl. – Ta pani sama podjęła decyzję o zerwaniu współpracy z TVP, dokonując aktu zbezczeszczenia postaci świętego Jana Pawła II. Takich rzeczy nie można akceptować – nadymał się Jacek Kurski, szef TVP.

Naczelny propagandysta „dobrej zmiany” myślał, że „ciemny lud to kupi”. Prawdziwych jednak było tylko pierwszych pięć słów jego wypowiedzi. Aktorka już 21 grudnia pożegnała się z serialem. Kurski obudził się dwa miesiące za późno.

Na „Klątwę” można pójść albo nie. Nagonka prawicy na Teatr Powszechny ma odwrócić uwagę od głównych tematów spektaklu. Od tolerowania i ukrywania przez Kościół pedofilii, od krytyki nadużyć w Kościele i społecznej hipokryzji. Nie odwróci!

BĄKOWSKI

eprasa.pl cc63cee1ad

W NUMERZE

KRAJ

8 **Bandyta na pomnikach**
Ilu wyklętych to mordercy?

13 **Europa w czasach niepewności**
– rozmowa z Krzysztofem Bluszem

17 **CETA – polski punkt widzenia**
Daleka Bruksela bliska ludziom

18 **Jak prezes Kurski zadbał o kasę**
TVP płaci składki ZUS i je odbiera

20 **Zakopany za milion złotych**
Zbigniewa O. zakopano żywcem

42 **Metropolie wysysają powiaty i gminy**
– rozmowa z dr Elżbietą Sękowską-Grodzicką

50 **Reporterskim zezem na III RP**
Diagnozy Tadeusza Zakrzewskiego

ZAGRANICA

23 **Ucieczka z piekła Boko Haram**
Korespondencja z Berlina

26 **Indyjski kraj Marksa**
Korespondencja z Kerali

30 **Słowo znów zniewolone**
Amerykańscy studenci protestują

32 **Barcelona chce rozwodu**
Korespondencja z Katalonii

KULTURA

36 **Świat kina to świat macho**
– rozmowa z Isabelle Huppert

39 **Alicja w krainie swarów**
Kłopoty Warszawskiej Opery Kameralnej

40 **Qulturalia**

66 **Nature morte**

OPINIE

44 **Bogusław Liberadzki**
Chmury i szanse na horyzoncie

46 **Wiesław Żółtkowski**
Najpierw zarobić, potem wydawać

ZDROWIE

54 **Rekordziści z Okinawy**
Co jedzą i piją japońscy stulatkowie

OBSERVACJE

58 **Dwie twarze Iranu**
World Press Photo

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Wyklęci nieświęci

35 **Tomasz Jastrun**
Rzeź nie tylko drzew

49 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Horror gore, czyli feralna kluseczka

53 **Edward Mikołajczyk**
Ho, ho, ile jest roboty w sporcie!

36
KULTURA

ŚWIAT KINA TO ŚWIAT MACHO
– rozmowa z Isabelle Huppert

54
ZDROWIE

REKORDZIŚCI Z OKINAWY
Co jedzą i piją japońscy stulatkowie

58
OBSERWACJE

DWIE TWARZE IRANU
World Press Photo

Projekt: Iza Mierzejewska
Fot. Archiwum

eprasa.pl cc63cee1ad

SANATORIUM, ALE JAKIE?

Renata Górna, radca OPZZ, w tekście „Milczący »dialog« zdrowotny” (PRZEGLĄD nr 8) pisze o potrzebie dalszego rozwoju lecznictwa uzdrowiskowego (sanatoryjnego).

MILCZĄCY „DIALOG” ZDROWOTNY

W Szwecji praktycznie nie ma leczenia sanatoryjnego, natomiast znacznie lepiej niż u nas rozwinięta jest rehabilitacja w miejscu zamieszkania. Z powodu poważnego urazu kręgosłupa dwa razy korzystałem z leczenia sanatoryjnego. Koszt jednego pobytu to ok. 2 tys. zł, z czego same usługi rehabilitacyjne to ok. 400 zł, pozostałe 1,6 tys. zł – koszt zakwaterowania i wyżywienia. Do sanatorium przyjeżdżała zawsze liczna grupa kuracjuszy. Lekarz sanatoryjny na zaordynowanie zabiegów mógł poświęcić średnio 10 minut na osobę. W moim przypadku były to zabiegi nie tylko częściowo nietrafione, ale nawet szkodliwe.

Co ważniejsze, pacjent często potrzebuje rehabilitacji natychmiast. Tymczasem po załatwieniu formalności dostaje skierowanie na turnus... za kilka miesięcy albo kilka lat. Czy to ma sens? Inna sprawa, że są tacy, którzy jeżdżą do sanatorium i dwa razy w roku, a rehabilitacji nie potrzebują. Z moich obserwacji wynika, że takich osób jest połowa, a w sanatoriach w Zakopanem czy Krynicy-Zdroju nawet więcej.

Bolesław Kot, Wadowice

NIE DAM SOBIE ODEBRAĆ GŁOSU

PYTANIE TYGODNIA | Jakie zmiany w Kodeksie wyborczym są naprawdę potrzebne?

Wśród odpowiedzi na pytanie: „Jakie zmiany w Kodeksie wyborczym są naprawdę potrzebne?” (PRZEGLĄD nr 4) nie spodobała mi się wypowiedź prof. Małgorzaty Fuszary. „Mimo wad proporcjonalny system wyborczy jest lepszy niż większościowy. (...) Dlatego powinniśmy wrócić do systemu proporcjonalnego w wyborach na wszystkich szczeblach, także w najmniejszych gminach”. Tego typu wypowiedzi wprowadzają Polskę samorządową do Polski totalitaryzmu partyjnego. Nie przekonuje mnie powoływanie się na przykład Senatu. Jednomandatowy system wyborów do Senatu niczego nie zmienił, bo nie został zmieniony art. 108 konstytucji. W wyborach do Senatu wyborca ma podmiotowość do momentu wrzucenia głosu do urny. Potem staje się przedmiotem gierek i decyzji warszawskich central partyjnych. Aby wyborca czuł się obywatelem, mandat posła czy senatora powinien zależeć od wyborców w okręgu. Bardzo podoba mi się natomiast propozycja Rafała Górskiego dodania na kartach wyborczych kratki „żaden z powyższych” – opcji dla obywateli, którzy chcą uczestniczyć w wyborach, ale nie popierają żadnego z przedstawionych kandydatów. Od lat chodzę na wybory, ale nie oddaję ważnego głosu na listy partyjne. Przekreślam całą kartkę, dopisując niekiedy: „głos świadomie nieważny”. Głos ważny oddaję jedynie na przedstawiciela, którego mandat zależy od wyborców, czyli prezydenta miasta. I to chce mi pani prof. Małgorzata Fuszara odebrać?

Józef Brzozowski

ZA TYDZIEŃ

EDUKACYJNA SEKSFIKCJA
– wychowanie do życia w rodzinie według PiS

SIMONE MORO
– wspinacz i pilot ratuje życie w Himalajach

POLSKIE TEATRY KOCHAJĄ GOGOLA
– „Ożenek” po nowemu

ZDJĘCIE TYGODNIA

Bez pruderii i bez klątwy – papież Franciszek ogląda występ cyrku podczas cotygodniowej audiencji generalnej w Auli Pawła VI.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl cc63cee1ad

★ **Agnieszka Holland** za film **„Pokot"** otrzymała na festiwalu w Berlinie **Srebrnego Niedźwiedzia – Nagrodę im. Alfreda Bauera** „za otwieranie nowych perspektyw w sztuce filmowej".

★ **Tygodnik „Polityka",** najstarszy i największy tygodnik społeczno-polityczny w kraju, obchodzi 60-lecie. Zespołowi redakcyjnemu gratulujemy dobrej formy i życzymy, by kolejne rocznice mogły być obchodzone w lepszych dla Polski czasach.

★ **Ministerstwo Kultury** zablokowało plany postawienia budynku biurowo-usługowego w założonym w XVII w. ogrodzie sióstr szarytek na skarpie wiślanej. Przeciwko inwestycyjnym zapędom zakonu byli też stołeczny i wojewódzki konserwator.

★ **„Walizka" Małgorzaty Sikorskiej-Miszczuk** w reżyserii Wawrzyńca Kostrzewskiego **otrzymała grand prix I edycji festiwalu TEATROTEKA FEST.** Także dziennikarze i krytycy uznali ten spektakl za najlepszy.

★ **Bartłomiej Kłoczko, wójt, i Rada Gminy Kruklanki pod Giżyckiem** podjęli decyzję o zmianie głównej ulicy w osadzie z 22 Lipca na… 22 Lipca, tyle że teraz nie symbolizuje ona już niczego poza datą w kalendarzu.

★ **Industriada, czyli święto Szlaku Zabytków Techniki Województwa Śląskiego,** organizowane raz w roku na Górnym Śląsku, aby każdy mógł zwiedzić kopalnie, osiedla robotnicze, browary i fabryki, **otrzymała Złoty Certyfikat 2016 jako najlepszy produkt turystyczny roku.**

✖ **Ponad 11 mld zł długów mają szpitale publiczne.** Do natychmiastowego spłacenia dostawcom usług, sprzętu i leków jest 2,1 mld zł.

✖ **90 tys. Polaków,** którzy osiągnęli wiek emerytalny, **nie otrzymuje żadnej emerytury** z powodu braku odpowiedniego stażu pracy.

✖ **Radosław Włoszek,** były asystent premier Szydło, powołany na prezesa Międzynarodowego Portu Lotniczego w Krakowie-Balicach, **był w październiku ub.r. sprawcą groźnego wypadku samochodowego,** ale Sąd Rejonowy w Chrzanowie warunkowo umorzył sprawę.

✖ **Premier Szydło lata na weekendy do domu,** co byłoby nawet chwalebne, gdyby nie to, że mimo wielu środków lokomocji, jakimi dysponuje, korzysta z wielkopańskiego gestu Macierewicza i podróżuje **wojskowym samolotem CASA.** Za bagatela 34 tys. zł od lotu.

✖ **Paweł Knap,** starszy specjalista **ze szczecińskiego oddziału IPN,** z pewnością zrobi w tej firmie karierę. Dlaczego? Domaga się, by Szkoła Podstawowa nr 14 im. Związków Zawodowych w Szczecinie zmieniła nazwę na im. Wolnych Związków Zawodowych.

PRZEBŁYSKI

ZALEWSKA NIE ODMAWIA TYLKO KSIĘŻOM

Anna Zalewska to kobieta z nietypowym poczuciem humoru. W rozmowie z „Rzeczpospolitą" zwierzyła się, że „już tydzień po objęciu posady przystąpiła do uwalniania rodziców od trosk". I słowo Zalewskiej stało się ciałem. Po 15 miesiącach jej rządów Polska jest najszczęśliwszym krajem na świecie. Rodzice uwolnieni przez Zalewską od trosk nudzą się jak mopsy. A dzieci? Te z radością czekają na 1 września i pokaz kosmicznego bałaganu, który zafundowała im „dobra zmiana".

A było to, biedne dzieci, tak. Pani Zalewska między lutym a czerwcem zeszłego roku ciężko pracowała w soboty i niedziele z doradcami. Tak ciężko, że w parę weekendów urodzili „kręgosłup podstaw programowych". A co to jest? Tego nie wie nikt. I właśnie to nieznane zobaczycie we wrześniu.

Tylko Kościół nie dał się nabrać na ten pic Zalewskiej i ogłosił, że prace nad podstawą programową do religii mają potrwać dwa lata. Zalewska nawet nie pisnęła. Biskupom przecież w Polsce się nie odmawia.

KALENDARZ MACIEREWICZA

Były fan Che Guevary i klimatów południowoamerykańskich, dorabiający do emerytury jako polityk, okazał się utalentowanym wynalazcą. Kto mógł się spodziewać, że to właśnie on, Antoni Macierewicz, zostawi po sobie nowy, oryginalny, wręcz unikatowy kalendarz. Dzieło Macierewicza jest adresowane do ludzi, którym się śpieszy. Nasz nadwiślański geniusz wymyślił taki kalendarz, w którym wszystko, co zechcemy, stanie się bardzo szybko. W miesiąc, góra dwa. A najtrudniejsze problemy rozwiążemy w rok.

Macierewicz nie jest teoretykiem. Lubi praktykę. I lubi pokazuchy. Pokazał więc, jak się obsługuje jego kalendarz. 16 października zapowiedział, że pierwsze black hawki będą do końca 2016 r. (!). A 18 stycznia ogłosił, że pierwsze dwa śmigłowce będą na przełomie stycznia i lutego (!). Słowa Macierewicza są jak jego kalendarz. Takie Macierewiczowskie UFO.

HUCPIARZ TARCZYŃSKI

Żaden teatr, nawet Powszechny, żaden reżyser, nawet Oliver Frljić z „Klątwą", nie jest w stanie dogonić kogoś tak pokrętnego jak Dominik Tarczyński z PiS. Kiedyś zarabiał na życie, organizując pielgrzymki do Włoch i Izraela. Pielgrzymki, po których naciągnięci ludzie pisali: „Tarczyński jest agresywny, arogancki, wyłudził od każdego po 45 euro". „To cwaniak żerujący na zaufaniu poczciwych, wierzących ludzi". „Tarczyński zgrywa świętego, a jest oszustem i naciągaczem". Mnóstwo jest tych żalów. Tarczyński ma je jednak tam, gdzie kończą mu się plecy.

Pisowiec lata sobie po całym świecie, a wyborcom przesyła fotki z Hawajów, Meksyku, Tajlandii. Sprowadzał do Polski uzdrowiciela z Ugandy, który według Tarczyńskiego wskrzesza umarłych, i Syryjczyka, któremu osobiście objawił się Jezus. A do Wałęsy napisał: „Zapraszam Cię na solo, bydlaku". Wydzierał się na posłankę Pomaską: „Siadaj, wstrętna babo". Teraz walczy z „Klątwą". Jest wizytówką protestów. Pasuje do tych obsesji jak ulał.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2), WIKIPEDIA, ARCHIWUM

eprasa.pl cc63cee1ad

www.sklep.mleczko.pl www.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy służba zdrowia przeżyje rządy ministra Radziwiłła?

DR MAREK BALICKI,
psychiatra, były minister zdrowia

Niektóre wprowadzane zmiany mogą tak przeorać system, że pogorszy się dostęp części pacjentów do opieki zdrowotnej, co będzie wymagało działań naprawczych. Powinniśmy wreszcie ustalić, ile, gdzie i jakich szpitali potrzeba, żeby ludzie czuli się bezpiecznie. Tego problemu nie rozwiązuje ustawa ministra Radziwiłła. Zamiast tego nakłada dodatkowe wymagania na istniejące placówki. W efekcie w niektórych miejscach szpitali i oddziałów będzie mniej, co grozi ograniczeniem dostępu do leczenia. Druga główna zmiana dotyczy finansowania szpitali: będą miały wyznaczany łączny budżet na dany rok, niezależny od liczby przyjętych pacjentów czy wykonanych procedur. Przejście z obecnego, mocno niedoskonałego systemu na zupełnie odwrotny może spowodować duży bałagan, dlatego bezpieczniej byłoby wprowadzić system mieszany. Podsumowując, ustawa nie rozwiąże żadnego z podstawowych problemów szpitali, a może być źródłem nowych.

DR N. MED. PIOTR KRASUCKI,
emerytowany adiunkt Zakładu Zdrowia Publicznego WUM

Dopóki będą żyli pacjenci, służba zdrowia będzie istnieć. Jest jednak źle, a prawdopodobnie będzie jeszcze gorzej. Żadna dotychczasowa ekipa, łącznie z ekipami Ewy Kopacz i Zbigniewa Religi, którzy byli lekarzami, nie potrafiła zrozumieć, że dobre funkcjonowanie ochrony zdrowia musi być oparte na bardzo dobrym funkcjonowaniu lekarzy pierwszego kontaktu. Tymczasem utarło się, że jedynym prawdziwym lekarzem jest klinicysta, który stoi przy łóżku chorego, a jedyną prawdziwą medycyną – medycyna szpitalna. W rzeczywistości prawdziwą medycyną jest medycyna pierwszego kontaktu. Gdy sprawnie działa podstawowa opieka zdrowotna (POZ), w większości przypadków szpital jest niepotrzebny. Wszystkie dotychczasowe reformy rozbijały się o nieuwzględnianie priorytetu podstawowej opieki zdrowotnej i tak będzie tym razem.

URSZULA MICHALSKA,
przewodnicząca Federacji Związków Zawodowych Pracowników Ochrony Zdrowia i Pomocy Społecznej

Minister Radziwiłł od początku wzbudzał kontrowersje, ale dostał od nas kredyt zaufania. Na razie jednak zamiast jakichkolwiek zmian na lepsze mamy jedno wielkie zamieszanie. Nie dostrzega się ani pracowników ochrony zdrowia, ani pracodawców. Trudno to wytrzymać, ale przeżyjemy te rządy, bo jesteśmy już uodpornieni na różne decyzje polityczne. Przyzwyczailiśmy się do rewolucyjnych zmian w lecznictwie. Od ściany do ściany: albo system w pełni budżetowy, albo ubezpieczeniowy itd. Największe konsekwencje ponoszą oczywiście pracownicy i pacjenci.

ELŻBIETA ZAKRZEWSKA,
dyrektor Samodzielnego Publicznego ZOZ w Mysłakowicach

Służba zdrowia przeżyje każdego ministra, ale należy się zastanowić, do czego doprowadzą rządy ministra Radziwiłła. Moim zdaniem do zmniejszenia dostępu do leczenia, zwłaszcza na terenach wiejskich. Tamtejsze samorządy z trudem utrzymują podstawową opiekę zdrowotną i mają ogromne problemy z przyciągnięciem specjalistów. Lekarz pierwszego kontaktu jest tam jednocześnie internistą, pediatrą i ginekologiem, a jeśli trzeba – także anestezjologiem czy chirurgiem. Jeżeli pieniądze zaczną trafiać głównie do jednostek POZ zatrudniających wielu specjalistów, lekarze pouciekają z prowincji. Po reformie malutkie ośrodki zdrowia, które w wielu gminach są jedynymi punktami ratunkowymi, po prostu przestaną istnieć.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl cc63cee1ad

Leszek Konarski

BANDYTA NA POMNIKACH

Józef Kuraś był w PPR, MO i UB, ale zdaniem historyków z IPN żaden z niego komunista

Władze Zakopanego nadal nie wiedzą, co zrobić z pomnikiem Józefa Kurasia „Ognia" i jego partyzantów, który 13 sierpnia 2006 r. został odsłonięty przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego w samym centrum miasta, przy ul. Kościuszki. Uroczystości nadano rangę państwową, „Ognia" nazwano bohaterem narodowym, wzorem dla młodzieży, dla którego liczyło się tylko hasło: Bóg, Honor i Ojczyzna. Choć nie wszyscy mieszkańcy Podhala tak myśleli i wielu nie było zadowolonych z pomnika, monument stoi, ale w obawie przed odwetem ze strony rodzin, które straciły bliskich z rąk podkomendnych „Ognia", całą dobę znajduje się pod specjalną opieką policji i jest monitorowany przez miejskie kamery.

Tymczasem przeciwnicy zakopiańskiego pomnika Józefa Kurasia otrzymali wielkie wsparcie ze strony Sejmu, który 1 kwietnia 2016 r. uchwalił ustawę o zakazie propagowania komunizmu lub innego ustroju totalitarnego przez nazwy budowli, obiektów i urządzeń użyteczności publicznej. Nakłada ona na samorządy obowiązek usunięcia w ciągu 12 miesięcy, licząc od 1 września 2016 r., wszystkich symboli komunistycznych. W pkt 2 tej ustawy jest stwierdzenie, że „za propagujące komunizm uważa się także nazwy odwołujące się do osób, organizacji, wydarzeń lub dat symbolizujących represyjny, autorytarny i niesuwerenny system władzy w Polsce w latach 1944-1989". A Józef Kuraś był członkiem Polskiej Partii Robotniczej, na terenie Nowego Targu organizował na polecenie NKWD Milicję Obywatelską i Urząd Bezpieczeństwa, przez kilka tygodni pełnił funkcję kierownika Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Nowym Targu. Czy to nie wystarcza do zburzenia pomnika?

RADNI BEZ GŁOSU

W grudniu zeszłego roku do przewodniczącego Rady Miasta Zakopanego Grzegorza Jóźkiewicza wpłynął formalny wniosek o usunięcie pomnika „Ognia" podpisany przez siedmioro członków rodzin żołnierzy Armii Krajowej i organizacji Wolność i Niezawisłość. Argumentowali oni właśnie, że w końcu stycznia 1945 r. Kuraś przez Gorce przyprowadził Sowietów do Nowego Targu, następnie od NKWD dostał polecenie utworzenia struktur MO oraz UB i przez kilka tygodni pełnił funkcję szefa PUBP. Był też działaczem PPR. Zanim wrócił do lasu, przyczynił się do wytropienia i aresztowania co najmniej pięciu byłych partyzantów AK, z których kilku zostało wywiezionych na Syberię.

Sprawa usunięcia pomnika „Ognia" była 20 stycznia przedmiotem obrad Komisji Kultury Rady Miasta Zakopanego. Na posiedzenie nie przybyli wnioskodawcy likwidacji pomnika, tłumnie zjawili się natomiast jego obrońcy z Grupy Rekonstrukcji Historycznych Zgrupowania Partyzanckiego „Błyskawica" im. mjr. Józefa Kurasia „Ognia" oraz z oddziału Światowego Związku Żołnierzy AK z Nowego Targu. Przewodniczący Komisji Kultury Maciej Wojak przypuszczał, że dojdzie do awantury, i nie pomylił się.

Radni Jacek Herman i Jerzy Jędryszak mówili, że Kuraś to bohater bardzo kontrowersyjny, dlatego pomnik nie dla wszystkich jest do zaakceptowania. A może wystarczy zmienić tablicę na nim i zamiast wyróżniania „Ognia" upamiętnić wszystkich, którzy w tym czasie zginęli? Natomiast Marcin Kania z Nowego Targu twierdził, że pomnika nie można tknąć, bo to jedyne miejsce w Zakopanem upamiętniające osoby pomordowane przez komunistów, przez to jest szczególnie ważny dla rodzin ofiar.

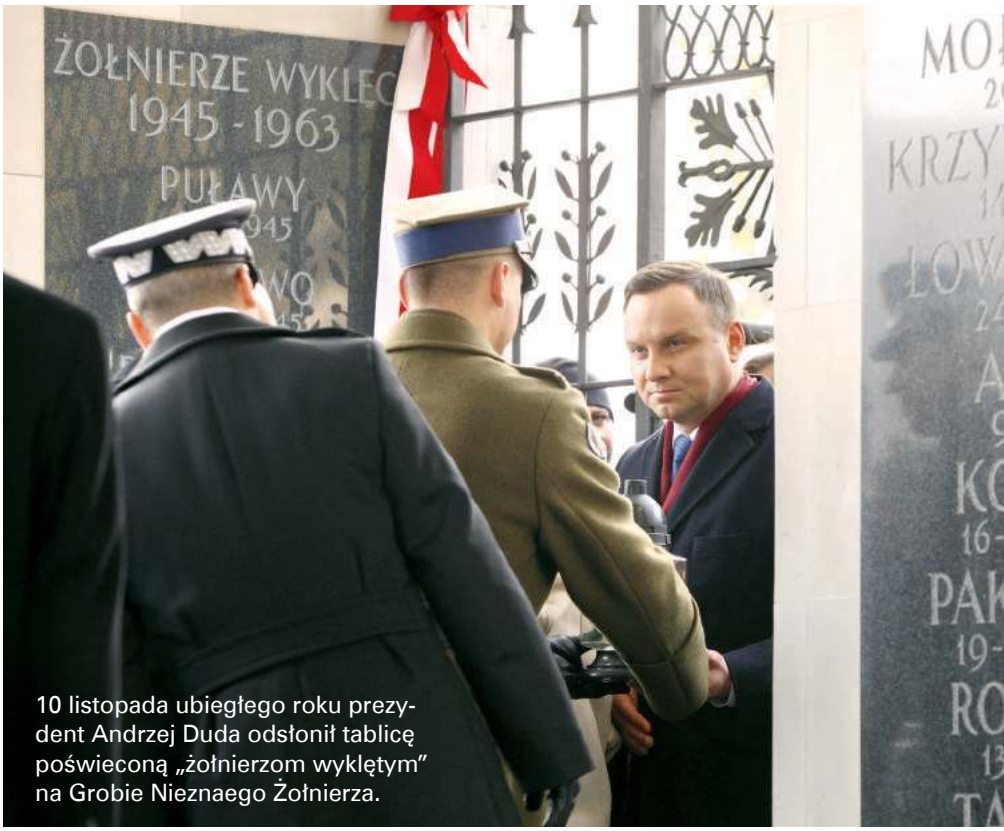

10 listopada ubiegłego roku prezydent Andrzej Duda odsłonił tablicę poświeconą „żołnierzom wyklętym" na Grobie Nieznaego Żołnierza.

eprasa.pl cc63cee1ad

Pomnik „Ognia" i jego partyzantów został odsłonięty w Zakopanem 13 sierpnia 2006 r. przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Nz. z synem Józefa Kurasia – Zbigniewem.

Czy to zatem pomnik ofiar komunistycznych represji, czy gloryfikacja członka komunistycznego aparatu terroru, funkcjonariusza MO i UB, jak piszą wnioskodawcy? Skoro rząd podjął uchwałę, samorząd musi ją wykonać. Tylko jaką decyzję mają podjąć zakopiańscy radni, skoro ustawodawca nie przewidział, że jedna i ta sama osoba może być żołnierzem Armii Krajowej, partyzantem Armii Ludowej i Batalionów Chłopskich, współpracować z NKWD, być w milicji i bezpiece, a na końcu zostać „żołnierzem wyklętym".

„Ogień" przyczynił się do wytropienia i aresztowania co najmniej pięciu byłych partyzantów AK. Kilku wywieziono na Syberię.

Przewodniczący Maciej Wojak, widząc, że za chwilę dojdzie na sali do awantury, przerwał dyskusję i stwierdził, że ocena „Ognia" jest sprawą tak bardzo skomplikowaną, że nie są w stanie niczego rozstrzygnąć. Zgodnie z przepisami wniosek musiał zostać przedstawiony, dyskusja się odbyła, lecz żadnej rekomendacji przewodniczącemu rady miasta nie przekażą. Pismo złożone przez rodziny żołnierzy AK i WiN trafi do działu prawnego urzędu miasta, by uzyskać opinię Instytutu Pamięci Narodowej. – Uznaliśmy, że komisja nie będzie zajmować stanowiska. To musi zrobić cała rada – powiedział dziennikarzom przewodniczący Wojak. – Wydaje mi się, że byłoby dobrze, gdybyśmy do Rady Ministrów skierowali apel o dopracowanie ustawy dekomunizacyjnej. Ludzi takich jak „Ogień" nie da się przecież jednoznacznie określić.

PATRIOTA?

Miejscy prawnicy z Zakopanego jeszcze nie zdążyli zredagować pisma do krakowskiego oddziału IPN z pytaniem, czy „Ogień" był komunistą, czy nim nie był, a już IPN wszystko ogłosił.

Trzy tygodnie po posiedzeniu zakopiańskich radnych, 13 lutego br., w „Gazecie Krakowskiej" ukazał się tekst „IPN: Józef Kuraś »Ogień« nigdy nie był komunistą, więc jego pomnik może zostać w Zakopanem!". Autor artykułu Tomasz Mateusiak rozmawiał z dr. Maciejem Korkuciem, naczelnikiem Biura Upamiętniania Walk i Męczeństwa IPN w Krakowie, autorem wydanej przez IPN w 2011 r. książki „Józef Kuraś »Ogień«. Podhalańska wojna 1939-1945", znanym z bezkrytycznego wychwalania „żołnierzy wyklętych". Dla Korkucia służba Kurasia w MO i UB nie ma żadnego znaczenia. Jak czytamy w „Gazecie Krakowskiej", to nie powód, by burzyć pomnik. Korkuć tłumaczy, że „Ogień" zaczął tworzyć milicję, bo... był patriotą. „Chciał stworzyć struktury, zanim zabiorą się za to komuniści. Zdaniem Korkucia »Ogień« liczył, że postawi komunistów przed faktem dokonanym, a następnie milicją będzie rządził bez radzieckich wpływów. Pomylił się, więc uciekł w Gorce, gdzie kontynuował walkę z komunistami aż do swojej śmierci w 1947 r.".

Już więc wiadomo, jaka odpowiedź nadejdzie do Zakopanego z IPN. Kuraś, dezerter z Armii Krajowej, z powodów patriotycznych podporządkował się najpierw Armii Ludowej, potem Batalionom Chłopskim i na końcu NKWD. Po wyzwoleniu jako jeden z pierwszych w Nowym Targu zapisał się do PPR, wstąpił do MO i tworzył struktury UB. Nie rozumieją tego członkowie rodzin akowców i członków WiN, którzy piszą we wniosku: „Józef Kuraś »Ogień« wprowadził terror, całkowicie podporządkowując w tym okresie swoje działania NKWD, będąc informatorem NKWD, sporządzał listy żołnierzy z 1. Pułku Strzelców Podhalańskich Armii Krajowej przeznaczonych do aresztowania i przyczynił się wraz z podkomendnymi do ich represji i aresztowań, a w następstwie wywiezienia do łagrów sowieckich w miejscowości m.in. Bałanasz w swierdłowskiej obłasti na Uralu – byli to m.in: Władysław Zagardowicz »Kukułka«, Franciszek Kieta »Limba«, Zbigniew Oleś »Dog«, Adam Próchnicki »Tarzan«, Tadeusz Boczoń »Lot«".

Na końcu wniosku o usunięcie zakopiańskiego pomnika autorzy listu zadają pytanie, czy warto Polakom stawiać za wzór dezertera z AK, informatora NKWD, milicjanta i ubeka, mordercę niewinnych cywilów, Polaków, Słowaków i Żydów.

Odpowiedź będzie tylko jedna. To wszystko Kuraś robił z poczucia patriotyzmu. Nigdy nie był komunistą. Radni mogą w to nie uwierzyć, ale IPN ma swoich historyków i wszystko wie.

ZBRODNIARZ?

W tym samym czasie gdy dr Korkuć z Biura Upamiętniania Walk i Mę-

eprasa.pl cc63cee1ad

czeństwa informuje krakowską gazetę o wielkim patriotyzmie milicjanta i ubowca „Ognia", jego kolega z tego samego oddziału IPN, prokurator Marcin Nowotny z Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, przesłuchuje kolejnych świadków i próbuje ustalić, czy „Ogień" był zbrodniarzem komunistycznym.

W październiku 2015 r. dwaj członkowie rodzin akowców z Podhala, Marek Zapała – krewny mjr. Juliana Zapały „Lamparta", byłego dowódcy 4. batalionu 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK, i Tadeusz Morawa – syn Tadeusza Morawy, pseudonim „44", żołnierza tego samego pułku, po wojnie działacza Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, który w więzieniach PRL spędził prawie 10 lat, złożyli w IPN zawiadomienie o możliwości popełnienia przez funkcjonariusza MO i UB Józefa Kurasia zbrodni komunistycznej, polegającej na udzielaniu pomocy funkcjonariuszom NKWD w aresztowaniach i wywózce żołnierzy Armii Krajowej na Syberię.

Współpracę z NKWD „Ogień" nawiązał, będąc jeszcze w lesie. Wiosną 1944 r. jego oddział partyzancki najpierw związał się z Batalionami Chłopskimi i Ludową Strażą Bezpieczeństwa, a potem zaczął współpracę z radziecką partyzantką ppłk. Iwana Zołotara. Tam poznał funkcjonariuszkę NKWD kpt. Ludmiłę Gordijenko „Tanię", z którą romansował. Od 1 grudnia 1944 r. swój oddział podporządkował oddziałowi Armii Ludowej dowodzonemu przez Izaaka Gutmana *vel* Brunona Skutelego „Zygfryda". Tym sposobem 28 stycznia 1945 r. wkroczył wraz z żołnierzami AL i 167. Dywizji Piechoty płk. Iwana Driachłowa do Nowego Targu i razem z funkcjonariuszami NKWD przystąpił do organizowania powiatowej komendy MO oraz PUBP. Po nieporozumieniach ze zwierzchnikami z Krakowa 11 kwietnia 1945 r. zabrał swoich ludzi i ze służbową bronią powrócił w góry. Od tego momentu stał się „żołnierzem wyklętym".

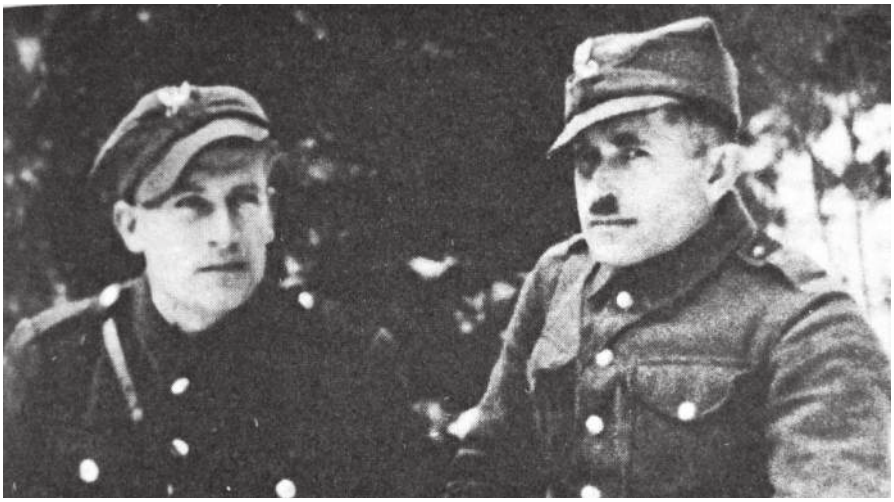

Józef Kuraś z bratem Janem.

A co zrobić z towarzyszem „Ogniem", członkiem Polskiej Partii Robotniczej, porucznikiem MO i szefem Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Nowym Targu? Czy można potraktować obojętnie dwa oświadczenia nieżyjących już dzisiaj akowców, Franciszka Kiety pseudonim „Limba" i Władysława Zagardowicza pseudonim „Kukułka", napisane 23 sierpnia 1990 r., poświadczone i zarejestrowane pod numerami 13/1990 i 14/1990 w aktach Oddziału Światowego Związku Żołnierzy AK w Nowym Targu?

Franciszek Kieta „Limba": „Niniejszym zaświadczam, że w dniu 2 lutego 1945 r. zostałem aresztowany przez NKWD na Buflaku koło Nowego Targu, gdzie w tym czasie leżałem złożony chorobą. Po przyprowadzeniu mnie do Urzędu Milicji w Nowym Targu do pokoju przyszedł na przesłuchanie mnie Józef Kuraś »Ogień« z kapitanem NKWD, którzy mnie przesłuchiwali jako akowca. W czasie przesłuchiwania mnie byłem bity przez kapitana NKWD. Po przesłuchaniu zostałem wywieziony do łagrów w ZSRR i uwięziony, skąd powróciłem do Nowego Targu w listopadzie 1947 r.".

Władysław Zagardowicz „Kukułka": „Niniejszym oświadczam, że w dniu 2 lutego 1945 r. zostałem aresztowany przez NKWD i wywieziony do łagrów sowieckich w ZSRR, gdzie byłem uwięziony do 1947 r. W czasie mego aresztowania był obecny z patrolem NKWD Andrzej Gąsienica-Makowski ze Szlachtowej, który moim zdaniem doprowadził NKWD do mojego domu.

Armia Krajowa
Komisja szybko wykonawcza.
Nr.p.46.

WYROK ŚMIERCI

Na podstawie wywiadu i dowodów P.O.P.przedkłada się Panu wyrok śmierci,za zdradę stanu.

dnia 23 lipca 1946. / - / Ogień

Oddział Partyzancki Armia Krajowa

A.K.

Ogień

Wyrok wykonano dnia 28.9.46

Aresztowania akowców w Nowym Targu

Aresztowania byłych żołnierzy Armii Krajowej rozpoczęły się w Nowym Targu 2 lutego 1945 r. Franciszek Kieta i Władysław Zagardowicz zostali wywiezieni na Syberię. Do więzienia trafili m.in.: Mieczysław Batkiewicz z synem Leszkiem, Leszek Rajski, Teofil Zubek z synem. Całe dowództwo 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK z mjr. Adamem Stabrawą „Borowym" schroniło się przed UB i NKWD w klasztorze Augustianów w Krakowie, gdzie przebywali do lipca 1945 r. Szczególnie tropiony był por. Krystian Więckowski „Zawisza", dowódca „Ognia" w AK do 27 grudnia 1943 r. Istnieje dużo dowodów, że NKWD dokonywało aresztowań na podstawie list sporządzonych przez ludzi „Ognia", i jest to przedmiotem śledztwa, które z początkiem zeszłego roku zostało wszczęte przez Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN.

eprasa.pl cc63cee1ad

Pomnik Słowaków zamordowanych w kwietniu 1944 r. przez grupę „Ognia" w Nowej Białej.

Andrzej Gąsienica-Makowski był wówczas milicjantem podległym Józefowi Kurasiowi »Ogniowi«, gdyż »Ogień« pełnił wówczas funkcję komendanta powiatowego MO w Nowym Targu".

ŚLEDZTWO TRWA

Gdy w roku 1990 Franciszek Kieta i Władysław Zagardowicz składali swoje oświadczenia, żyło jeszcze wielu świadków tamtych wydarzeń. Działacze patriotyczni z Podhala od początku powołania IPN w 1998 r. przesyłali do tej instytucji zawiadomienia o zbrodniach „Ognia", i to z wszystkich okresów jego działalności: przed wyzwoleniem, w czasie służby w bezpiece i gdy znowu znalazł się w lesie. Nikt w IPN nie był zainteresowany działalnością Kurasia w Polskiej Partii Robotniczej i w organach bezpieczeństwa. Dopiero 21 stycznia 2016 r. krakowski oddział IPN wszczął śledztwo dotyczące możliwości popełnienia zbrodni komunistycznej przez funkcjonariuszy MO i UB w Nowym Targu, a więc i „Ognia". Minął już pierwszy rok śledztwa.

– Nie jestem w stanie odpowiedzieć, kiedy zostanie ono zakończone – mówi prokurator Marcin Nowotny z krakowskiego IPN. – Zbieram materiały, przesłuchuję świadków, prowadzę kwerendy w archiwach. Jeszcze za wcześnie, abym na podstawie materiału dowodowego, który dotychczas zebrałem, mógł dokonać oceny, bo to jest przedwczesne.

Ofiary „Ognia"

Według wyliczeń dokonanych w latach 50. przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, od kwietnia 1945 r. do lutego 1947 r. partyzanci „Ognia" przeprowadzili ok. 350 akcji, m.in. rozbili 57 posterunków MO. Z rąk ludzi podległych „Ogniowi" poniosło śmierć 430 osób, w tym 76 funkcjonariuszy UB, 70 funkcjonariuszy MO, 45 żołnierzy KBW i WP, 28 członków PPR, 27 żołnierzy radzieckich, 53 osoby narodowości żydowskiej i 131 niemających żadnych związków z działalnością partyzancką. Podczas walk, trwających dwa lata, poległo 50 ludzi „Ognia", aresztowano zaś ok. 350 osób z nim związanych.

Kuraś, dezerter z AK, jako jeden z pierwszych w Nowym Targu zapisał się do PPR, wstąpił do MO i tworzył struktury UB.

– A czy na podstawie trwającego już rok śledztwa można „Ognia" oskarżyć o zbrodnie komunistyczne? – pytam.

– Sam fakt wszczęcia tego postępowania wskazuje, że jest uzasadnione podejrzenie popełnienia przestępstwa. Gdybym nie miał takiego przekonania, tobym go nie wszczynał. Jest podejrzenie, że Józef Kuraś, będąc funkcjonariuszem państwa komunistycznego, wraz z innymi podległymi mu pracownikami MO i UB pomagał organom sowieckim w deportowaniu żołnierzy AK za granicę Polski. Nie znalazłem ani jednego dokumentu o zatrzymaniu osoby i dostarczeniu jej do NKWD podpisanego przez Józefa Kurasia. Bardzo trudno o takie dowody, bo w pierwszych tygodniach po wojnie raczej takich poleceń nie wydawano na piśmie, brakowało maszyn do pisania, może to były odręcznie pisane kartki. Staram się więc zbierać relacje ludzi, którzy jeszcze te czasy pamiętają.

Prokurator Nowotny nie był w stanie określić, kiedy zakończy śledztwo. Może za kilka miesięcy? Z pewnością nie skończy się ono wniesieniem aktu oskarżenia przeciwko Kurasiowi, bo trudno oskarżyć osobę nieżyjącą od 70 lat, ale decyzja IPN kończąca to postępowanie może mieć wielki wpływ na ocenę historyczną postaci „Ognia".

Już jednak wiadomo, że w analizie jego działalności jako funkcjonariusza milicji i bezpieki zabraknie dokumentów z archiwów radzieckich. Dopiero dotarcie do materiałów NKWD pozwoliłoby rzucić nowe światło na błyskawiczną karierę „Ognia" w pierwszych miesiącach po wojnie. To NKWD zrobiło z niego milicjanta i ubeka. IPN nie podjął żadnej próby dotarcia do tych materiałów. A może Rosjanie byliby skłonni je nam przekazać? Nie ujawniają, bo IPN ich o to nie prosi.

MAJOR?

W sobotę, 18 lutego br., tuż po mszy w kościele parafialnym w Waksmundzie koło Nowego Targu, odprawionej w 70. rocznicę śmierci Józefa Kurasia, odczytany został list prezydenta Andrzeja Dudy mówiący o zasługach „Ognia" i „żołnierzy wyklętych". Następnie dyrektor generalny Ministerstwa Obrony Narodowej Bogdan Ścibut odczytał sprzed ołtarza postanowienie ministra Antoniego Macierewicza o uznaniu „Ogniowi" stopnia majora.

Wobec śmierci prawie 400 osób, które straciły życie w czasie pobytu Kurasia w lesie od kwietnia 1945 r. do lutego 1947 r., oraz 50 jego poległych partyzantów, stopień wojskowy „Ognia" nie ma większego znaczenia. Od kilkudziesięciu lat nikomu jednak nie udało się wyjaśnić, w jaki sposób Kuraś, opuszczając stanowisko szefa PUBP w stopniu porucznika i będąc potem przez dwa lata dowódcą samozwań-

eprasa.pl cc63cee1ad

czego oddziału, nikomu niepodporządkowanego, został majorem. A minister Macierewicz, nie mając żadnych dokumentów, ten stopień potwierdził.

Będąc już w lesie, Kuraś bardzo chciał awansować siebie i rozdawać stopnie wojskowe podwładnym, ale nie bardzo wiedział, jak to zrobić. Wtedy doniesiono mu, że Franciszek Zapała z Niedźwiedzia, brat mjr. Juliana Zapały, zastępcy nowosądeckiego inspektora i dowódcy batalionu 1. PSP AK, przechowuje w swoim domu blankiety nominacyjne i awansowe byłego pułku podpisane in blanco przez mjr. Adama Stabrawę „Borowego". Ponieważ Zapała nie chciał tych dokumentów mu wydać, „Ogień" go zastrzelił i przejął blankiety. Franciszek Zapała pozostawił żonę i dwójkę dzieci.

Mając blankiety nieistniejącej już wtedy Armii Krajowej, Kuraś awansował swoich ludzi. W archiwach zachowało się kilka nominacyji z lat 1945-1947, bo byli partyzanci Kurasia zgłaszali się potem z nimi do ZBOWiD. Niektórzy przypuszczają, że na blankiecie awansowym Armii Krajowej odebranym siłą Franciszkowi Zapale „Ogień" wypisał sobie awans na stopień majora. W AK na majora nie mógł być awansowany, bo nie miał matury, a co ważniejsze – ciążył na nim wyrok śmierci za dezercję.

Antoni Macierewicz, potwierdzając stopień Kurasia, powołał się na rozporządzenie prezydenta Lecha Wałęsy z 15 maja 1992 r. w sprawie określenia szczegółowych zasad i trybu postępowania oraz uznawania stopni wojskowych. Po pierwsze, w tym rozporządzeniu nie ma wzmianki o uznawaniu stopni wojskowych osobom już nieżyjącym. Po drugie, do wniosku „należy dołączyć wszelkie posiadane dokumenty potwierdzające fakt nadania stopnia wojskowego, uwierzytelnione odpisy tych dokumentów". Na jakiej podstawie minister wydał więc postanowienie? Nasza redakcja zwróciła się do Ministerstwa Obrony Narodowej z prośbą o wyjaśnienie. Do chwili oddania tekstu do druku nie otrzymaliśmy odpowiedzi, ale będziemy na nią oczekiwać.

Z rąk ludzi „Ognia" śmierć poniosło 430 osób, w tym 131 niemających żadnych związków z działalnością partyzancką.

Na tej samej zasadzie minister Macierewicz mógł uznać stopień generalski Kurasia, bo jest taki dokument. 11 listopada 1989 r. prezydent Wolnej Polski na Wychodźstwie Juliusz Nowina-Sokolnicki mianował Józefa Kurasia generałem brygady. Wśród awansowanych przez Sokolnickiego do stopnia generała brygady znalazł się Mieczysław Wachowski, a ks. Henryk Jankowski został kontradmirałem. W 1988 r. od tego samozwańczego i nieuznawanego przez większość środowisk emigracyjnych prezydenta Lech Wałęsa otrzymał order Polonia Restituta i natychmiast wysłał list z podziękowaniem za zaszczytne odznaczenie, które w Gdańsku wręczył mu „Przewielebny Ksiądz Generał dr Bernard Witucki". A ks. Witucki to taki sam generał brygady jak Wachowski.

Od lewej: Józef Kuraś „Ogień", Jan Sral „Potrzask" i Jan Kuraś „Kania".

GRA W DWA „OGNIE"

W budynku krakowskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w jednym pomieszczeniu historyk dr Korkuć twierdzi, że Józef Kuraś nie był komunistą, a do milicji i UB wstąpił z poczucia patriotyzmu, w drugim zaś prawnik, prokurator Nowotny, podejrzewa, że „Ogień" dopuścił się zbrodni komunistycznych. Pierwszy ipeenowiec uważa, że Kuraś nie był komunistą, i wychwala go jako narodowego bohatera antykomunistycznego podziemia, drugi bada komunistyczną działalność „Ognia" w PPR, MO i SB, a więc komunistą Kuraś musiał być?

IPN z „Ogniem" ma podobne problemy jak z „Bolkiem". Wałęsa byłby dlań czołowym opozycjonistą, gdyby nie lata 1970-1976, gdy miał współpracować z SB. Józef Kuraś jest kreowany na wspaniałego „żołnierza wyklętego", gdy tymczasem od stycznia do kwietnia 1945 r., zanim poszedł do lasu, kierował milicją i bezpieką w Nowym Targu. Badacze z IPN przymykają oko na ten fakt, bo chcą mieć bohaterów idealnych i czarno-biały świat, usiłują oceniać, czy ktoś był komunistą, czy nim nie był.

Członkowie Komisji Kultury Rady Miasta Zakopanego bardzo się dziwili, że w sprawie słusznych lub niesłusznych nazw ulic czy pomników muszą zasięgać opinii IPN i to tam ma zapaść decyzja, czy Kuraś był komunistą. Przecież ludzie w Zakopanem, którzy wiedzą, co tu się działo po wojnie, powinni wziąć na siebie ciężar odpowiedzialności i wypowiedzieć się, czy chcą mieć ten pomnik.

Dlatego zakopiańscy radni nie tylko zadecydowali o zwróceniu się do IPN z prośbą o opinię, ale również postanowili wysłać pismo do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji z wnioskiem o doprecyzowanie ustawy dekomunizacyjnej. Co mają zrobić z takim „Ogniem", który dla jednych jest symbolem walki z komunizmem, a dla drugich komunistycznym funkcjonariuszem? Czy na temat związków nazw ulic, placów czy pomników z systemem komunistycznym musi się wypowiadać IPN? Dlaczego nie liczy się głos lokalnego samorządu? Miejscowym odebrano możliwość samodzielnego myślenia.

Leszek Konarski

FOT. ADAM ROZBICKI/REPORTER, STEFAN MASZEWSKI/REPORTER, MAREK PODMOKŁY/AGENCJA GAZETA, REP. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI Z KSIĄŻKI „JÓZEF KURAŚ »OGIEŃ«", DOMENA PUBLICZNA, ARCHIWUM

eprasa.pl cc63cee1ad

EUROPA W CZASACH NIEPEWNOŚCI

Polska przeszła przez kryzys nie tylko suchą stopą, ale także z pustą głową

Rozmawia Robert Walenciak

KRZYSZTOF BLUSZ

– analityk spraw międzynarodowych i doradca, wiceprezes zarządu WiseEuropa

O co w tej chwili toczy się gra w Unii? Wychodzi Wielka Brytania – to wiemy. Ale co dalej?

– Nikt nie wie, co dalej. Kluczowe jest to, żeby do czasu, kiedy wymyślimy, co dalej, zachować spójność, nie doprowadzić do przekształcenia się tej fragmentaryzacji, do której doszło w ostatnich latach, w dekompozycję.

W Polsce są politycy i publicyści, którzy uważają, że dekompozycja jest przesądzona i należy się z nią pogodzić.

– Nikt o zdrowych zmysłach nie życzy sobie, żeby doszło do upadku współpracy politycznej w Europie. Owszem, tak czy inaczej, Europa nadal będzie istnieć i nadal będzie istnieć polityka w Europie. Pytanie tylko, czy tę politykę będziemy realizować jako wielostronną współpracę, czy wrócimy do układania współpracy dwustronnej, do koncertu mocarstw. Do modelu, który znamy z historii i którego skutków wielokrotnie doświadczaliśmy w sposób aż nadto nieprzyjemny.

GRA NIEMIEC

Jak dostrzec w tym europejskim bałaganie to, co ważne? Brexit, Rosja, ruchy populistyczne, wybory w Holandii, we Francji, w Niemczech…

– Mamy sytuację niepewności i nieoznaczoności, to nie tylko sprawa zagrożeń, które znamy, bo z miesiąca na miesiąc przybywa nam elementów destabilizujących. Wszystko się łączy i wpływa na wszystko. A zaczęło się od tego, że negatywnie zweryfikowały się elementy obecnego kapitalizmu, jego neoliberalnego modelu. I mamy tego ogromne konsekwencje.

W Polsce mało je odczuwamy.

– Często mówię, że Polska przeszła przez kryzys nie tylko suchą stopą, ale także z pustą głową. Nie do końca zrozumieliśmy, co się wydarzyło w Europie Zachodniej. A konsekwencje są – choćby w postaci nadal istniejącej potężnej nierównowagi ekonomicznej. Poza tym niektórzy mają kryzys zadłużenia, inni – kryzys sektora finansowego, jeszcze inni – kryzys konkurencyjności gospodarki, która właściwie niczego nie produkuje i nie ma co sprzedawać. A jednocześnie istnieje kraj tak doskonale funkcjonujący pod względem ekonomicznym jak Niemcy, którzy mają największą nadwyżkę na świecie – większą niż Chińczycy – i mówią: my nic z tym nie możemy zrobić, tacy jesteśmy konkurencyjni!

> Znajdując się w takim miejscu na mapie jak nasze, trzeba z kimś być.

Wiedzą, co mogą zrobić…

– No tak, wszyscy wiedzą, co zrobić, ale trzeba wygrać wybory… Polityka przeszkadza w rozstrzygnięciu tego, bo trzeba by zapłacić, jedni za drugich, a ona na to nie pozwala. Wybrano więc rozwiązanie prowadzące do odbudowy narodowych fobii. Krytyka adresowana do Niemców i Niemiec za sposób rozwiązywania spraw kryzysowych ma, niestety, uzasadnienie. Niemcy bowiem ze względu na ograniczenia polityczne zdecydowały się na takie zarządzanie kryzysem europejskim, które *de facto* przerzuciło jego koszty na społeczeństwa, które już za to wszystko w jakimś sensie zapłaciły. I to spowodowało ten wielki spadek apetytu na europeizację nas wszystkich.

A potem doszła fala imigrantów.

– Niezgoda na ponoszenie kosztów kryzysu plus elementy związane z polityką tożsamości zmieniły nasz kontynent. Choć proszę zwrócić uwagę na Hiszpanię – ten kraj przeszedł wielki kryzys, ale nie ma tam eurosceptycyzmu. Bo oni pamiętają

eprasa.pl cc63cee1ad

czasy, kiedy za Ortegą y Gassetem powtarzano: problemem jest Hiszpania, rozwiązaniem jest Europa. Widać więc, że w każdym kraju te uwarunkowania są inne.

OD UNII CHCEMY WIELE

Na Europę zaczynają źle patrzeć Włosi, Francuzi, Holendrzy.

– Dzieje się tak, kiedy państwo narodowe nie jest w stanie rozwiązać ich problemów. Dwa lata temu robiliśmy duże badania w siedmiu krajach europejskich, od Grecji aż po Skandynawię. Pytaliśmy ludzi, jak chcieliby widzieć Europę po kryzysie. A pytaliśmy o rzeczy konkretne. Na przykład: kto powinien gwarantować wasze pensje, państwo narodowe czy Unia Europejska? Kto powinien wam gwarantować pracę? I co się okazywało? Że ludzie w stosunku do Unii Europejskiej mają oczekiwania w kwestiach, do zajmowania się którymi Unia nie została wymyślona.

Chcą, żeby gwarantowała pensję?

– Albo pracę. Unia! A nie państwo narodowe! Mamy więc z jednej strony sytuację, kiedy Unia była nieskuteczna w wymuszaniu na państwach narodowych przestrzegania pewnych standardów. A z drugiej – potężne oczekiwania, których UE nie jest w stanie zaspokoić, bo nie po to była tworzona. Nie ma mechanizmów, jednoprocentowy budżet to nie jest zdolność budżetowa, która by pozwoliła organizować politykę publiczną na poziomie całej Europy, jak oczekiwaliby obywatele. A przecież nikt się nie zgodzi na to, żeby był wspólny podatek europejski. Żeby było więcej pieniędzy.

Słabo więc ta Unia wygląda.

– Proszę pana! Spójrzmy na Europę spoza Europy! To wciąż centrum promieniowania tradycji kulturowej, cywilizacyjnej. Mimo relatywnej utraty znaczenia gospodarczego Europa jest potężnym rynkiem. Potężniejszym niż rynek USA. 500 mln konsumentów, i to zamożnych! Już nie wspominam o wymiarze bezpieczeństwa, bo jednak parę rzeczy nadal może zrobić, pomimo wszystkich słabości.

PiS W PUŁAPCE

Rozszyfrujmy więc politykę obecnie rządzących w Polsce wobec Unii.

– Próbując zrekonstruować projekt PiS, wielkiej reformy wszystkiego, i filozofię polityczną, która za tym się kryje, odnoszę wrażenie, że PiS jest w potrzasku. Znaleźli się w wyobrażonej pułapce podwójnej dominacji. Po pierwsze, twierdzą, że nie godzą się na polityczną dominację instytucji europejskich, którym brakuje legitymizacji, które przekraczają swój mandat itd.

Tak w PiS argumentują.

– Mówią: trzeba instytucje unijne zdepolityzować, bo wkraczają w prerogatywy państwa narodowego, wsadzają nos w nie swoje sprawy. Nie dyskutuję, czy argument jest słuszny, czy nie. Są kryteria kopenhaskie, na podstawie których byliśmy przyjmowani do Unii, itd. – to powinno wszystkim wystarczyć. Z drugiej strony ta opowieść o dominacji instytucji europejskich jest ważna, bo na użytek wewnętrzny w Polsce ma legitymizować pewien pomysł na zmianę paradygmatu instytucjonalno-politycznego. Unia ma się zdepolityzować, pozostać trochę taką Najwyższą Izbą Kontroli, połączoną z klubem gospodarczym, czyli jednolitym rynkiem. Ale wówczas pojawia się druga pułapka, w którą wpada PiS – to pułapka dominacji gospodarczej i *de facto* politycznej Niemiec.

To znaczy?

– Prezes Kaczyński mówi, że trzeba odpolityzować instytucje europejskie, żeby decyzje zapadały w Radzie Europejskiej. Tylko gdybyśmy się przyjrzeli europejskiej dyskusji, zorientowalibyśmy się, że Niemcy też chcą Komisję zdepolityzować i przenieść do Rady Europejskiej większość decyzji politycznych.

Tylko że Kaczyński mówi to, bo denerwuje go Komisja Europejska, która upomina Polskę w sprawach Trybunału Konstytucyjnego, sądów, mediów itd.

– A Niemcy dlatego, że osłabienie Komisji oznacza wzrost znaczenia ich i ich sojuszników, czyli eurostrefy, a precyzyjniej – grupy jej północnych członków wyznających podobną filozofię polityczną i gospodarczą. Jeżeli popatrzy się na Europę, to dzisiaj 90% jej zamożności koncentruje się w eurostrefie. A Polska to nadal nowoczesne kresy europejskie.

PiS więc się miota…

– …między jedną pułapką a drugą. I co robi? Próbuje znaleźć trzecią drogę. Ta trzecia droga to polityka grania na wielu fortepianach. To jest to, co oni nazwali odzyskiwaniem podmiotowości. Nie stoimy na linii bocznej, tylko gramy. Ale jak gramy? Mamy fortepiany, które próbujemy sobie otworzyć. Próbujemy otwierać fortepian wyszehradzko-międzymorski, co nam kiepsko wychodzi. Mamy fortepian brytyjski, który – wiadomo…

Odpłynął.

– Oczywiście Wielka Brytania to nadal istotny partner w polityce bezpieczeństwa, ale w sprawach integracji europejskiej już jest *passé*. No i mamy fortepian amerykański, który, jak się wydaje, mocno się rozstroił. W ogóle nie wiadomo, czy da się na nim grać. I mamy fortepian europejski – tu jesteśmy trochę w drodze do Kanossy.

> Momentem rozstrzygającym będą wybory francuskie i niemieckie. Zdecydują, co się będzie działo w Europie i z Europą w świecie.

Twarze europejskiego nacjonalizmu: Frauke Petry (AfD, Niemcy), Marine Le Pen (Front Narodowy, Francja), Matteo Salvini (Liga Północna, Włochy) i Geert Wilders (Partia Wolności, Holandia).

eprasa.pl cc63cee1ad

Tak pan uważa?

– Jeszcze nie tak dawno wszyscy się zastanawiali, o co tutaj chodzi. Czy będziemy chcieli wyjść z Unii? A tu się dowiadujemy, że jesteśmy w awangardzie reformy, że jesteśmy jednym z trzech najważniejszych, jedynych stabilnych państw. Jak tłumaczył minister Waszczykowski: Polska, Francja, Niemcy.

Ale Weimaru już nie ma.

– Szkło się potłukło.

NAJSILNIEJSI JESZCZE SILNIEJSI

Czy Europa jest skazana na dominację niemiecką?

– To pewnie coś, czego Niemcy chcą politycznie za wszelką cenę uniknąć. Mają wielki kłopot z podjęciem decyzji o zdecydowanym przywództwie. I próbują coś z tym zrobić. Brexit jest sporym przeżyciem, choć Wielka Brytania zawsze miała specjalny status, więc to trochę takie wyjście z przedpokoju, a nie z salonu.

A Polska? Chce Unii minimum?

– Pewnie dlatego kanclerz Merkel odważyła się powiedzieć, że prawdopodobnie w dokumencie, który będzie elementem obchodzenia traktatów rzymskich, pojawi się zapis o Europie wielu prędkości. Co będzie politycznym usankcjonowaniem rzeczywistości.

Najsilniejsi narzucą swoją wolę.

– Zawsze w Unii chodziło o przeciwdziałanie temu. Komisja Europejska broniła słabszych i jakoś to się udawało, ale rzeczywistość kryzysowa złamała tę równowagę instytucjonalną, bo ciężar decyzji przeniósł się do Rady. Przypominam też kryzysowe spotkania szefów eurostrefy. Wydaje mi się zatem, że odchodzenie od modelu wspólnotowego, w którym instytucje europejskie mają pewne instrumentarium polityczne, już następuje. Decydują ci, którzy mają największą siłę.

Ale tę sytuację też można przekuć na naszą korzyść! Słabną instytucje europejskie chroniące mniejszych? Mamy przecież dobrą pozycję, jeśli chodzi o Niemcy, jesteśmy w niemieckiej strefie gospodarczej; to, co się dzieje w Polsce, jest dla tej gospodarki bardzo ważne. No i mamy Donalda Tuska jako przewodniczącego Rady Europejskiej, zawsze lepiej go mieć, niż nie mieć. Co prawda, polityka PiS zmierza do rozwalenia tego wszystkiego… Widzi pan w tym logikę?

– Mam wrażenie, że pewien obraz chaosu czy braku kierunku, pomysłu, o co tak naprawdę chodzi formacji rządzącej, wynika z tego, że z tych kilku rzeczy, które można by zrobić, centrum polityczne PiS nie jest w stanie wybrać żadnej. Nie podejmuje żadnej decyzji.

Bo nie wie?

– Być może wie, tylko z jakichś innych powodów nie dokonuje wyboru określonej opcji. Przypominam nieujawnianie zapowiadanych propozycji zmian traktatowych. Na przykład nie mówimy otwarcie, że chcemy zdepolityzowania Europy i sprowadzenia jej do wspólnego rynku. Albo że chcemy Europy wspólnotowej, ale z innym systemem głosowania. Albo w ogóle nas to nie interesuje, uważamy, że nic z tego nie będzie, więc mówimy: dziękujemy. Tymczasem nie ma żadnej decyzji! Różne postacie zaś opowiadają różne rzeczy. Pani premier Szydło na spotkaniu z zagranicznymi dziennikarzami mówi, że jest zgoda na Unię dwóch prędkości. A prezes Kaczyński dzień później – że to byłaby rzecz najgorsza. Czyli w tej sprawie decyzja nie została podjęta.

I powstaje wrażenie chaosu.

– Być może jest inne wytłumaczenie. Polska żadnych decyzji w sprawie Unii nie podejmuje, nie robimy coming outu koncepcyjnego, bo czekamy na wyniki wyborów w Niemczech i we Francji. Bo może inne elity i inne koncepcje niedługo będą w grze, więc dziś nie warto wyjaśniać, o co nam chodzi. Może jeszcze nie ma partnerów, z którymi należy rozmawiać. Wcale nie byłbym zdziwiony, gdyby się okazało, że taki jest motyw działania Kaczyńskiego. Bo to Merkel nie ma czasu, a on go ma. To od niej oczekuje się jasnych stanowisk w różnych sprawach, to ona ma wybory.

Ile można czekać?

– Momentem rozstrzygającym będą wybory francuskie i niemieckie.

> Nie ma żadnej decyzji! Premier Szydło mówi, że jest zgoda na Unię dwóch prędkości, a prezes Kaczyński, że to byłaby najgorsza rzecz.

eprasa.pl cc63cee1ad

Z kim po kwietniowych wyborach we Francji będzie się witała Angela Merkel? Bo na pewno nie z François Hollandem. I czy ona sama po 24 września stanie na czele rządu Niemiec?

One zdecydują na lata o tym, co się będzie działo w Europie i z Europą w świecie. Rozumiem, że zaraz po nich kluczową sprawą dla Niemiec będzie osiągnięcie nowego porozumienia z Francuzami.

A jeśli się nie uda? Bez Francuzów Niemcy będą musieli zacząć odbudowywać Mitteleuropę. Wystarczy spojrzeć, jak się rozprzestrzenia niemiecka gospodarka.

– A wtedy my zrobimy zwrot w polityce niemieckiej. Nie lekceważyłbym też rzeczy, o której mało w Polsce rozmawiamy – Berlin odczuwa olbrzymią presję, bo jeśli dojdzie do wywrócenia światowej polityki handlowej przez administrację waszyngtońską, pod ogromną presją znajdzie się cały model społeczno-gospodarczy Niemiec. To przecież *export nation.* Jeżeli dojdzie do wojen handlowych, walutowych, Niemcy będą w opałach.

EUROPA POSTATLANTYCKA?

Jaki więc scenariusz widzi pan dla Europy? Czekamy do wyborów?

– Kluczową sprawą jest to, o czym mówią Angela Merkel i inni przywódcy (Tusk!) – powstrzymanie dalszej fragmentaryzacji Unii i ograniczenie zagrożeń, które mogą spowodować, że ten proces się przerodzi w dekompozycję.

A może tak się stać?

– A jeśli coś bardzo złego zdarzy się przed wyborami we Francji czy w Niemczech? W szoku różne rzeczy mogą się zdarzyć. Mam nadzieję, że tak się nie stanie, że nie dojdzie we Francji ani w Niemczech do gwałtownej wymiany elit. I nawet jeżeli partie narodowych populistów wejdą do parlamentów, to po uporządkowaniu się niemieckiego i francuskiego układu politycznego rozpocznie się gra o scenariusze nowego porządku europejskiego. Zarówno porządku politycznego, instytucjonalnego, jak i ekonomicznego. Bo kryzysy, włoski i grecki, nadal istnieją. Znaczenie będzie miał również kontekst, w jakim to wszystko będzie się działo – jak będzie się zachowywać administracja amerykańska. Może być tak, że po raz pierwszy od 70 lat Europa straci potężnego patrona. Jeżeli nastąpi gra na destabilizację Europy, na jej osłabienie gospodarcze, będziemy mieli Europę postatlantycką, nie atlantycką.

> Mamy potężne oczekiwania, których UE nie jest w stanie zaspokoić, bo nie po to była tworzona.

To będzie coś innego?

– Dotąd integrowaliśmy Europę w paradygmacie liberalnym. Czyli otwierania się, liberalizowania. Teraz przesuwamy się w kierunku zabezpieczania się przed wszystkimi zagrożeniami. Zamiast otwartości pojawia się bezpieczeństwo. Z drugiej strony paradygmat spójności, solidarności krajów zaczyna być zastępowany paradygmatem elastyczności.

Który ucieleśnia Europa wielu prędkości.

– Różna współpraca różnych państw oznacza mniejszą spójność. I z Europy transatlantyckiej staniemy się Europą postatlantycką. Już niewielu pamięta, jak to było, kiedy Europa była sama. A taka jest stawka w tej grze!

LUDZIE MÓWIĄ „NIE"

Gdy pojawia się zagrożenie, kraje powinny zacieśniać współpracę.

– Teoretycznie. A proszę sobie przypomnieć, co mówiła swego czasu premier Kopacz. Że gdy jest zagrożenie,

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, AFP/EAST NEWS (2)

eprasa.pl cc63cee1ad

ona chowa dzieci i zamyka w domu. Tak powiedziała! To pokazuje, w którym miejscu jesteśmy. Kryzys w eurostrefie jednoznacznie podpowiadał, że najbardziej potrzeba więcej integracji. Że nie da się tej nierównowagi zasypać, więc trzeba stworzyć amortyzatory. I co wzięło górę? Coś przeciwnego! Renacjonalizacja polityki!

Czy w tak rozedrganej Europie warto być? Może lepiej postać z boku?

– Historia i teoretycy stosunków międzynarodowych nie mieliby wątpliwości, co odpowiedzieć. Przecież znajdując się w takim miejscu na mapie jak nasze, z kimś trzeba być. I to nie jest tylko kwestia smaku, z kim. To także kwestia filozofii politycznej, wyboru strategicznego, aksjologii. Że kulturowo ktoś jest nam bliższy.

Przecież jak na dłoni widać różnicę kulturową między starą a nową Europą.

– Zachodzę w głowę, jak to możliwe, że w Polsce mamy tak wysokie poparcie dla członkostwa w Unii Europejskiej. Bo przecież jak się popatrzy na poparcie dla określonych elementów czy określonych polityk w Unii, jest ono bardzo niskie. W naszym społeczeństwie są bardzo duże grupy, które nie podzielają wartości stanowiących przestrzeń aksjologiczną starej Europy. Wieloetniczność, wielokulturowość? 70% Polaków mówi nie. Nie chcemy, by ktoś obcy był naszym sąsiadem. Ukraińców traktujemy lepiej, bo są przezroczyści na ulicy. A jak myślimy o sprawach obyczajowych – gender, kontrola narodzin, pary homoseksualne? Mamy cały obszar spraw, których w Polsce nie dotykamy, nie widzimy. Dlatego bardzo ciekawe, jakich wyborów Polacy dokonają w 2019 r. Jeżeli wybiorą taką wizję nowoczesności, jaką promuje partia rządząca, będzie to oznaczało bardzo poważną decyzję o ograniczeniu zbliżenia z Europą Zachodnią. I to mimo zmian zachodzących w Unii. Wszystko jest w grze.

> 70% Polaków jest przeciw wieloetniczności i wielokulturowości.

Robert Walenciak

DALEKA **BRUKSELA** BLISKA **LUDZIOM**

S&D Grupa Postępowego Sojuszu Socjalistów & Demokratów w Parlamencie Europejskim

CETA – polski punkt widzenia

Mimo że od głosowania w Parlamencie Europejskim nad ratyfikacją Kompleksowej Umowy Gospodarczo-Handlowej pomiędzy Unią Europejską a Kanadą (CETA) minęło już kilkanaście dni, decyzja ta jest nadal żywo komentowana w wielu krajach. Parlament Europejski zdecydował o wyrażeniu zgody na przyjęcie CETA 408 głosami, przy 254 głosach przeciw i 33 wstrzymujących się. Bardzo wyraźny podział zdań wśród europarlamentarzystów był odzwierciedleniem nastrojów, które od kilku miesięcy towarzyszą dyskusji nad potrzebą i skutkami zawarcia tego porozumienia.

Wśród przeciwników ratyfikacji CETA w obecnym kształcie byli także polscy europosłowie SLD, dostrzegający zagrożenia związane z tak znaczącym otwarciem rynku europejskiego na produkty zza oceanu. Jedną z osób głosujących za wnioskiem do Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości o wcześniejsze zbadanie zgodności zapisów CETA z prawem wspólnotowym była europosłanka z grupy Postępowego Sojuszu Socjalistów i Demokratów Krystyna Łybacka. – Od samego początku byłam sceptyczna wobec ratyfikacji tej umowy. Nie można bowiem uznać za słuszne zawierania tak znaczącego porozumienia gospodarczo-handlowego ze świadomością braku równości między podpisującymi je stronami. Gdyby umowa miała charakter bilateralny w pełnym tego słowa znaczeniu, sprawa byłaby jasna. Tutaj jednak mamy do czynienia z umową pomiędzy jednym państwem a Unią Europejską zrzeszającą 28 państw. Tak jak w przypadku Kanady możemy mówić o sprecyzowanych oczekiwaniach, tak domeną i jedną z naczelnych wartości Wspólnoty Europejskiej jest jej „zróżnicowanie w jednorodności". Mam wrażenie, że zwolennicy zawarcia CETA, których liczba podczas pamiętnego głosowania okazała się większa, zapomnieli o konieczności postrzegania skutków zawarcia tej umowy w szerszej – europejskiej perspektywie – podkreśla poseł Łybacka.

W Polsce trudno oczekiwać, że decyzja podjęta w Parlamencie Europejskim wzbudzi szczególny entuzjazm. Będący w zdecydowanej większości przeciwnicy ratyfikacji CETA od kilku miesięcy aktywnie zabiegali o odrzucenie tej umowy jako szkodliwej z punktu widzenia polskiej gospodarki i polskich obywateli. Wśród najważniejszych argumentów na „nie" było zagrożenie napływem żywności genetycznie modyfikowanej. Przedstawiciele przemysłu wskazywali natomiast, że korzyści wypływające z ratyfikacji umowy będą dotyczyć jedynie wywodzących się z krajów starej Unii dużych koncernów, które już dzisiaj są trudną do doścignięcia konkurencją dla krajowych przedsiębiorstw. Zdanie to podziela posłanka Krystyna Łybacka. – Pamiętam, jak w trakcie jednego ze spotkań konsultacyjnych dotyczących umów CETA i TTIP do Parlamentu Europejskiego przyjechali przedstawiciele polskiego przemysłu chemicznego. Ta gałąź gospodarki była wymieniana wśród najważniejszych potencjalnych beneficjentów przyszłych umów UE z Kanadą i USA. Jak szybko jednak wyjaśnili sami zainteresowani, dla polskich firm wszystkie dobrodziejstwa tych porozumień pozostają w sferze teorii, ponieważ wymagają bezpośredniego dostępu do infrastruktury za oceanem. Ten warunek dla naszych firm jest nieosiągalny. Nie wiem także, czy ktokolwiek pomyślał o europejskich pacjentach, którzy w ramach owego „zbliżenia handlowego" mogą się obawiać poważnego wzrostu cen leków, które w Kanadzie są znacznie wyższe. ■

Protest w Brukseli.

FOT. STOP CETA DANMARK

eprasa.pl cc63cee1ad

JAK PREZES KURSKI ZADBAŁ O KASĘ

Gdy Ewa udowodniła przed sądem, że jej praca to etat, TVP zażądała zwrotu 80 tys. zł składek ZUS

Ewa Rogowska

Pracowała w TVP na umowie śmieciowej, a teraz została potraktowana przez sąd jak śmieć. Ewa ma zwrócić telewizji 68 tys. zł, które ta firma odprowadziła do ZUS. Na taką kwotę kobieta musi pracować prawie trzy lata. Większe pieniądze, bez VAT, TVP zarobi za 60-sekundową reklamę po transmisji skoków narciarskich na mistrzostwach świata w Lahti. Starcie Dawida z Goliatem.

W listopadzie ub.r. Sąd Apelacyjny w Poznaniu stanął po stronie potężnej firmy, która przez lata wykorzystywała nie tylko Ewę, ale też tysiące innych pracowników. To drugi taki wyrok w Polsce. I sygnał, że opłaca się zatrudniać ludzi na umowach śmieciowych, a nie na umowach o pracę. Bo nawet jeśli sąd pracy zdecyduje, że pracodawca musi odprowadzić do ZUS składki, to i tak potem firma wydrze je pracownikowi z gardła.

DWÓCH DZIENNIKARZY ZAMIAST JEDNEGO

Ewa nie jest pewna, czy chce nadal walczyć w sądzie i czy warto nagłaśniać jej sprawę. No bo co takie artykuły czy programy telewizyjne mogą zmienić? Wyrok w sądzie apelacyjnym już zapadł. Teraz pozostaje jedynie kasacja w Sądzie Najwyższym. Ale czy stać ją na to, by dalej się sądzić? I czy to ma sens?

Nie chce podawać nazwiska. Jest dziennikarką, 12 lat pracowała w poznańskim ośrodku TVP. Tu zaczynała karierę – była i reporterką, i wydawcą programów. Do telewizji trafiła pod koniec lat 90. Właśnie skończyła studia. Zaproponowano jej umowę o dzieło. Obiecywano, że jak tylko pojawi się etat, to go dostanie. Wierzyła. Wiedziała, że na takich samych zasadach pracuje w TVP wiele jej koleżanek i kolegów. Czy się denerwowała? Tak. Z drugiej strony chcąc pracować w wyuczonym zawodzie, nie miała wyjścia. – Niełatwo było znaleźć pracę jako dziennikarz w moim mieście. Poznań to nie Warszawa czy Kraków, gdzie jest więcej możliwości – mówi Ewa.

Wiedziała, że zarabia netto podobnie jak dziennikarze na etatach, z tym że ich pensja brutto jest o jakieś 50% wyższa. Pracodawca musiał z ich pensji odprowadzić wyższy podatek, z 20-procentowymi, a nie 50-procentowymi – jak w przypadku umowy o dzieło za twórczość autorską – kosztami uzyskania przychodu. Poza tym musiał odprowadzić składki na ubezpieczenie emerytalne, rentowe, chorobowe i wypadkowe. Ewy żadne z tych ubezpieczeń nie dotyczyło. Telewizja nie musiała też odprowadzać części składki emerytalnej, którą pokrywa pracodawca. Czysty zysk. Za te same pieniądze, które kosztuje firmę dziennikarz na etacie, można było mieć dwie osoby.

MAMIENIE PRACOWNIKA

Niewolnictwo ekonomiczne kwitnie, m.in. w zawodzie dziennikarskim. W dużych korporacjach dziennikarzom wmawia się, że to wolny zawód, więc umowa o dzieło jest OK, a jednocześnie wymaga się od nich całkowitego poddaństwa i dyspozycyjności 24 godziny na dobę. Jeśli ktoś marudzi, słyszy: „Wolna droga, przed bramą czeka długa kolejka chętnych na twoje miejsce".

Na początku Ewa miała nadzieję, że lada miesiąc pojawi się możliwość przejścia na etat. Ale minął rok, potem drugi i jeszcze jeden… Ilekroć zmieniało się kierownictwo, a ekipy zmieniały się co najmniej z taką częstotliwością jak ekipy rządzące, pojawiała się w jej głowie myśl, że zostanie zatrudniona „po bożemu". I tak trwała.

– Byłam młoda, po studiach. Wtedy człowiek rozumuje inaczej – wspomina Ewa. – Łudziłam się, że w końcu ten etat uda mi się uzyskać. Nie zastanawiałam się nad tym, że te lata, które przepracowałam w TVP, nie liczą się do stażu pracy. Nie myślałam o tym, że moje konto emerytalne jest puste. Bagatelizowałam to, że nie miałam ubezpieczenia chorobowego, więc za czas choroby nie dostawałam wynagrodzenia. Nie miałam też prawa do płatnego urlopu i kiedy chciałam wypocząć, nie zarabiałam.

Modliła się, żeby nie dotknęła jej żadna poważna choroba, która wymagałaby hospitalizacji, bo nie miałaby z czego zapłacić za szpital.

CHWILA SZCZĘŚCIA

Aż w 2007 r. Ewa dostała etat. Nie cały, ale to już była zasadnicza zmiana. Szczęście trwało do 2010 r. W ramach zwolnień grupowych wypowiedziano jej umowę o pracę. Wtedy pomyślała, że tak okrutnie odpłaca się jej ta TVP, której poświęciła 12 lat życia, pracując przez dziewięć lat na umowie śmieciowej, a dopiero potem na umowie o pracę. Ponieważ jej obowiązki nosiły wszystkie znamiona zatrudnienia na etacie, postanowiła zawalczyć o uznanie tego w sądzie pracy. W 2011 r. Sąd Rejonowy w Poznaniu przyznał, że było to zatrudnienie na umowie o pracę. W konsekwencji TVP miała odprowadzić do ZUS zaległe składki za lata 1998-2010.

> Nawet jeśli sąd pracy zdecyduje, że firma musi odprowadzić do ZUS składki, można je potem odzyskać od pracownika.

Latem 2012 r. TVP wpłaciła do ZUS ok. 80 tys. zł. Suma ogromna

eprasa.pl cc63cee1ad

dla zwykłego człowieka, ale nieznaczna dla tak potężnej firmy jak nadawca publiczny. Ewa oczywiście ani złotówki z tych pieniędzy nie zobaczyła. A czy kiedyś zobaczy? Kalkuluje, że na wysokość jej emerytury składki te będą miały wpływ nieznaczny, jeśli w ogóle dożyje wieku emerytalnego. Jeśli nie, nigdy z tych pieniędzy nie skorzysta. Pozostaną w państwowym, zusowskim kotle. Wie o tym równie dobrze TVP. Mimo to instytucja ta, będąca spółką skarbu państwa, postanowiła odzyskać od Ewy pieniądze. Pokazać jej i innym nadal zatrudnionym na umowach śmieciowych, gdzie ich miejsce. I postraszyć, że nie warto z telewizją zadzierać, dochodząc swoich praw.

TVP zażądała zwrotu składek, bo zdaniem telewizyjnych prawników Ewa bezpodstawnie się wzbogaciła. Twierdzili oni, że gdyby pracowała na etacie, składki te byłyby odciągane z jej pensji. Tłumaczenie pokrętne i bezczelne. Jeśli bowiem Ewa otrzymywała na rękę kwotę nie wyższą niż jej koledzy na etacie, składki powinny być odprowadzone od kwoty brutto, znacznie wyższej niż widniejąca na umowie o dzieło. Ewa odmówiła zapłaty.

Na początku 2013 r. dostała z TVP PIT, w którym kwota składek przelanych do ZUS została potraktowana jako jej dochód, musiała więc zapłacić kilkanaście tysięcy podatku. Wkrótce okazało się, że to niejedyna sankcja TVP wobec niej. Telewizja wytoczyła Ewie sprawę w sądzie. Domagała się zwrotu owych 80 tys. zł.

DOSTAŁAŚ, TO ODDAJ

Sąd pierwszej instancji przyznał rację Ewie. W uzasadnieniu wyroku sędzia napisał: „Przyjęcie, że powództwo zasługuje na uwzględnienie, prowadziłoby do sytuacji, w której pracownik ponosiłby negatywne konsekwencje sprzecznych z prawem działań i zaniedbań pracodawcy". Sędzia stwierdził też m.in., że korekta składek nastąpiła z winy pracodawcy, bo zatrudniał dziennikarkę niezgodnie z prawem i czerpał z tego korzyści.

Ewa odetchnęła z ulgą. Za wcześnie. TVP wniosła apelację. W listopadzie ub.r. sąd apelacyjny uchylił wyrok pierwszej instancji. Uznał, że Ewa bezpodstawnie się wzbogaciła. Zdaniem sędziów, gdyby TVP wiedziała, że kiedyś będzie musiała opłacić składki pracownicy, która była zatrudniona na umowie śmieciowej, mniej płaciłaby Ewie netto.

Sąd apelacyjny postanowił, że Ewa ma oddać TVP większość kwoty wpłaconej do ZUS, czyli 68 tys. zł, bo część tych składek w momencie przelewania pieniędzy do ZUS była już przeterminowana. Spłatę rozłożono na raty w wysokości 1 tys. zł miesięcznie. Poza tym Ewa musi zapłacić po 3,5 tys. zł kosztów sądowych za każdą ze spraw – w sądzie rejonowym i w sądzie apelacyjnym. Do tego dochodzą odsetki. Ewa, która teraz zarabia niewiele więcej, niż wynosi pensja minimalna, i ma na utrzymaniu dwoje dzieci, ze strachem myśli o przyszłości.

> Ten wyrok to sygnał , że opłaca się zatrudniać ludzi na umowach śmieciowych, a nie na umowach o pracę.

Początkowo liczyła na to, że jej sytuacja poruszy serce kogoś w TVP. Napisała do prezesa Jacka Kurskiego prośbę o umorzenie jej odsetek i kosztów sądowych. Odpowiedź była negatywna.

Gdyby mogła cofnąć czas… Czy walczyłaby o uznanie jej zatrudnienia jako umowy o pracę? Sprawy w sądach toczyły się niemal pięć lat, kosztowały ją wiele nerwów. A na koniec dowiedziała się, że musi zwrócić pieniądze, których nigdy nie miała. A gdyby można było zrobić tak: wycofać pieniądze z państwowego ZUS i oddać je państwowej telewizji, a te dziewięć lat potraktować jako bezskładkowy okres pracy? Ale ZUS, worek bez dna, jak już coś łyknął, nie odda.

To drugie takie rozstrzygnięcie w polskim sądzie na niekorzyść pracownika. I wyraźny sygnał dla ludzi pracujących na umowach śmieciowych: nie podskakujcie, nie buntujcie się, bo skończycie jak Ewa. Jesteście ekonomicznymi niewolnikami. Nie macie żadnych praw. Bo nawet jeśli sąd pracy przyzna wam rację, sąd cywilny może wam to odebrać. I zostaniecie goli i bosi, z długiem, który będziecie spłacać latami.

Znajomi Ewy skrzyknęli się w grupę, która ją wspiera. Napisali petycję do prezesa TVP Jacka Kurskiego. Podpisało ją ponad 340 osób. Domagają się w niej „anulowania długu w wysokości 68 tys. zł, kosztów odsetek do dnia umorzenia długu oraz kosztów sądowych byłej pracowniczki Telewizji Polskiej". Argumentują: „Samotna matka dwójki dzieci ma oddawać na rzecz ogromnej spółki połowę swojego dochodu. Dług ten godzi w poczucie sprawiedliwości społecznej". Link do petycji: http://fb.us15.list-manage.com/track/click?u=5e637f3fb3f1d44e0cd682213&id=f16ab9caeb&e=31f144985d.

– Miło mi, że ludzie stoją po mojej stronie – mówi Ewa. Ale czy wierzy, że mogą jej pomóc? ■

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl cc63cee1ad

ZAKOPANY ZA MILION ZŁOTYCH

Zbigniewa O. przestępcy wplątali w fikcyjną pożyczkę i zamordowali, a potem przejęli jego majątek

Helena Leman

Wieś Kaczki, 12 km od Pruszcza Gdańskiego, przy drodze na Starogard Gdański. Dwa sklepy, kaplica i dużo nowych domów wyrastających na działkach sprzedawanych przez rolników. Zbigniew O., lat 57, był kawalerem, żył jak inni ze sprzedaży ziemi odziedziczonej po rodzicach. Wypatrzyli go przestępcy, wplątali w fikcyjną pożyczkę, pobili i zakopali żywcem, a potem przejęli jego niemal milionowy majątek. 23 lutego przed Sądem Okręgowym w Gdańsku rozpoczął się proces siedmiu oskarżonych w tej sprawie.

ZAGINIONY

Był wtorek, 19 sierpnia 2014 r. Janusz G., sąsiad i przyjaciel Zbigniewa O., spotkał się z nim rano.

– Około ósmej poszliśmy do sklepu – opowiada – kupiliśmy piwo i coś do jedzenia i wróciliśmy do niego, pomagałem mu przy remoncie chałupy. Koło południa Zbyszek nagle oświadczył, że musi wyjść. Twierdził, że jest z kimś umówiony w pilnej sprawie. Podejrzewałem, że chodzi o sprzedaż działek, bo zabrał ze sobą teczkę z dokumentami. Gdy minęło kilka godzin, a on wciąż nie wracał, zacząłem go szukać. Najpierw pytałem w Kaczkach; sklepowa potwierdziła, że widziała go koło południa, lecz jakby zapadł się pod ziemię. W Trąbkach Wielkich też go nie było, ale spotkałem jego narzeczoną Alicję, młodszą od niego o 30 lat. Mieli brać ślub we wrześniu, zarezerwowali nawet salę na wesele w Kolbudach. Alicja też rozpytywała o Zbyszka i zawiozła mnie do domu. Mówiła, że zajrzy do mnie jeszcze wieczorem. Ale ja już na nią nie czekałem, schowałem się u kolegi. O dziewiątej zadzwonił brat, który mieszka naprzeciwko. Powiedział, że przyjechała Alicja z jakimś mężczyzną i mnie szukają. Brat im powiedział, że wyjechałem do syna do Gdańska, byli podobno trochę zaskoczeni. Potem Alicja przyjeżdżała do mnie jeszcze kilka razy. 20 i 21 sierpnia szukała Zbycha w stodole, w zabudowaniach gospodarczych. Gdy czas mijał, a jego wciąż nie było, zadzwoniłem po radę do żony, która mieszka w Gdańsku i jest emerytowaną policjantką. To ona zawiadomiła policję o zaginięciu Zbycha.

OSTRZEŻENIA

Na początku zakładano, że poszukiwany rolnik zapił się na śmierć albo gdzieś wyjechał.

– Nieraz przechwalaliśmy się przy piwku pod sklepem, że sprzedamy wszystko i pojedziemy na Hawaje – wspomina Janusz G. – ale to tylko takie żarty były. Zbyszek był bardzo przywiązany do swojego gospodarstwa. Zanim te działki zaczął sprzedawać, żył w biedzie. Mył się w misce. A jak kiedyś do szpitala trafił, to z Gdańska na piechotę przyszedł do domu, bo nie miał pieniędzy na bilet. Potem trochę się odkuł, w 2005 r. nowy dom postawił i powoli go wykańczał. Tak się z tego cieszył, że nigdzie by nie pojechał.

Siostra Zbigniewa O. też zapewniła policję, że brat wyjeżdżać z domu nie lubił. W tej sytuacji o związek z zaginięciem Zbigniewa O. zaczęto podejrzewać braci G.

– To siostra Zbyszka rzuciła na nas pomówienie – jest przekonany brat Janusza G. – Jak mogła nas tak oskarżyć? To mój kolega był, sąsiad. Po co miałbym go krzywdzić? Parę dni po zaginięciu policja zabrała nas o szóstej rano na przesłuchanie. Mnie, Janusza i jego syna, co wtedy w Gdańsku mieszkał. W naszych domach przeprowadzono rewizję.

– Całą chałupę mi przewrócili do góry nogami – żali się Janusz G. – Oskarżyli, że z domu Zbycha telewizor zabrałem. A ja go wziąłem tylko na przechowanie, bo jego dom stał otwarty. Sprowadziłem się do Kaczek 20 lat temu, kupiłem od Zbyszka ziemię, pobudowałem się. Z zawodu budowlaniec jestem, latami robiłem na budowach w Niemczech, na Ukrainie. Pomagałem też Zbychowi dach kryć, ogrzewanie zakładać. I ja mógłbym go zabić? Wszystko robiliśmy wspólnie, nawet na kolędy do mnie przychodził. A oni na przesłuchaniach twierdzili, że wiem, gdzie jest, i że kłamię. Na wykrywaczu kłamstw mnie badali. Ludzie już dziwnie zaczęli na mnie patrzeć. Jest festyn w Trąbkach, a oni znów podjeżdżają. Od razu trzeba było gdzie indziej szukać, niektórzy na wiosce coś tam przebąkiwali. Miesiąc przed zaginięciem do Zbyszka podjechał rolnik z sąsiedniej wsi, co ma plantację, i ostrzegł go przed interesami z Michałem S. Pamiętam też inną sytuację, już po zaginięciu Zbycha. W niedzielę stoimy pod kaplicą, podjeżdża dżipem S. Taki chłop z Trąbek Małych pyta go: „Michał, nie wiesz, gdzie jest Zbychu?”. Odparł: „Byłem w górach na wczasach, nic nie wiem”.

> Wyniki sekcji zwłok nie pozostawiły wątpliwości. Zbigniewa O. zakopano żywcem.

MIŁOŚĆ

O związek z zaginięciem Zbigniewa O. podejrzewano również jego narzeczoną Alicję. Kobieta pojawiła się we wsi latem 2014 r., chciała kupić od niego działkę. Według krewnych O. to przez nią znalazł się na celowniku przestępców. Kilka dni przed zaginięciem rolnik przedstawił kobietę rodzinie.

– Twierdził, że się zakochał i planują ślub. Ona młoda, bardzo atrakcyjna, on pod sześćdziesiątkę, niepracujący i z nosem w butelce. Od razu powiedziałam bratu, że chcą go okraść. Złożyli już nawet dokumenty w urzędzie stanu cywilnego, panna starała się

eprasa.pl cc63cee1ad

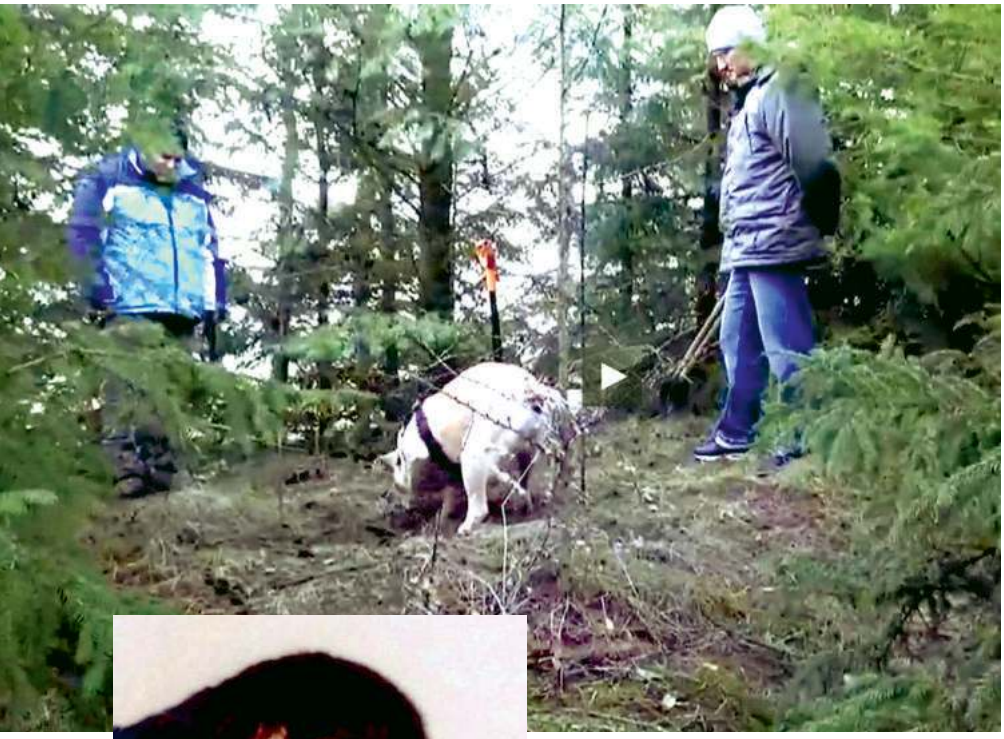

Pies tropiący odnalazł ciało Zbigniewa O. w lesie w Postołowie.

o przepisanie majątku – opowiadała mediom siostra rolnika.

Brat Janusza G. także nie owija w bawełnę: – Nieraz Zbyszkowi radziłem: „Weź lustro i popatrz, jak ona wygląda, a jak ty". Po co przyjeżdżała o dziewiątej wieczorem do Janusza w dzień zaginięcia Zbyszka? No po co? Na kawę? Wiadomo, po co... Była wtedy z mężczyzną, wysokim blondynem.

– Zbyszek to kiedyś fajny facet był. Gdyby wtedy znalazł odpowiednią żonę, nie byłoby całego nieszczęścia – mówi sąsiadka pana Janusza. – Często do nas zaglądał, z mężem majsterkowali w garażu. Zawsze przed świętami chciał, żebym przyszła i oceniła, czy dobrze choinkę ustroił. Potrzebował uwagi, ciepła, drugiego człowieka. Przed śmiercią przychodził do nas coraz bardziej zakochany. Ale to nie była kobieta dla niego, próbowaliśmy mu to tłumaczyć, nie tylko my zresztą. Wielu ludzi mu to mówiło.

Alicji broni Rafał, syn pana Janusza. Podkreśla, że kobieta utrzymuje się z handlu przez internet np. egzotycznymi zwierzętami i stąd miała środki na kupno działki. A w sprawę została wplątana przypadkowo.

– Od początku próbowała Zbyszka odnaleźć, współpracowała z policją. A to, że chciała za niego wyjść, jeszcze nie jest przestępstwem. Zresztą podobno on sam zaproponował jej taki układ. Powiedział: „Wyjdź za mnie, a będziesz miała wszystko". Daję głowę, że siedem na dziesięć lasek przystałoby na taką propozycję – przekonuje.

U notariusza zjawił się mężczyzna z fałszywym dowodem tożsamości, podający się za Zbigniewa O.

Pan Janusz nie do końca zgadza się z synem, uparcie wraca do wieczornej wizyty 19 sierpnia. Wybucha sprzeczka, w emocjach padają ostre słowa. Wychodzimy. Ściemnia się, w kojcu szczeka groźny pies, kupiony niedawno przez gospodarza. Za płotem ciągną się działki. Pięć z dwoma stawami należy do pana Janusza, do nich przylega 13, które stanowiły własność Zbigniewa O.

– Wymarzony teren na spore osiedle, zjazd prosto z szosy, wodociąg będzie w tym roku, prąd już jest – mruczy pod nosem pan Janusz.

BIAŁE MAŁŻEŃSTWO

Telefon do Alicji dostaję od Rafała. Przez tydzień próbujemy się umówić, ale jest bardzo zajęta. Kiedy już prawie rezygnuję, oddzwania. Czekam na nią w restauracji w Oliwie. Przychodzi spóźniona. Drobna, ciemna, ze stonowanym makijażem. Ubrana na sportowo. Mówi, że jest specjalistą do spraw marketingu. Studiowała architekturę wnętrz w Sopocie, ale przerwała. Zarabiała też jako kosmetyczka. Ma dwójkę dzieci. O działkach w Kaczkach dowiedziała się od kolegi, który zna Rafała.

– Zbyszek, jak mnie zobaczył, stracił dla mnie głowę, wygrałam los na loterii. Pani też by go wykorzystała. Ludzie mnie oskarżają, że ja tylko na kasę lecę. Poniekąd tak jest, lecz co w tym złego? – zaczyna konkretnie. – Zbyszek by pomógł mnie, a ja jemu. On tylko chciał, żebym tam mieszkała. Żadnych kontaktów fizycznych między nami nie było ani ich nie planowaliśmy, to miało być białe małżeństwo. Lepsze takie niż z miłości, która za chwilę się skończy. Zresztą Zbyszek był nieśmiały, kobiet się bał, musiał mieć jakieś złe doświadczenia z młodości. Do kieliszka zaczął zaglądać po śmierci rodziców. Lubiłam go, był zabawny, dobry, pomagał wszystkim, nawet chciał oddać działkę Kościołowi, ale nie zdążył. Ze mną miałby jak u Pana Boga za piecem, zadbałabym o to. Już jak zaczęłam przyjeżdżać, to mniej pił, skończyły się spędy u niego. Robiłam mu zakupy, przywoziłam obiady, a w niedzielę przed zaginięciem załatwialiśmy obrączki. W poniedziałek był bardzo zdenerwowany, płakał, mówił, że ktoś za nim jeździ, że się boi. Chodziło o człowieka, który wyciągnął od niego wcześniej 14 tys. zł za załatwienie prawka na traktor. Zresztą ten traktor mu ukradziono. Jakieś dwa tygodnie przed zaginięciem zgubił również dowód, potem go odnalazł. Sama pani teraz widzi, że sieć na niego została zarzucona już wcześniej, a moje pojawienie się tylko ponagliło sprawców.

Gdy pytam, czy to prawda, że Zbigniew zażądał spisania intercyzy, od-

eprasa.pl cc63cee1ad

powiada wymijająco: – On by zrobił wszystko, co ja chcę, nawet jego żoną nie musiałabym być.

Wyznaczonej daty ich ślubu dokładnie nie pamięta. – 12 albo 19 września – waha się.

– Gdyby nie ja, Zbychu do tej pory nie zostałby odnaleziony. To ja dałam policji kartkę z numerem rejestracyjnym samochodu, który za nim jeździł – ciągnie. – To ja odkryłam w księgach wieczystych, że jego nieruchomość zmieniła właściciela. Jego relacje z rodzeństwem były słabe, rzadko go odwiedzali. Była między nimi jakaś zadra, ale on nigdy mi o tym nie mówił. Z początku myślałam, że siostra gdzieś go wywiozła, żeby nie dopuścić do naszego ślubu. Szukałam go, jak umiałam, jeździłam po wioskach, pytałam w szpitalach, po każdych wyłowionych gdzieś zwłokach dzwoniłam na policję. Zresztą policja aż przez siedem miesięcy mnie podejrzewała, jeździła za mną. Na przesłuchaniach nieraz słyszałam, że pewnie go taboretem walnęłam... Niech sobie ludzie wieszają na mnie psy, ważne, że policja, prokuratura wiedzą, jak było. Nie jestem o nic oskarżona.

O udział w spisku i zabójstwie oskarżonych jest siedem osób.

TROP

Kilka miesięcy po zaginięciu Zbigniewa O. starania o przejęcie jego majątku wszczął Andrzej K., właściciel jednego z gdańskich lombardów. Podczas sprawy spadkowej dowodził przed sądem, że 14 sierpnia 2014 r. w restauracji na gdańskiej Morenie zawarł ze Zbigniewem O. umowę o udzielenie 440 tys. zł pożyczki pod zastaw nieruchomości w Kaczkach. Transakcję zorganizował Michał S. Zbigniew O. miał dostać do ręki 230 tys. zł, resztę potrącono jako odsetki. Umowa została przypieczętowana tego samego dnia w jednym z biur notarialnych w Gdańsku. – Kiedy sędzia zapytała K., w jakiej formie dał pożyczkę mojemu bratu, ten odpowiedział, że nie pamięta. Zaczął kręcić, opowiadać, że chyba w reklamówce – mówiła potem siostra Zbigniewa O.

Andrzej K. przejął dom i działki, ale policja zaczęła podejrzewać spisek. Sprawą zajęła się Komenda Wojewódzka Policji w Gdańsku. Śledczy ustalili, że 14 sierpnia u notariusza zjawił się mężczyzna z fałszywym dowodem tożsamości, podający się za Zbigniewa O. Dotarli także do osób obecnych wtedy u notariusza. Jedna podczas zatrzymania wskazała policjantom miejsce ukrycia zwłok. W grudniu 2015 r., kilka dni przed świętami, podczas wizji lokalnej w lesie w Postołowie pod Pruszczem Gdańskim pies tropiący znalazł ciało Zbigniewa O. Było zakopane metr pod ziemią i przysypane wapnem. Wyniki sekcji zwłok nie pozostawiły wątpliwości. Drogi oddechowe zmarłego były wypełnione ziemią, przyczyna śmierci – uduszenie. Zbigniewa O. zakopano żywcem.

Przebieg zdarzeń był następujący. Cztery dni po zawarciu rzekomej umowy Michał S. z Krzysztofem M. wypożyczyli w Gdańsku forda transita. Pojechali do lasu w Postołowie i wykopali grób. Następnego dnia porwali ofiarę, brutalnie pobili, wrzucili do przygotowanego dołu i zasypali wapnem i ziemią.

PROCES

23 lutego w Sądzie Okręgowym w Gdańsku rozpoczął się proces w tej sprawie. Prokuratura okręgowa skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko siedmiu osobom w wieku od 26 do 60 lat. Najcięższe zarzuty – zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem – postawiono Michałowi S. i Krzysztofowi M. Grozi im za to kara od 12 lat więzienia do dożywocia. Michał S. odpowiada dodatkowo za zorganizowanie całego oszustwa i namawianie do składania fałszywych zeznań. Podstawiony przez niego 55-latek z fałszywym dokumentem tożsamości podał się u notariusza za Zbigniewa O. i podpisał z Andrzejem K. fikcyjną umowę pożyczki pod zastaw domu i działek wartych ok. 980 tys. zł. Gdy O. zaginął, a pożyczka nie została spłacona, Andrzej K. przejął nieruchomości rzekomego dłużnika. Przed sądem odpowiada z wolnej stopy. Z aresztu wyszedł za poręczeniem majątkowym w wysokości 300 tys. zł. – Nie rozumiem, jak człowiek, który miał czelność po zabójstwie brata przyjść na rozprawę i w obecności rodziny domagać się majątku, może chodzić na wolności? – mówiła pod koniec grudnia dziennikarzowi siostra zabitego.

Prokuratura oskarża Andrzeja K. o bezprawne przywłaszczenie cudzych praw majątkowych. Podobny zarzut, a także m.in. podrabiania dokumentów i namawiania do składania fałszywych zeznań, usłyszały cztery inne osoby, które miały brać udział w sfingowaniu umowy notarialnej, w tym 26-latek, startujący w 2014 r. do Rady Gminy Trąbki Wielkie. Oskarżonym grożą kary do dziesięciu lat więzienia.

Jak poinformowała Tatiana Paszkiewicz z Prokuratury Rejonowej w Gdańsku, nie przedstawiono zarzutów notariuszowi. Przyjęto, że doszło do wyłudzenia poświadczenia nieprawdy w akcie notarialnym.

Gdy wyjeżdżam z Kaczek, okazały dom pana Zbigniewa przy samej szosie stoi opuszczony. Mieszkańcy mówią, że budynek jest zaplombowany, a postępowanie spadkowe może potrwać.

Helena Leman

PS Jedna z zatrzymanych osób zeznała, że ofiar podobnych wyłudzeń nieruchomości jest więcej. Policja jednak żadnej nie odnalazła.

FOT. MATERIAŁY POLICJI (2), MARCIN GADOMSKI/AGENCJA SE/EAST NEWS

eprasa.pl cc63cee1ad

Rozmawia Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

UCIECZKA Z PIEKŁA BOKO HARAM

Ciężarnym kobietom islamscy terroryści rozcinali brzuch i wyjmowali płód, co oznaczało śmierć obojga

ANDREA C. HOFFMANN

– niemiecka publicystka, autorka książki o młodej Nigeryjce, której udało się uciec z piekła islamistów z Boko Haram

Główną postacią pani nowej książki jest 19-letnia Patience, Nigeryjka, która dwa lata temu została uprowadzona przez organizację Boko Haram. Jakimi kanałami dotarła pani do niej?

– Spotkałam się z nią na północnym wschodzie Nigerii, w milionowym mieście Maiduguri. Stolica stanu Borno uchodzi za kolebkę tej radykalnej islamskiej sekty. Miasto zamieszkują w głównej mierze muzułmanie, choć istnieją tam również świątynie chrześcijańskie, będące ustawicznym celem ataków. W jednej z tych parafii pracuje moja niemiecka koleżanka, opiekująca się kobietami, którym udało się wyrwać ze szponów terrorystów. Chciałam napisać reportaż o tych straumatyzowanych Nigeryjkach, często wielokrotnych wdowach, od których nasz zachodni świat się odwrócił. Patience mieszka w schronisku, które powstało właśnie pod kuratelą tej parafii; jako jedna z niewielu odważyła się uchylić rąbka swojej potwornej tajemnicy. Jej imię urasta do rangi symbolu. Patience rzeczywiście z niemal anielską cierpliwością znosiła miesiącami przemoc i upokorzenia, padając np. ofiarą zbiorowego gwałtu lub będąc świadkiem systematycznych egzekucji.

Boko Haram oznacza w języku hausa: zachodnia edukacja to świętokradztwo.

Nigeria to kraj głęboko podzielony. Chrześcijanie na południu walczą z muzułmanami na północy, nawet w muzułmańskich rodzinach dochodzi do konfliktów. Terroryści z Boko Haram nierzadko zabijają własnych krewnych, których wiara odbiega od ich wersji islamu.

– To prawda, zresztą w książce opisuję kilka takich sytuacji. Patience po uprowadzeniu spotkała wśród dżihadystów jednego z bliskich krewnych, który dołączył do Boko Haram. Kiedy zauważyła uśmiechniętego stryja, niekryjącego radości z niespodziewanego spotkania, młoda kobieta zakładała, że jej losy potoczą się już pomyślnie. Szybko jednak stwierdziła, że to nie ten sam człowiek, lecz tyran, który w imię ideologii religijnej stosuje przemoc wobec kobiet, także wobec niej. Zmuszał ją do przestrzegania szarijatu, nalegał, aby związała się z jednym z islamistów. Dał jej na-

Dziecko Patience było świadkiem przemocy, a nawet kanibalizmu.

eprasa.pl cc63cee1ad

Centrum dla matek z dziećmi, które uciekły z niewoli Boko Haram, prowadzone przez Lekarzy bez Granic w Maiduguri.

wet nowe imię, a to wcześniejsze kazał wyrzucić z pamięci. W oczach tych mężczyzn pojęcie tradycyjnej rodziny już nie istnieje, te sytuacje wiele mówią o daleko posuniętej indoktrynacji, której ulegli.

Nie tylko fundamentaliści z Boko Haram źle traktują kobiety. Są one także upokarzane przez chrześcijan i żołnierzy sił rządowych. Czy wybierając się tam, nie miała pani obaw?

– Kobiety nie mają w Nigerii łatwego życia. W oświadczeniach prasowych Boko Haram powołuje się na zamordowanego w Maiduguri kaznodzieję Ustaza Mohammeda Yusufa. Tam powstała jego organizacja terrorystyczna, ale samo miasto już nie jest oficjalnie pod jej kontrolą. Prawie na każdym rogu działają jednak szkoły oraz inne instytucje, które po cichu głoszą ideologię Boko Haram. Podszepty, donosy i ogólna podejrzliwość wobec kobiet oraz innowierców są tam na porządku dziennym. Jeśli Nigeryjki są u siebie traktowane jak obywatelki drugiej kategorii, to białe dziennikarki z chrześcijańskiego Zachodu tym bardziej. Trzymałam się więc z dala od tych instytucji, przy czym nawiązałam wcześniej kontakty zapewniające mi bezpieczeństwo.

Czy w Kościele ewangelickim, który był i jest na celowniku islamistów, mogła pani się czuć bezpieczna?

– W Nigerii nigdzie nie można się czuć do końca bezpiecznie. Wszystkie świątynie mogą zostać w każdej chwili zaatakowane, również meczety. W tym kraju od lat panuje krwawa wojna religijna. Wywrotowcy z Boko Haram dążą do stworzenia kalifatu, który obejmowałby wszystkie instytucje państwowe. Wobec tego obierają za cel ataków terrorystycznych nie tylko kościoły, lecz także posterunki policji, instytucje edukacyjne lub obiekty służb bezpieczeństwa. Chrześcijanie często zachowują się podobnie, reagując odwetem. Na południu podpalają meczety, samochody i stacje benzynowe, które należą do muzułmańskiej mniejszości. To autentyczny apartheid, tyle że opiera się na kryteriach religijnych, a nie rasowych. W nigeryjskich miastach z powodu zamieszek dochodzi czasem do kompletnego załamania życia codziennego. Zamykane są szkoły, banki i urzędy. W tej wojnie kobiety doznają potrójnej przemocy – najpierw ze strony mężów, potem wyznawców wrogiej religii, którzy tych mężów zabijają, wreszcie żołnierzy sił rządowych, dla których kobiety są cennym łupem.

Ale to chyba ekstremiści z Boko Haram stosują krańcową przemoc?

– Na pewno, zresztą nie tylko wobec kobiet, ale i dzieci. W pobliżu Maiduguri dżihadyści dokonali w ubiegłym roku pacyfikacji wioski, podpalając m.in. szkołę. Spalili żywcem ponad osiemdziesięcioro dzieci, które pragnęły tylko się uczyć, dowiedzieć się czegoś o świecie poza ich wioską. Boko Haram oznacza w języku hausa: zachodnia edukacja to świętokradztwo.

Moim zdaniem ten afrykański gatunek islamskiego terroryzmu jest szczególnie brutalny, ponieważ w jeszcze większym stopniu niż ISIS odrzuca owoce zachodniego oświecenia. Ale trudno w tym kontekście nie wspomnieć o skrajnej brutalności nigeryjskich żołnierzy. Oni też pacyfikują wioski i mordują często niewinnych ludzi, podejrzanych na słabych podstawach o przynależność do Boko Haram. Są przekonani o swojej bezkarności i w imię zaprowadzania porządku w swoim państwie pozostawiają za sobą krwa-

ANDREA C. HOFFMANN – publicystka i reportażystka, dziennikarka monachijskiego tygodnika „Focus". Wykładowczyni na Uniwersytecie Mannheim, autorka książek o Bliskim Wschodzie i Afryce. Przedstawia głównie losy kobiet mieszkających w regionach kryzysowych. Jej ostatnie dwie książki o młodych kobietach, którym udało się uciec z niewoli terrorystów Państwa Islamskiego („Dziewczyna, która pokonała ISIS") i Boko Haram („Piekło od środka"), zostały przetłumaczone na kilkanaście języków.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE, AP/FOTOLINK/EAST NEWS, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl cc63cee1ad

we ślady, nie mówiąc już o fatalnych pomyłkach, jak ta ze stycznia, gdy na północy zbombardowano obóz dla uchodźców, który wcześniej oznaczono jako kryjówkę Boko Haram.

Młode kobiety znikają właściwie codziennie, ale dopiero uprowadzenie jednego dnia ponad 200 Nigeryjek zwróciło w 2014 r. większą uwagę Zachodu na to, co się dzieje na północy tego kraju. Dlaczego tak późno?

– Poza nagłośnieniem sprawy w mediach w samej Nigerii niewiele się zmieniło. Kiedy dotarłam do Maiduguri, byłam w szoku. Zastałam tam przygnębiającą sytuację wojny domowej, lecz o niej wiedziałam już wcześniej. Byłam natomiast przerażona, że nikt tym kobietom nie pomaga. Oprócz wspomnianej parafii nie zauważyłam tam żadnej organizacji pomocowej, która zaangażowałaby się w ich sprawę, nie mówiąc już o psychologach czy psychoterapeutach. Młode Nigeryjki, takie jak Patience, nie wiedzą, jak i za co mają dalej żyć. Nie otrzymują pomocy, a na domiar złego po powrocie do swoich miejscowości są stygmatyzowane, jakby same były winne tego, że zostały porwane. Na dodatek wychowują dzieci spłodzone przez islamistów z Boko Haram. Nieraz już dochodziło do samobójstw, bo wróciwszy w rodzinne strony, kobiety te nie radziły sobie z doznaną wcześniej traumą i obojętnością swojego środowiska. Nie tylko Zachód długo od tego dramatu się odwracał, także sama Nigeria wolała go ignorować. Żyjący na południu kraju chrześcijanie nie chcą wiedzieć, co się dzieje na północy. Reakcje zachodnich mediów były o tyle skuteczne, że zmusiły byłego prezydenta Nigerii Goodlucka Jonathana do bardziej stanowczych działań w walce z Boko Haram. Ale Nigeryjki nadal w dużej mierze są osamotnione w swoich nieszczęściach.

Jak pani bohaterce udało się uciec?

– Jestem pełna podziwu dla Patience. Nie tylko dlatego, że wykazała się taką odwagą i przezwyciężyła lęk przed terrorystami. Oczywiście mogła zostać w każdej chwili schwytana lub zabita, ale sama ucieczka z bagnistej twierdzy Boko Haram w lesie Sambisa wydaje się wprost niemożliwa. Uciekła bez butów, po ciemku. Na tak ryzykowną przeprawę może się zdobyć tylko ktoś, kto nie ma już nic do stracenia. Patience próbowała się uwolnić dwukrotnie. Za pierwszym razem swojej ucieczki nie planowała, pomógł jej jeden z terrorystów, który postanowił zerwać z islamską sektą. Niestety, złapano ich. Patience przeżyła wyłącznie dlatego, że kupiono wersję, wedle której została do ucieczki zmuszona. Druga próba była już zaplanowana i na szczęście się powiodła.

Nigeryjscy żołnierze pacyfikują wioski i mordują ludzi podejrzanych o przynależność do Boko Haram.

Czy ma pani jeszcze kontakt z Patience? Jak obecnie się jej powodzi?

– Utrzymujemy kontakt dzięki wspomnianej parafii ewangelickiej, w której pracuje moja znajoma. Patience posługuje się jedynie językiem hausa, ma trudności z angielskim. W pracy pomagała nam tłumaczka, która była obecna podczas naszych rozmów. Z dostępnych mi informacji wnioskuję, że obecnie Patience zmaga się z problemami zdrowotnymi. Choruje na depresję, choć nie jest w stanie nazwać jej po imieniu, bo w jej języku i świecie nie ma odpowiednich określeń. Mówi zatem o dziwnych bólach głowy i przemęczeniu. Jej dziecko z pewnością również wiele wycierpiało. Podobnie jak matka było świadkiem przemocy, a nawet przejawów kanibalizmu. Teraz co rusz łapie jakieś infekcje. W odróżnieniu od wielu innych kobiet Patience nie zaszła w ciążę w wyniku gwałtu. Co prawda w niewoli u Boko Haram została wielokrotnie zgwałcona, ale była już w ciąży z mężem, zanim ją uprowadzono. Pierwsze stadium ciąży potrafiła skutecznie ukryć, a później terroryści uznali, że maleństwo jest wynikiem stosunku z jednym z nich.

Co się działo z innymi ciężarnymi kobietami?

– Tym porwanym kobietom, którym nie udało się ukryć ciąży, islamscy terroryści rozcinali brzuch i wyjmowali płód, co było często równoznaczne ze śmiercią matki i dziecka. Co do Patience – mimo podatności na przeziębienia i depresji nie wiedzie się jej najgorzej, w każdym razie w porównaniu z innymi młodymi kobietami, które spotkałam w parafii. Próbuje patrzeć w przyszłość, zamierza zostać krawcową i pracować. Dziecko nie pozwala jej zbyt długo pogrążać się depresji, Patience pragnie żyć. Trochę się ustabilizowała. Jak twierdzi, czerpie całą swoją siłę z wiary chrześcijańskiej.

Wojciech Osiński

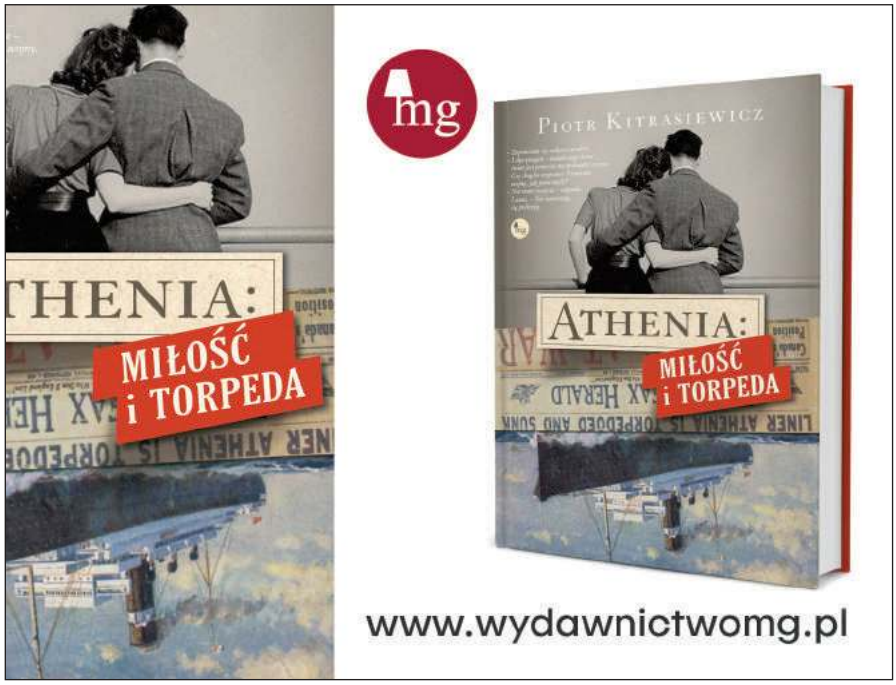

eprasa.pl cc63cee1ad

Dominik Sipiński
Korespondencja z Indii

INDYJSKI KRAJ MARKSA

W Kerali nie trzeba o swoje walczyć, bo władze zapewniają każdemu to, co mu potrzebne

Terminal promowy w przemysłowym mieście Ernakulam, będącym bramą do pobliskiego zabytkowego Koczinu, równie dobrze mógłby być terminalem do podróży w czasie. Nie tylko dlatego, że odpływające co kilka minut promy wyglądają, jakby pamiętały jeszcze brytyjską kolonię; zresztą niewykluczone, że istotnie są tak stare jak kraj. Wrażenie przeniesionych żywcem z radzieckich z kolei transparentów z lat 20. robią także portrety Karola Marksa i Włodzimierza Lenina witające gęsty tłum pasażerów. Na czerwonym tle, z sierpem i młotem, nie zgadza się jedynie pismo – zamiast cyrylicy hasła zapisano w malajalam.

Dla stoczniowców, marynarzy i kupców codziennie pokonujących kilkunastominutową przeprawę między Ernakulam a Koczinem nie ma w nich jednak nic dziwnego. Kerala, stan, w którym leżą te miasta, reklamuje się wprawdzie hasłem *God's own country,* Własny kraj boga, ale celniejsze byłoby określenie, że to własny kraj Marksa. Korzystając z wyjątkowych uwarunkowań, ideowi spadkobiercy współautora „Manifestu komunistycznego" regularnie i demokratycznie dochodzą do władzy, a na konto mogą sobie zapisać brak biedy, analfabetyzmu, bezdomności i nierówności. Jednak te osiągnięcia są finansowane pieniędzmi z Zatoki Arabskiej, oazy dzikiego kapitalizmu. Od roku keralscy komuniści mierzą się z niełatwym zadaniem znalezienia drogi między lewicową ideologią a wolnorynkowymi realiami.

STAN JAK STARY AUTOBUS

Terminal promowy w Ernakulam, jednym z głównych centrów transportowych i przemysłowych położonej na południu indyjskiego subkontynentalnego trójkąta Kerali, to miejsce pod wieloma względami nietypowe.

W oczy rzuca się brak chaosu. Choć kolejki do kas w godzinach szczytu ciągną się przez całą halę, to istnieją, co w Indiach nie jest takie oczywiste. Pasażerowie obsługiwani są w kolejności, nikt się nie przepycha ani nikogo nie pogania. Nie słychać pokrzykiwań, nawet nieustanny jazgot klaksonów z ulicy jakby przestaje świdrować w uszach. Wielu oczekujących jest pogrążonych w lekturze gazet. Ci, którzy rozmawiają, zwykle mówią o polityce. Indie to kraj rozczytany, ale nigdzie tak intensywnie nie śledzi się codziennych wystąpień czy prac parlamentu.

Kolejna niezwykłość – promy kursują regularnie i na czas, a bilety kosztują zaledwie rupię, ok. 6 gr. – Sprawny i bardzo tani transport publiczny to efekt komunistycznej polityki, która dominuje w Kerali. To tłumaczy też uporządkowanie i spokój. Tutaj nie trzeba o swoje walczyć, bo władze zapewniają każdemu to, co mu potrzebne – tłumaczy Beena Sebastian, socjolożka i założycielka lokalnego stowarzyszenia Cultural Academy for Peace.

W rzeczywistości Kerala nie jest aż taką idyllą – jak wszędzie w Indiach o siebie trzeba zadbać przede wszystkim samemu. Ale nie ma wątpliwości, że władze i społeczeństwo funkcjonują tu zupełnie inaczej niż gdzie indziej.

– Nasz model rozwoju polega nie na wysokich zarobkach, tylko na równości i dbaniu o wszystkich. Spójrz na promy w Koczinie – są stare i niedoinwestowane, ale tanie, regularne i wystarczające. Rząd mógłby kupić nowe, ale wtedy musiałby podnieść ceny biletów i niektórych pewnie nie byłoby stać – wyjaśnia Beena Sebastian.

Tak samo jest ze stanowymi autobusami. Ledwo zipiące pojazdy za półdarmo docierają wszędzie. Rząd Kerali jest z nich tak dumny, że zdjęcia busów regularnie pojawiają się na instagramowym koncie agencji publicznej promującej turystykę w Kerali.

BIEDNIEJ, ALE RÓWNO

Indie to kraj, w którym poszczególne stany sprawiają wrażenie klocków dopasowanych bardzo na siłę i utrzymywanych razem siłą woli. A Kerala szczególnie nie pasuje do tej układanki. W państwie do znudzenia opisywanym jako kraj kontrastów ona te kontrasty zniosła.

Choć bieda jest tu jak wszędzie, nigdzie w Indiach nie ma jej tak mało. Zgodnie z oceną analityków CRISIL, firmy należącej do agencji Standard & Poor's, nierówności społeczne są tu najmniejsze w kraju. Kerala ma najwyższą płacę minimalną, najwyższy wskaźnik dostępności usług finansowych, a najniższy analfabetyzmu (zaledwie 6%,

eprasa.pl cc63cee1ad

niądze, by zbudować dom, którego nikt im nie może odebrać – opowiada Charles, który w nadmorskiej wiosce Kovalam prowadzi knajpkę dla turystów, a nad przyprawianą herbatą godzinami dyskutuje o polityce.

Wreszcie, co dla rządzących najbardziej znaczące, Kerala ma najwyższy w Indiach wskaźnik rozwoju społecznego – gdyby była państwem, uplasowałaby się mniej więcej na 50. miejscu na świecie, obok Rumunii, podczas gdy całe Indie są na 109.

Równocześnie stan nie jest zamożny, zajmuje dopiero 11. miejsce pod względem PKB na głowę; poza turystyką i stocznią w Koczinie nie ma tu niczego, co byłoby wizytówką jego gospodarki.

Kerala wyróżnia się za to w sporcie. Tylko tu dzieciaki grające w piłkę konkurują z młodymi krykiecistami, wszędzie indziej ta druga dyscyplina jest znacznie popularniejsza. Nikt nie potrafi obiektywnie wyjaśnić, skąd to się wzięło, ale gracze mają swoją teorię. – Krykiet jest dla bogatych z północy, a do gry w nogę nie potrzeba niczego, nawet piłki, bo każdy może kopać butelkę – mówi Praksal, który jest już nieco za stary na sport i pracuje w jednym z hoteli w pobliżu stolicy stanu, Thiruvananthapuram. Wspomina, że gdy był lewoskrzydłowym w lokalnej półprofesjonalnej drużynie, za wygrany mecz cały zespół dostawał do podziału 100 lub 200 rupii (6-12 zł). Nigdy nie wydawali tych pieniędzy inaczej niż na wspólne jedzenie, dzieląc się z tymi, którzy nie grali.

KOMUNIŚCI PRZY URNACH

Komunizm w Kerali jest stary jak demokracja w Indiach. Stan powstał dopiero w 1956 r., dziewięć lat po uzyskaniu przez kraj niepodległości. Rok później odbyły się tam pierwsze regionalne wybory. 60 foteli w 126-miejscowym parlamencie zdobyła Indyjska Partia Komunistyczna (CPI). Kerala była jedynym stanem, gdzie nie rządzili wówczas koledzy premiera Jawaharlala Nehru z Partii Kongresowej.

Komunistyczny rząd Kerali był drugim na świecie wybranym w wolnych wyborach, a biorąc pod uwagę, że pierwszy powstał 12 lat wcześniej w 30-tysięcznym San Marino – pierwszym na dużą skalę. W Kerali mieszka niemal 35 mln osób; lokalny rząd o dużych uprawnieniach ma więc pod sobą trzy razy więcej osób, niż miał Fidel Castro.

Przez 30 lat Keralą rządzili komuniści. Rok temu po przerwie znowu doszli do władzy, zdobywając 91 ze 140 mandatów.

Piszący w latach 70. Robin Jeffrey z Australian National University uważa, że Kerala była wymarzonym poletkiem dla komunistów. Jeszcze za Brytyjczyków stan – podzielony na trzy regiony i odgrodzony górami od reszty kraju – miał najmniej analfabetów, m.in. dzięki szkołom religijnym. Czytać umiało prawie 20% populacji, a średnia dla kraju nie przekraczała 10%. Za mniej fatalną niż gdzie indziej edukacją poszła świadomość społeczna. Nowe idee mogły szybciej trafić do mieszkańców.

Społeczeństwo Kerali należało jednak do najbardziej feudalnych w całych Indiach. Połowa mieszkańców była pozbawiona praw, a członkowie najniższych kast – pariasów i pulajów – jeszcze w latach 30. byli w praktyce niewolnikami. Równocześnie istniał prymitywny, ale kolektywny przemysł, który ułatwiał organizację robotników.

Gdy więc na początku XX w. zaczął się rozpadać system społeczny, radykalizacja postępowała błyskawicznie. Początkowo Keralczycy szli ramię w ramię ze zwolennikami Gan-

Symbole skądś znamy, ale hasła zamiast w cyrylicy zapisano w malajalam.

o 20 pkt proc. mniej niż średnia dla kraju). Ma też najmniejsze rozbieżności między poziomem wykształcenia i zarobków kobiet oraz mężczyzn, a także między miastami a wsią.

– Prawie nie ma bezdomnych, bo rząd ma program wsparcia, polegający na tym, że bezdomni dostają ok. 100 m kw. ziemi na własność i pie-

eprasa.pl cc63cee1ad

dhiego i Partii Kongresowej, ale szybko wkradła się w ich szeregi tradycyjna wśród południowców nieufność do północy kraju. To wykorzystali mocno już wtedy osadzeni w fabrykach i na wsi komuniści. Ich sukces w Kerali wystraszył władze w Delhi, które zaczęły traktować południowy stan jak niedotykalnego.

Ale Keralczycy nie zmienili poglądów. W ciągu 60 lat od czasu, kiedy Kerala została stanem, komuniści z CPI oraz wydzielonej z niej Indyjskiej Partii Komunistycznej (Marksiści), CPI(M), rządzili tu przez 30 lat. Rok temu, po pięcioletniej przerwie, znów doszli do władzy, w wyborach – dodajmy – ocenianych przez Economist Intelligence Unit jako równie uczciwe co w Niemczech czy Holandii. Lewicowy Front Demokratyczny pod przywództwem marksistów zdobył 91 ze 140 mandatów. Legitymację ma mocną, bo w Kerali frekwencja w wyborach regularnie osiąga 80%, o 10-15 pkt proc. przekraczając średnią krajową.

– To nie tak, że ludzie nie głosują tu na inne partie albo uważają komunistów za idealnych. Jednak te okresy, gdy rządzą inni, pokazują nam, że to CPI i CPI(M) są najmniej skorumpowane i robią najwięcej dla ludzi. Poza tym mieszkańcy Kerali po prostu myślą po socjalnemu – wyjaśnia Charles.

Przewaga komunistów w głosach nigdy nie jest tak duża jak w parlamencie, bo w Indiach głosuje się w okręgach jednomandatowych. Ale, jak podkreśla Charles, nawet obecna opozycja nigdy nie zakwestionowała socjalnych podstaw lokalnej polityki.

Kerala ma najwyższą płacę minimalną, najwyższy wskaźnik dostępności usług finansowych, a najniższy analfabetyzmu.

UCZ SIĘ POLITYKI

Charles, który pracując przez 20 lat w Norwegii, jeszcze bardziej nasiąkł państwem dobrobytu, uważa, że Keralczycy są socjalni, bo interesują się polityką i społeczeństwem. A to dzięki wykształceniu. – Szkoły są tu za darmo, obowiązkowe i dobre. Wykształceni ludzie interesują się polityką. Wszyscy w Indiach mnóstwo gadają, a tu rozmawia się o władzy i aferach – przekonuje. Wiarygodności dodaje mu sterta trzech codziennych gazet na stoliku.

Ta edukacyjna równość ma także ciemne strony. W Indiach – kraju, gdzie od liczby ukończonych klas podstawówki często wprost zależy pensja – szkoła to najprostsza droga w górę drabiny społecznej. W Kerali mogą na tę drabinę wejść wszyscy, a więc trudniej się wyróżnić.

Beena, która w Ernakulam pracuje m.in. z kobietami i biednymi, przyznaje, że wykluczenie społeczne nadal istnieje, ale nie jest tak widoczne jak w innych stanach i rzadziej dotyczy kwestii finansowych. Zamiast biedy i barier ludzi ogranicza tu jednolitość.

Nawet jeśli Keralczykom uda się wyrwać z własnej grupy społecznej, inne będą takie same. I tak samo konserwatywne, bo według prof. Jayakumari Deviki, badaczki z keralskiego Centrum Rozwoju Społecznego, politycy opierają się na tradycyjnych wartościach.

eprasa.pl cc63cee1ad

– Nasze społeczeństwo jest lewicowo-prawicowo-lewicowe. Lewicowe, bo rządzą komuniści. Podwójnie lewicowe, bo tu w ideały socjalizmu się wierzy. Prawicowe, bo religia i tradycja znaczą tyle samo, a może i więcej niż w innych stanach – uważa Charles.

Potwierdza to choćby kobiece skrzydło marksistów, twierdzące, że szczyt wyzwolenia kobiet to samodyscyplina seksualna i spełnianie się głównie w pracach domowych.

Na tle Indii, gdzie ruch – fizyczny i społeczny – jest osnową społeczeństwa, Kerala wypada apatycznie. Widać znużenie przyjętym modelem rozwoju, jeszcze 20 lat temu stawianym przez wielu ekonomistów za wzór dla gorzej rozwiniętych państw.

PETRODOLARY W START-UPY

W Kerali nie zniknęła jednak typowo indyjska potrzeba wyjazdu za chlebem. Ambitni z Gudżaratu wyjeżdżają na budowy do Bombaju, a obrotni Keralczycy odlatują za Morze Arabskie.

Według różnych szacunków nawet 30% PKB Kerali pochodzi z pieniędzy przesyłanych do domu przez emigrantów, szczególnie ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich i Kataru. Gdyby odliczyć te przelewy, stan spadłby poniżej indyjskiej średniej zamożności. Keralczycy mają świadomość, że żyją na kredyt. Beena Sebastian zdaje sobie sprawę, że to dzięki pieniądzom migrantów stan może finansować edukację i transport dla wszystkich.

– W Kerali kochamy naszą naturę. Dlatego gdy rząd chciał zbudować wielką elektrownię wodną, protestowaliśmy i władze się wycofały. Nie ma tu też żadnej elektrowni jądrowej. Przez to nie mamy dość własnej energii, ale na szczęście energetyka jest scentralizowana i możemy podbierać prąd ze stanów, które nie przejmują się ekologią – śmieje się Charles, choć temat jest poważny, bo niedobory energii to jedna z największych infrastrukturalnych bolączek Indii.

Transfery z Dubaju trudno uznać za długoterminowy plan, do tego od czasu spowolnienia w Zatoce po spadku cen ropy do Kerali trafia mniej pieniędzy. Niewielki przemysł podupada, maleje też produkcja rolna. Do stanu wracają bieda i bezrobocie, nierówności rosną, finansowanie programów socjalnych jest zagrożone.

Lewicowy Front Demokratyczny (LDF) szuka na to odpowiedzi w niecodziennym jak na zdeklarowanych marksistów programie gospodarczym. Marksiści krytykują korporacje zarabiające na globalizacji, nieudaną prywatyzację – winę poprzedniego rządu – i niekorzystne dla lokalnych rolników porozumienia o wolnym handlu. Protestują przeciw korupcji prawicowej Partii Kongresowej oraz ograniczającym wolność mediów czy prawa mniejszości nacjonalistom hinduskim, którzy rządzą obecnie całym krajem i dużymi stanami.

Ale tylko niektóre ich recepty pasują do lewicy – wielkie programy infrastrukturalne, przywrócenie roli należących do stanu firm przemysłowych, utrzymanie szerokich programów socjalnych, budżety partycypacyjne. Równocześnie w programie znalazły się zapowiedzi przyciągnięcia do Kerali koncernów i prywatnych inwestorów, w tym za pomocą dotacji i ulg podatkowych. Rząd zamierza wspierać start-upy, zwłaszcza w sektorze IT, bo choć to w Kerali powstał pierwszy park technologiczny w Indiach, dziś na tle kraju stan wypada w tym sektorze fatalnie. W ciągu pięcioletniej kadencji rząd chce udzielić dotacji po 10 mln rupii (ok. 600 tys. zł) 1,5 tys. firm.

Keralscy komuniści nadal więc mają na sztandarach Marksa i Lenina, ale tak naprawdę ich ideologia to zabarwiony rewolucyjną frazeologią umiarkowany socjalizm. Globalny kapitalizm, który dotąd finansował ich politykę dobrobytu poprzez pieniądze od migrantów, staje się coraz atrakcyjniejszym kąskiem, a własny kraj Marksa powoli zarasta neoliberalnymi samosiejkami. Trudno powiedzieć, co z tego wyrośnie.

Dominik Sipiński

Choć jak wszędzie jest tu bieda, nigdzie w Indiach nie ma jej tak mało.

Transport publiczny jest daleki od luksusu, ale za to bardzo tani.

FOT. DOMINIK SIPIŃSKI

eprasa.pl cc63cee1ad

SŁOWO ZNÓW ZNIEWOLONE

Anglosaskie uniwersytety coraz bardziej odchodzą od swoich liberalnych ideałów

Mateusz Mazzini

Dla postronnych obserwatorów, którzy nie śledzą na bieżąco amerykańskiej debaty politycznej (zwłaszcza w mediach społecznościowych), niedawne wydarzenia na kalifornijskim kampusie Uniwersytetu Berkeley mogły wyglądać na studencką inscenizację powrotu do lat 60. Stosy palonych papierów, demonstracje, barykady z opon i koszy na śmieci przypominały protesty przeciwko wojnie w Wietnamie i zbiorowe niszczenie książeczek wojskowych.

Jednak różnica między obrazami sprzed kilku dekad, które weszły do kanonu popkultury i do amerykańskiej historii ruchów społecznych, a wydarzeniami z ostatnich tygodni (a w szerszej perspektywie – ostatnich kilku lat) jest fundamentalna. Dawniej studenci walczyli o prawa i swobody obywatelskie, w tym o kluczową na uniwersytetach wolność słowa. Pół wieku później ten wywalczony przywilej zdaje się bardziej krępować obecnych studentów i aktywistów, niż cieszyć.

NIEMIŁY MILO

Młodzież z Berkeley protestowała przeciwko wystąpieniu internetowego prowokatora współpracującego ze sprzyjającym Trumpowi portalem Breitbart. Milo Yiannopoulos w ciągu kilkunastu miesięcy z niszowego komentatora, publikującego podcasty dla wąskiej grupy znajomych, urósł do rangi jednego z najbardziej wpływowych i szeroko cytowanych w sieci publicystów. Rozpoznawalność zyskał za sprawą kontrowersyjnych wypowiedzi o waszyngtońskich elitach, krytyki władz, ale także powielania nieprawdziwych informacji oraz seksizmu w komentarzach na temat życia publicznego w Stanach.

To nic nowego – podobnych były już dziesiątki, wielu znacznie bardziej wulgarnych. A jednak niemal nigdy przeciwko ich obecności na kampusach nie protestowano tak ostro. Ostatecznie studenci zwyciężyli, felietonista Breitbarta nie wystąpił na uczelni. Pozostaje pytanie, czy kierunek, w którym zmierza anglosaska akademia, kolebka debat o wolności słowa, nie jest zaprzeczeniem tych pryncypiów.

Starcia przed wizytą Yiannopoulosa to wierzchołek góry lodowej. W 2014 r. przez Wielką Brytanię przetoczyła się fala kontrowersji, po tym jak jeden z najbardziej znanych college'ów Uniwersytetu Oksfordzkiego, Christ Church, pod naciskiem protestów grup feministycznych oraz młodzieżówki Partii Pracy odwołał debatę na temat prawa do aborcji w Wielkiej Brytanii. Powodem skarg było to, że jako prelegent strony opowiadającej się za prawem do aborcji miał się pojawić mężczyzna.

Kilka miesięcy później na tym samym uniwersytecie powstał ruch na rzecz usunięcia z jednego z uniwersyteckich budynków popiersia Cecila Rhodesa, brytyjskiego zarządcy kolonialnego w Afryce i jednego z twórców kolonialnej potęgi Imperium Brytyjskiego. Aktywiści ruchu Rhodes must fall (Rhodes musi upaść) argumentowali, że upamiętnianie tego typu postaci godzi w ich tożsamość rasową. Pomnik chwały Rhodesa jest bowiem jednoznaczny z gloryfikacją ludobójstwa i kolonialnej eksploatacji Afryki. Liderzy ruchu w płomiennych felietonach do brytyjskich dzienników porównywali zrzucenie Rhodesa do niszczenia pomników Lenina i Stalina w krajach byłego Związku Radzieckiego (porównanie o tyle nietrafione, że sam pomnik był tak mały, że większość studentów Oksfordu nie wiedziała o jego istnieniu).

> W erze fałszywych wiadomości to z uczelni powinien wyjść sygnał poparcia dla prawdy.

W pewnym momencie postulaty ruchu urosły do absurdalnych rozmiarów. Żądano usunięcia ze zbiorów bibliotecznych wszystkich książek Rudyarda Kiplinga, który zdaniem aktywistów opisywał rzeczywistość Indii i innych kolonii „wyłącznie z imperialnego punktu widzenia".

POPRAWNOŚĆ ZABIJA WOLNOŚĆ

Problem ograniczania wolności słowa, cenzury prewencyjnej i maksymalnie rozdmuchanej poprawności politycznej nie dotyczy bynajmniej placówek elitarnych. Według zeszłorocznego raportu Joseph Rowntree Reform Trust, brytyjskiej organizacji pozarządowej działającej w sektorze szkolnictwa wyższego, ponad 90% uczelni na Wyspach Brytyjskich ma w regulaminach wewnętrznych ustalenia ograniczające wolność słowa. Uniwersytecki Ranking Wolności Słowa, bo tak nazywa się to zestawienie, wziął pod lupę setki regulacji uczelnianych na 115 uniwersytetach. Aż 63,5% regulaminów uznano za „mocno ograniczające swobodę wypowiedzi". Niektóre są oczywiste, np. zakaz zapraszania postaci znanych z poglądów antysemickich. Inne już trudniej zrozumieć, jak choćby podpisane przez rektora zarządzenie o zakazie emitowania w uczelnianej rozgłośni konkretnej piosenki, gdyż może prowokować potencjalnych gwałcicieli, lub zakaz przebierania się na imprezach studenckich za Caitlyn Jenner, amerykańską celebrytkę, która przeszła operację zmiany płci. W tym wypadku kostium miał „zwiększać dyskomfort wśród osób transseksualnych".

Zdaniem wielu ekspertów brytyjskich i amerykańskich poprawność polityczna zabija wolność debaty. Co gorsza, robi to dokładnie w miejscu jej narodzin, czyli na uniwersytetach. Dość powiedzieć, że NUS, narodowe zrzeszenie studentów w Wielkiej Brytanii, ma oficjalną listę organizacji, którym niejako z definicji nie przyznaje prawa do występowania

eprasa.pl cc63cee1ad

Berkeley, 1 lutego 2017 r.. Protest studentów przeciwko Milo Yiannopoulosowi.

na którejkolwiek uczelni. Jeśli chodzi o tę listę, możemy mówić o „hybrydowym" podejściu do tematu wolności słowa. Z organizacjami takimi jak Al-Muhajiroun, radykalne islamskie stowarzyszenie nawołujące do dżihadu, sąsiaduje tu chociażby BNP, Brytyjska Partia Narodowa, która mimo marginalnego poparcia pozostaje aktywnym uczestnikiem życia politycznego i na pewno ma wśród swoich wyborców studentów.

Uniwersytety w krajach anglosaskich krok po kroku przekształcają się z bastionów wolności słowa w twierdze poprawności politycznej. Zagrożenie dla komfortu studenta dostrzega się wszędzie, od piosenek w radiu i poglądów politycznych prelegentów do zaimków (chodzi o prawo używania bezpłciowych zaimków w kontaktach z profesorami i karanie wykładowców za niestosowanie się do tych zasad).

PRAWDA LEŻY TAM, GDZIE LEŻY

Jason Stanley z Uniwersytetu Yale, autor głośnej książki „Jak działa propaganda", jest zdania, że źródłem ograniczeń wolności słowa stała się rozdęta do absurdalnych rozmiarów polityka *safe spaces*, czyli zamieniania uczelnianych kampusów w tereny wolne od konkretnych zjawisk. Według Stanleya za szlachetnymi hasłami eliminacji nietolerancji, rasizmu, seksizmu i innych społecznych plag często kryją się dyktatorskie wręcz zapędy studenckich liderów do odebrania prawa głosu wszystkim wyrazistym prelegentom, najczęściej z prawej strony sceny politycznej. Skutkiem tego całe pokolenia Amerykanów, Brytyjczyków, ale też tysiące obcokrajowców studiujących na tych uczelniach, dorastają bez umiejętności konfrontowania poglądów z jakąkolwiek opozycją ideologiczną.

> Wolność słowa zdaje się bardziej krępować obecnych studentów, niż cieszyć.

Jak zauważa Nicholas Kristof z „New York Timesa", traci na tym cała debata publiczna, co już widać w brytyjskiej i amerykańskiej polityce. Brakuje konstruktywnej dyskusji, bo przeobraża się ona stopniowo w zjawisko znane nam z polskiego podwórka, czyli odbieranie przez oponentów każdej różnicy zdań jako personalnego ataku na ich dobra osobiste.

Traci na tym również anglosaski warsztat dziennikarski. Młodzi publicyści nie potrafią patrzeć na przeciwne poglądy z pozycji innych niż krytyczne, w dodatku często jest to krytyka niemerytoryczna. Widać ten problem nie tylko na przykładzie Yiannopoulosa i Breitbartu, ale też w jednostronnym postrzeganiu świata przez lewicowe portale, takie jak Mother Jones czy Vox, platforma znanego publicysty Ezry Kleina. W chwili gdy społeczeństwa Zachodu stają w obliczu największej od dziesięcioleci polaryzacji, a klasa polityczna nawet w najstarszych demokracjach reprezentuje coraz niższy poziom, uniwersytety stają się hodowlą kolejnych „obrońców uciśnionych" w stylu Trumpa czy obrażających się na każdą krytykę marionetek przypominających przewrażliwionego Davida Milibanda. Próżno oczekiwać, że z murów uczelnianych, które chronią, a nie wystawiają na wyzwania retoryczne, wyjdzie kolejny Franklin Delano Roosevelt czy John F. Kennedy.

W czasach Trumpa i Brexitu, czy populistycznych triumfów w ogóle, uniwersytety mają do odegrania niesłychanie istotną rolę. W erze alternatywnych faktów to właśnie stamtąd powinien wyjść zdecydowany sygnał poparcia dla prawdy i nauki, głównie dlatego, że na inne instytucje państwowe raczej nie ma co liczyć. Żeby tak się stało, anglosaska akademia musi jednak się przeprosić z pluralizmem opinii. Jak mawiał prof. Władysław Bartoszewski, prawda nigdy nie leży pośrodku, prawda leży tam, gdzie leży. Studenci muszą tę prawdę szanować, nawet jeśli czasami wychodzi z ust największego wroga. ■

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl cc63cee1ad

BARCELONA C

Angelina Kussy
Korespondencja z Katalonii

W kończącym poprzedni rok orędziu prezydent Katalonii Carles Puigdemont zapowiedział ogłoszenie referendum niepodległościowego. – Nadchodzący rok będzie kluczowy dla przyszłości tego kraju. Katalończycy i Katalonki zadecydują o niej w referendum – deklarował. Odbędzie się ono „za zgodą albo i bez zgody Madrytu" – rząd Hiszpanii uważa je bowiem za niekonstytucyjne i wyraźnie mu się sprzeciwia. Tym razem referendum ma być wiążące, w przeciwieństwie do zorganizowanej w 2014 r. konsultacji społecznej.

WYSTARCZY NIEWIELKA PRZEWAGA

Za demokratycznym prawem do decyzji jest, według sondaży, 70% Katalończyków. Wśród nich ci, którzy wcale nie chcą separacji, gdyż te same badania wskazują tylko niewielką przewagę zwolenników niepodległości. Inne mówią nawet, że to przeciwników odłączenia się jest więcej.

W dzień referendum znaczenie będą miały jednak poglądy tych, którzy chodzą na wybory. A tu przewaga jest po stronie separatystów. Katalońskie wybory we wrześniu 2015 r. wygrała przecież koalicja zawiązana do przeprowadzenia referendum. Stworzyły ją organizacje obywatelskie, które przeszły do polityki, by działać na rzecz niepodległości, oraz partie liberałów i lewicy. W skład rządzącej koalicji weszły liberalna Demokratyczna Konwergencja Katalonii, Katalońska Lewica Republikańska, Ruch Lewicowy oraz Katalońscy Demokraci. Dodatkowo 10 mandatów w parlamencie Katalonii ma radykalnie lewicowa la CUP, która od chwili powstania w 1986 r. walczy o oderwanie się od Madrytu, ale nie chciała wchodzić w koalicję z liberałami. W kwestiach dotyczących niepodległości z koalicją jednak współpracuje. Większość parlamentarna jest zatem w rękach zwolenników niepodległości, a w konsultacji społecznej z 2014 r. głosy za niepodległością stanowiły 80%. Dlatego istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że w referendum zwyciężą separatyści.

A wystarczy niewielka przewaga. Za podstawę do rozpoczęcia procesu separacji Puigdemont uznaje bowiem wynik 50%+1 bez względu na frekwencję. – Nie można faworyzować sabotażystów kosztem aktywnych obywateli, którzy głosują – uzasadnia.

Prezydent Katalonii zapowiedział, że Junts pel Sí (Wszyscy na Tak), czyli koalicja rządząca, na której czele stoi, spełni swoją obietnicę wyborczą „nie później niż przed końcem września", zapewne więc po 11 września, Narodowym Dniu Katalonii, który masowo świętowany na ulicach wzmacnia nastroje separatystyczne.

RÓŻNICA CHARAKTERÓW

Katalonia jest najbogatszym regionem Hiszpanii, wnoszącym niemal 20-procentowy wkład w PKB kraju. O ile jednak zagraniczni obserwatorzy wiążą separatystyczne nastroje Katalończyków głównie z ekonomią („bo chcą, aby więcej pieniędzy pozostało w regionie"), o tyle w debacie wewnętrznej na pierwszy plan wysuwają się różnice polityczne i kulturowe między Katalonią a Madrytem. I ciągnące się sprawy z przeszłości.

WE WRZEŚNIOWYM REFERENDUM KATALOŃCZYCY ZDECYDUJĄ, CZY ODERWĄ SIĘ OD MADRYTU

Centralistyczne zapędy Madrytu przypominają Katalończykom czasy, kiedy Barcelona – enklawa ruchów robotniczych, a następnie republikańskiego oporu – była ciemiężona przez reżim Franco. Zabraniano nawet mówienia po katalońsku. – Polityka rządzącej Partii Ludowej sprowadza się do hasła Franco, aby Hiszpania była „wielka, wolna i zjednoczona". Nic innego ich nie obchodzi. Bezpieczeństwo socjalne, demokracja to nie są wartości dla nich istotne. W dodatku nie rozumieją, że państwo może być wielokulturowe i wielojęzyczne. A ich działania na rzecz ograniczenia języka katalońskiego w szkołach są nie do zaakceptowania – podkreśla Marina Torres, nauczycielka z podstawówki.

Podobną opinię wyraża geograf Albert Oromí. – Partia Ludowa to spadkobiercy rządów frankistowskich. Jest niedemokratyczna, autorytarna, zamknięta na dialog, na konsultacje społeczne i oddolne inicjatywy. W Katalonii mamy silną kulturę partycypacji, stowarzyszania się. My po prostu do siebie nie pasujemy, tych różnic już nie można pogodzić. Trzeba wziąć rozwód – tłumaczy pełen frustracji.

– Wierzę, że w niepodległej Katalonii byłoby mniej konfliktów. Podobnie jak Baskowie jesteśmy nieco inni niż reszta Hiszpanów. Bardziej postępowi, bardziej wrażliwi społecznie. Szkoły alternatywnej edukacji, kampanie na rzecz przyjmowania uchodźców, kooperatywy… Takie inicjatywy mnożą się w Katalonii, ale rząd centralny nam tego nie ułatwia – mówi inżynier David Ortega, pracownik Mediapro, hiszpańskiej firmy mającej m.in. telewizję la Sexta.

– Różnimy się nawet podejściem do walk byków. W Katalonii są nie do zaakceptowania, wzbudzają oburzenie społeczne. A jak rząd Katalonii tego zabrania, Madryt ogłasza, że zakaz jest niekonstytucyjny! Nie możemy nawet decydować o tym, że nie chcemy torturować zwierząt dla rozrywki! – żali się Carla Sanchéz, studentka filologii katalońskiej.

Inni rozmówcy zwracają uwagę na konieczność napisania nowej konstytucji. – W Hiszpanii po transformacji ustrojowej nie tylko nie rozliczono ludzi poprzedniego reżimu, ale też nie zrobiono nic na rzecz demokratyzacji systemu. Nadal nie została zapewniona rozdzielność władzy sądowniczej, ustawodawczej i wykonawczej. Natomiast Katalonia nie może tworzyć własnych praw, bo jest uzależniona od Madrytu. Niepodległość pozwoli na napisanie własnej konstytucji, demokratycznej, gwarantującej prawa człowieka i prawa obywatelskie – deklaruje aktywista na rzecz niepodległości z Barcelony.

eprasa.pl cc63cee1ad

HCE ROZWODU

Relacje między Katalonią a Madrytem napięte są od zawsze, ale czara goryczy przelała się, kiedy Trybunał Konstytucyjny Hiszpanii (na którego czele stał były członek rządzącej Partido Popular) ogłosił nieważność nowego statutu autonomicznego Katalonii z 2006 r. Statut poparły wszystkie ugrupowania oprócz Partii Ludowej. Został też poddany referendum.

BARDZIEJ WRAŻLIWI

W Katalonii, podobnie jak w Kraju Basków, również starającym się o niepodległość, przeważają poglądy lewicowe. W ostatnich wyborach tylko tam wygrało Podemos. W innych regionach na zmianę zwyciężają Partia Ludowa lub PSOE, czyli socjaliści (odpowiedzialni za politykę neoliberalną i uznani przez Katalończyków za część establishmentu).

– Małżeństwo z Hiszpanią to więcej polityki cięć dla satysfakcji unijnej Trojki i kosztem ludzi. To dalsze łupienie państwa poprzez zlecanie usług publicznych firmom powiązanym z rządem, kolegom i rodzinom – mówi Leia Llubet, 19-letnia aktywistka la CUP z wioski pod Barceloną.

Fakt, że Katalonia jest regionem najbogatszym, wynika z wysokiego uprzemysłowienia. Jednocześnie to uprzemysłowienie przyczyniło się do stworzenia silnych związków zawodowych i ruchów anarchistycznych, kultury protestu i oporu, kontrolowania władzy i uczestnictwa (np. w zgromadzeniach sąsiedzkich, licznych organizacjach obywatelskich oraz manifestacjach). Nie dziwi zatem, że w regionie o takich tradycjach nastroje separatystyczne nasilają się, kiedy rząd w Madrycie wprowadza *la ley mordaza* (prawo knebla), ograniczające prawo do zrzeszania się i pokojowych manifestacji, a także wprowadzające wysokie grzywny za filmowanie policjantów na służbie, odkąd zarejestrowano, jak łamią prawo i przejawiają nieuzasadnioną agresję.

> Za podstawę do rozpoczęcia procesu separacji prezydent Katalonii uznaje wynik 50%+1 bez względu na frekwencję w referendum.

– A nie chcecie mieć po prostu więcej pieniędzy? – pytam pracownika sklepu w Barcelonie. – Gdyby te pieniądze chociaż szły do ludzi… Ale one idą na ratowanie banków, które spowodowały kryzys. I równocześnie tnie się wydatki publiczne. Ja na banki nie mam ochoty pracować.

Choć dominują powody socjalno-demokratyczne, część zwolenników niepodległości odwołuje się też do kategorii narodowych. – Po prostu nie czuję się Hiszpanką, a hiszpański jest dla mnie takim samym językiem jak dla ciebie angielski. Mówię dobrze, ale myślę po katalońsku i to jest bliska mi kultura – wyznaje Leia Puig, pracowniczka winiarni z Terrassy. Inni mówią wprost, że niepodległość to projekt polityczny – w końcu aktywistami na jej rzecz są także imigranci, niektórzy nawet nie mówią po katalońsku, a większość separatystów czuje się Hiszpanami i Katalończykami. Wiele osób podkreśla, że nie wierzy w demokrację na poziomie tak wielkich organizmów, jakimi są obecne państwa narodowe – potrzebne są mniejsze państwa.

Wśród zwolenników niepodległości nie brakuje przedsiębiorców. Ich powody są jednak czysto biznesowe. – Większość wielkich firm otworzyłaby siedziby również w Barcelonie, a nie tylko w Madrycie – ma nadzieję Ferran Olmo, właściciel firmy producenckiej.

LIBERAŁ JAK LEWICOWIEC

Na tych różnicach ideologicznych gra prezydent Puigdemont, spadkobierca ideowy Artura Masa, przywódcy li-

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl cc63cee1ad

berałów, który musiał ustąpić ze stanowiska, gdy partia nie udzieliła mu wotum zaufania jako symbolowi cięć wydatków na cele społeczne, w tym szpitale i pomoc dotkniętym przez kryzys. Dlatego liberał Puigdemont mówi językiem lewicy: – Chcemy kraju sprawiedliwszego, bardziej równościowego. Takiego, który będzie oferował więcej pracy i lepszą. Jest jeszcze trzeci priorytet: Katalonia powinna się stać bardziej transparentna, nowoczesna, być krajem partycypacji obywatelskiej.

Puigdemont podkreśla, że Europie potrzebny jest kraj będący awangardą w stawianiu czoła zagrożeniom demokracji, przodujący w wykorzystywaniu postępu technologicznego w edukacji, medycynie i przedsiębiorczości. „Więcej wzrostu, mniej emisji" – to naczelna zasada pożądanego modelu rozwoju. – Żyjemy w pełnym możliwości zglobalizowanym świecie. Wzrost ekonomiczny i postęp naukowy czynią go coraz lepszym, ale równocześnie jest to świat pełen niepewności, w którym prawa człowieka są zagrożone. Wzrost populizmów, ograniczanie wolności słowa, natężenie konfliktów zbrojnych i kryzys humanitarny podkopują fundamenty demokracji. Potrzebna jest odwaga, aby konfrontować się z tymi zagrożeniami. Nam tej odwagi nie brakuje.

W Katalonii rok 2017 ma być także rokiem równości i przeciwdziałania marginalizacji społecznej. – Tradycyjnie wzrost gospodarczy był najlepszą polityką socjalną, ale dziś, nawet jeśli jest potrzebny, nie wystarcza – mówi szef autonomicznego rządu.

Jego prospołeczne deklaracje podważa Joan Giner Miguélez, polityk opozycyjnej Catalunya Sí que es Pot (partii stworzonej przez Inicjatywę Zielonych i Podemos w Katalonii). Zauważa, że nowy projekt budżetu nie przewiduje reformy podatkowej obciążającej bardziej zamożną część społeczeństwa ani podwyżki dochodu podstawowego, który przysługuje osobom bez pracy i prawa do zasiłku.

TO NIE TAKIE OCZYWISTE

Chociaż 70% Katalończyków pragnie wiążącego referendum, większość (56%) opowiada się za ogłoszeniem go w porozumieniu z rządem Hiszpanii, a nie nielegalnie. Właśnie takie referendum obiecało Podemos, które jako jedyna partia ogólnonarodowa szło do wyborów z obietnicą wywalczenia w Madrycie zgody na głosowanie. Koalicja Junts pel Sí nie chce jednak czekać, aż Podemos uzyska większość parlamentarną. – Wiedzą państwo doskonale, że jedyna szansa na legalne referendum to większość bezwzględna lub prawie bezwzględna. (…) Żeby tak się stało, musiałyby minąć dwie lub trzy kadencje, a więc osiem lat lub 12 – powiedział rzecznik Katalońskiej Lewicy Republikańskiej, Joan Tardà, tłumacząc, dlaczego koalicja rządząca nie będzie czekać na wygraną Podemos w wyborach ogólnokrajowych i gotowa jest zwołać referendum bez zgody strony rządowej.

Takie podejście krytykuje jednak opozycja. Sondaże wskazują, że zarówno Junts pel Sí, jak i la CUP tracą poparcie i w następnej kadencji mogą nie uzyskać większości w parlamencie; do tego słabną nastroje niepodległościowe.

– Kwestia poparcia dla niepodległości nie jest tak oczywista. Nie popieram jej za wszelką cenę. Oczywiście moim marzeniem byłoby obudzić się w kraju rządzonym przez partie prawdziwie lewicowe. Ale jeśli nowo powstałe państwo ma służyć prawdziwej transformacji i odcięciu się od spuścizny Franco, to Katalonia z liberalną Konwergencją (partią prezydenta Katalonii) na czele jest bez sensu, bo to partia tak samo pełna przypadków korupcji jak te ogólnohiszpańskie – zwraca uwagę David Ortega.

Ci, którzy nie popierają niepodległości Katalonii, mówią, że to poroniony pomysł, mogący jedynie zaszkodzić społeczeństwu. – Wylądujemy poza Europą i poza euro. To będzie oznaczało drastyczną dewaluację oszczędności naszego życia, na które zwykli ludzie ciężko pracowali – przewiduje emerytowany pracownik fabryki.

– Katalończycy zachorowali na romantyczny sen, którego lejtmotywem jest „Hiszpania nas okrada", a przymykają oko na kradzieże popełniane przez ich własnych liderów niepodległościowych. Wpaja się im taką wizję świata od 35 lat, wyrosło całe pokolenie niemyślących samodzielnie ludzi. To niedojrzałe szaleństwo. W krótkim czasie nie widzę żadnych korzyści z niepodległości – martwi się imigrant z Galicji, który od 40 lat mieszka w Katalonii.

Kwestia niepodległości Katalonii nie byłaby tak gorąca, gdyby nie oddolne działania Katalońskiego Zgromadzenia Ludowego (ANC), organizacji obywatelskiej na rzecz niepodległości, mającej ok. 80 tys. członków. W związku z referendum ANC zmobilizuje 5 tys. działaczy, by na tych terenach, gdzie nie przeważają zwolennicy niepodległości, prowadzić sześciomiesięczną kampanię na rzecz separacji. Pragnie również przekonać partie związane z Podemos do przyłączenia się do tych oddolnych działań, pomimo nielegalności referendum w świetle hiszpańskiego prawa.

Angelina Kussy

> Różnimy się od reszty Hiszpanii nawet podejściem do walk byków. W Katalonii są nie do zaakceptowania.

KSIĄŻKĘ MOŻNA KUPIĆ:
■ wpłacając 47 zł na konto wydawcy PRZEGLĄDU:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7,
oraz podając dokładny adres (z numerem kodu),
pod który ma trafić przesyłka polecona
■ przez sklep internetowy: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Więcej informacji: tel.: (22) 635 84 10 wew. 120,
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Jedno z najważniejszych wydarzeń w Polsce w XX w. Październik 1956 r. to bezkrwawa rewolucja, która odmieniła Polskę, stosunki społeczne i relacje władzy z Kościołem.

W przeszło 60-stronicowym aneksie – zapis dramatycznej rozmowy Władysława Gomułki z Nikitą Chruszczowem.

eprasa.pl cc63cee1ad

Oko w oko

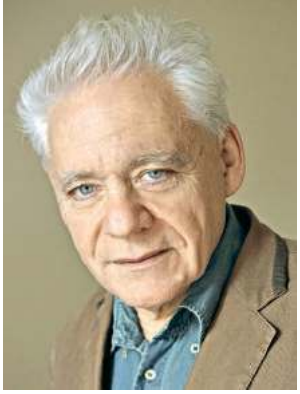

Tomasz Jastrun

RZEŹ NIE TYLKO DRZEW

Gospodarz telewizyjnego programu, w którym wziąłem udział, użył wulgarnych słów, określając dziennikarzy publicznej telewizji jako m.in. „brudne, śmierdzące gnidy". Jednak przesada, prawda? Nie miałem dosyć refleksu, by na to wystarczająco mocno zareagować, a przecież uważam, że takiego języka publicznie używać nie wolno. Dziennikarze „Wiadomości" poczuli się zranieni do żywego. I potępiali też mnie, jakbym to ja użył tych słów. Dostąpiłem zaszczytu, by moje nazwisko padało dzień po dniu w „Wiadomościach". Przerażeni znajomi dzwonili, by sprawdzić, czy nie jestem już aresztowany. A myślałem, że jest ograniczona odpowiedzialność gościa programu za jego gospodarza. Ten tłumaczył się potem, że to była tylko prowokacja, a on dokładnie zacytował słowa publicystów prawicowych skierowane do nas, liberałów. I chciał zobaczyć, jaka będzie reakcja. Problem, że nie uprzedził mnie o tym.

To prawda, że nie takie szpetne słowa już słyszałem i czytałem, mówione i pisane przez nasz żywioł narodowy. Czego tam nie ma – człowiek patrzy i oczom nie wierzy. Ale my przecież nie chcemy być tacy jak oni. Od wielu lat mam wrażenie, że pisząc i mówiąc, poruszam się po cienkiej czerwonej linii, próbując jej nie przekraczać, a tu nagle ktoś mnie wypycha poza nią. Jest tyle słów niezwykle mocnych, które jednak mieszczą się w granicach przyzwoitości, np. podłość. Czy można wytoczyć proces za podłość?

Narodowa prawica nie kocha drzew. Za zwierzętami też nie przepada.

Język jest delikatnym narzędziem, jak skalpel. Jeśli jesteśmy blisko poczucia wartości innych, nawet tych, których nie lubimy i nie szanujemy, trzeba być bardzo uważnym. Większość ludzi w publicznej telewizji to ofiary, a nie sprawcy sytuacji. Wszystkie reżimy, także te łagodne, opierają się na ludziach uwikłanych, przestraszonych i też cynicznych, ale to nie jest większość.

Przy okazji „Wiadomości" postulowały, żeby takich ludzi jak my napiętnować i żeby zniknęli ze sfery publicznej. Ciekawe, jak media publiczne będą „mnie znikać". Po objęciu władzy przez PiS i tak nie jestem zapraszany do mediów publicznych, zdarzało się to tylko przez pierwsze tygodnie, kiedy listy proskrypcyjne nie były jeszcze gotowe.

•

Jakiś życzliwy wpisał mi się na Facebooku: „Jak słucham ciebie, to już nie tylko ręce opadają. Szkoda, że fałszywcu nie popełniłeś samobójstwa. Sprzedawczyku bezczelny". Jestem pewien, że ten człowiek biega co tydzień do kościoła. Skąd tyle nienawiści u naszych katolików? Kiedy wchodzę na jego stronę internetową, widzę, że roi się tam od takich nienawistnych wpisów, zdjęć niby-dowcipów. Ale oni to samo myślą, oglądając nasze strony na FB. Te dwie rzeki płyną coraz dalej od siebie. Ich rzekę uważam za ściek. To musi się skończyć jakimś nieszczęściem.

•

W kilku pismach pojawia się wiele ciekawych diagnoz sytuacji politycznej i społecznej w Polsce. Zawsze u nas było o wiele więcej dobrych publicystów niż polityków. To nie przekłada się jednak na prawdziwą dyskusję w intelektualnych gremiach. Znajomy pisze mi: „Pracujemy nad KOD, żeby się trochę zmienił, by pobudzić w nim wewnętrzną opozycję przeciw bezrefleksyjnemu spojrzeniu »było, minęło, nie mówmy o przeszłości i popełnionych błędach«. Ale idzie jak po grudzie. Dominuje czysty »antypisizm« i brak zrozumienia, skąd ich siła. Dlatego chcemy jakoś zinstytucjonalizować tę refleksję. Pan popatrzy – konserwatyści i neoliberałowie, a nawet narodowcy – ile oni porobili wokół siebie tych think tanków... Mają zapewniony teraz spływ idei na wszystkie piętra – mają język i dla głodnych stanowisk adiunktów na uczelniach, i dla prostego ludu. A liberalna lewica – co? Nawet na jedno Centrum Daszyńskiego nie starczało pieniędzy". Tak, za mało w naszej niezgodzie refleksji.

•

Pigułka „dzień po" tylko na receptę. Słyszę na ulicy rozmowę trzech kobiet: „To za chwilę będzie zakaz rozwodów". Druga: „A pożary będą gaszone święconą wodą". Kolejna: „A może seks też na receptę?". Myślę: pigułka i tak będzie dostępna, ale na czarnym rynku. Nie da się już powstrzymać wielkiej zmiany obyczajowej.

•

Właśnie w całej Polsce trwa rzeź drzew, również na działce przed naszym domem. Aż dom się trzęsie. I moje serce. Narodowa prawica nie kocha drzew, w ogóle ma problem z uczuciami. Za zwierzętami też nie przepada. Nagle zabiera głos prezes, podnosi rękę, zapada wielka cisza – drzewa, które ocaleją, będą ułaskawione. Wszyscy oddychają z ulgą. Może to nie jest taki zły człowiek. Jarosław łaskawy.

•

Jadąc samochodem, często mijam Centrum Alzheimera. Nowoczesna architektura, szczelne, zamknięte pudełko, z którego nawet mysz nie ucieknie. To miejsce zawsze skłania mnie do chwili zadumy nad znikomością wszystkiego. I że nikt nie wie, czy nie zostanie kiedyś zamknięty w tym pudełku.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cc0sceelad

ŚWIAT KINA TO ŚWIAT MACHO

Nawet jeśli pokazuje się dosłownie wszystko, zawsze można zachować swoje tajemnice

Rozmawia
Joanna Orzechowska

Jest pani znana z niezwykłej otwartości artystycznej i zamiłowania do ryzyka. Wciąż szuka pani nowych wyzwań w kinie i w teatrze, a przecież z pani pozycją można sobie pozwolić na wygodne życie gwiazdy.

– Gdybym spokojnie kręciła kolejne złe filmy, to dopiero byłoby ryzykowne! Przyjęcie, z jakim się spotykam, udowadnia mi, że wybrałam słuszną drogę. Im dalej się idzie, tym więcej się otrzymuje – jestem o tym przekonana. Nie należy jednak zapominać, że jestem przede wszystkim aktorką i po prostu wykonuję swój zawód. Obojętne, czy gram robotnicę, czy arystokratkę – liczy się dla mnie opowiadana historia.

Czym jest dla pani sława? Spełnieniem marzeń? Brzemieniem?

– Sława jest bardzo przyjemną rekompensatą poniesionych wysiłków, często morderczej pracy. Pochwały zawsze sprawiają przyjemność – wszyscy lubimy być docenieni. Naprawdę jednak w niczym nie zmienia to stanu człowieka – można otrzymywać przez cały dzień wyrazy uznania, a wieczorem czuć się bardzo nieszczęśliwym. Sukces nie chroni przed frustracjami i ranami, choć bywa skutecznym znieczuleniem.

Otrzymuje pani wiele propozycji. Jakimi kryteriami kieruje się pani przy wyborze ról?

– Najważniejsza jest dla mnie osobowość reżysera. Są tacy, z którymi pracowałabym nawet bez scenariusza! Oczywiście niektórzy realizatorzy są dla mnie szczególnie ważni. Nie wiem, czy mogłabym odczuwać z kimś innym tak głębokie duchowe porozumienie jak z Michaelem Hanekem czy Paulem Verhoevenem. Albo artystyczną miłość, która łączyła mnie z Michaelem Ciminem i Claude'em Chabrolem.

Claude Chabrol powiedział mi kiedyś, że dla pani zrobiłby wszystko – jako aktorki i człowieka.

ISABELLE HUPPERT

– francuska aktorka filmowa i teatralna, laureatka festiwali w Cannes, Berlinie, Wenecji, zdobywczyni nagród BAFTA, Cezara czy Davida di Donatello, oficer Legii Honorowej. Za ostatnią rolę w filmie „Elle" zasłużenie nominowana do Oscara.

– Claude ofiarował mi wspaniałe role stworzone specjalnie dla mnie, czułam, że stanowię część jego artystycznego i intymnego świata. Ewoluowałam z jego filmami. Był kimś wspaniałym – empatycznym, wielkodusznym dżentelmenem w starym stylu, obdarzonym niesłychanym poczuciem humoru i ogromnym talentem. Miał przy tym zadziwiającą kulturę osobistą i wiedzę – można było dyskutować z nim godzinami o literaturze, kulturze, polityce. Był wyjątkowy. Tęsknię za nim każdego dnia.

Jako młoda dziewczyna zagrała pani rolę młodszej siostry Romy Schneider. Jak ją pani wspomina?

– Romy pozostaje moim niedoścignionym ideałem. Była wyjątkowa – otwarta, pełna czułości, bardzo wrażliwa, obdarzona wielkim sercem. Bardzo mnie chroniła. Była wielką aktorką i jednocześnie wielkim człowiekiem – czasami to się zdarza.

> To prawda, że aktorki starzeją się inaczej – zachowujemy w sobie coś z dziecka.

Często w trakcie przygotowań do ról aktorzy czerpią z własnych doświadczeń. Czy w pani przypadku determinuje to jakoś wybór postaci?

– Na szczęście nie, bo czasami byłby to czysty masochizm! My, aktorzy, zachowujemy dla siebie bolesne przeżycia – na planie filmowym czy na scenie po prostu je gramy. To nasz prezent dla widzów. Ten zawód daje nam dużo szczęścia, nawet kiedy gramy smutek czy rozpacz. Tak jest przynajmniej w moim przypadku.

Czy to działa w przeciwną stronę? Grane postacie zmieniły w jakiś sposób pani spojrzenie na życie i siebie samą?

– Zawsze pozostaję sobą, ale moje bohaterki na pewno wpłynęły na mój sposób postrzegania świata – dzięki nim wciąż odkrywam nieznane mi strony psychiki. W tym zawodzie można się uczyć do końca życia.

Pani bohaterki mają pewne cechy wspólne – to kobiety na pozór chłodne i opanowane, ukrywające swoje rany, a równie często buntow-

eprasa.pl cc63cee1ad

niczki ignorujące normy narzucane przez społeczeństwo. Rozpoznaje się pani w tym wizerunku?

– W pewnym stopniu tak, zawsze starałam się robić to, co mi odpowiada, zachować wolność wyboru. To olbrzymi luksus. Najważniejsze, żeby wiedzieć, czego naprawdę się chce w życiu, a czego nie jesteśmy w stanie zaakceptować. Pewnych granic nie można przekraczać, inaczej płaci się za to samym sobą. Myślę, że mój talent polega właśnie na umiejętności wyboru. Nigdy nie wybieram łatwizny.

Mogłaby pani zagrać rzeczywiście wszystko? Czy istnieją tematy, przed którymi jednak pani by się cofnęła?

– Nie sądzę. Nie boję się ról, ale nie ma to nic wspólnego z jakąś szczególną odwagą czy podejmowaniem ryzyka. To tylko sztuka filmowa, a nie życie, które istotnie stawia nas przed dramatycznymi wyborami i wymaga od nas bohaterstwa.

Relacja między reżyserem i aktorką często oparta jest na zauroczeniu, pożądaniu. Czy to pani nie przeszkadza?

– Wręcz przeciwnie, zawsze starałam się świadomie wzbudzać to pragnienie bliskości – to bardzo stymulujące. Nie chodzi oczywiście o pożądanie seksualne – reżyser jest zakochany w aktorce, ponieważ realizuje ona jego wizję artystyczną. Życie sprawia czasami, że ta relacja wychodzi poza plan filmowy, ale to już zupełnie inna historia.

Aktorka pracuje ciałem. Nie obawia się pani upływu czasu? W jednym z wywiadów powiedziała pani, że aktorki się nie starzeją.

– Obawiam się upływu czasu tak samo jak pani czy każda inna kobieta. Mężczyźni też zresztą boją się starości. Upływ czasu jest jednak nieunikniony – możemy z nim walczyć, starając się znaleźć satysfakcję w tym, co przeżywamy i robimy. To prawda, że aktorki starzeją się inaczej – gra jest siostrą zabawy, dlatego zachowujemy w sobie coś z dziecka. To widzowie dostrzegają w naszych twarzach ślady lat – jesteśmy jak zwierciadła, w których odbijają się marzenia i obawy innych.

Pani rola w „Elle" Paula Verhoevena zachwyciła publiczność i krytyków. Otrzymała pani za nią Złoty Glob i nagrodę Lumières, prasy zagranicznej we Francji, wreszcie nominację do Oscara. Czy do sukcesu można się przyzwyczaić?

– W zawodzie aktora niczego nie zdobywa się na zawsze, każdy z nas może się pomylić i poznać smak porażki. Dlatego każdy sukces napawa mnie, nawet po tylu latach kariery, wielkim szczęściem. Każdy jest nowy. W przypadku „Elle" nagrodą była już sama praca z Paulem Verhoevenem; uwielbiam jego filmowy świat, a Paul okazał się przy tym wspaniałym człowiekiem. Rola Michèle – złożona, pełna niuansów – to również wielki prezent od losu. Cała reszta jest już tylko kontynuacją tej pięknej przygody. Ale bardzo się cieszę, że zaszliśmy z tym filmem tak daleko. Złoty Glob dla najlepszego dzieła zagranicznego w przypadku tak przewrotnego obrazu urasta do symbolu, szczególnie w kontekście tego, co się dzieje w Ameryce. Ale pamiętam też o mojej własnej nagrodzie – nie jestem aż tak wielkoduszna!

Jak przygotowywała się pani do tej roli?

– Paul Verhoeven długo dyskutował ze mną na temat samej historii, nie wspomniał jednak ani słowem o mojej bohaterce. Było to zaskakujące, ale zarazem bardzo logiczne – nie można wytłumaczyć racjonalnie tego, co niewytłumaczalne. Michele zachowuje się w sposób nielogiczny, nieprzewidywalny. Kieruje nią irracjonalna siła, która pozwala jej wyjść z roli ofiary, odwrócić role. Jej historia nabiera znaczenia w miarę kolejnych zdarzeń, dzięki którym zaczynamy rozumieć mechanizmy jej reakcji. Wystrzegam się psychologizowania, moje bohaterki określa wyłącznie ich działanie. Psychologia postaci kojarzy mi się z natrętnym wyjaśnianiem ich motywacji – wolę pozostawić to widzowi. Na planie jestem koronczarką albo pająkiem tkającym misterną sieć.

Elle

> Znam swoją wartość i potrafię mówić „nie". To wielka siła, chociaż nie należy jej nadużywać.

Jak zdefiniowałaby pani dzieło Verhoevena?

– To bardzo przewrotny i inteligentny film. Ma strukturę klasycznego thrillera z motywem rewanżu włącznie, na głębszym poziomie zaskakuje jednak wnikliwą analizą stosunków międzyludzkich opartych na różnych formach dominacji.

Widz może się poczuć zaszokowany scenami przemocy i gwałtu. Jak pani zareagowała na siebie samą na ekranie?

– We mnie film nie wzbudza tego typu uczuć – wiem, że nikt nie zrobił mi krzywdy, i po prostu oceniam moją pracę jako aktorki. Nie można pytać kogoś, kto odnosi na ekranie rany, czy nie cierpi z tego powodu. Film jest fikcją, nawet jeśli przypomina rzeczywistość. Nigdy nie utożsamiam się psychicznie z moimi bohaterkami, łatwo mi więc oddzielić pracę od życia.

Film podejmuje problematykę ofiary i oprawcy. Ofiara staje się w nim katem. To niespotykane podejście do tematu przemocy.

eprasa.pl cc63cee1ad

– Verhoeven zawsze podejmuje tematy trudne, destabilizujące odbiorcę. Moja bohaterka w „Elle" odrzuca rolę ofiary – być może dlatego, że ma bardzo silny charakter, zajmuje poważne stanowisko i jest przyzwyczajona do tego, że to ona wydaje polecenia. Postać Michele znajduje się na antypodach wizerunku słabej, bezbronnej i depresyjnej kobiety – Verhoeven rewolucjonizuje tym samym obraz relacji damsko-męskich. U niego ofiara wchodzi w relację z gwałcicielem i okazuje się równie perwersyjna i przebiegła jak on – to bardzo bulwersujący punkt widzenia.

8 kobiet

Grywa pani regularnie w teatrze, pracując z największymi osobowościami sceny, takimi jak Amerykanin Bob Wilson czy Krzysztof Warlikowski. „Tramwaj zwany pożądaniem" i „Fedra" były wydarzeniami artystycznymi. Co pociąga panią w niekonwencjonalnym świecie Warlikowskiego?

– Jego artystyczna odwaga w eksplorowaniu niekonwencjonalnych rozwiązań. Interdyscyplinarność. Krzysztof wprowadza do swoich sztuk muzykę, sekwencje zaczerpnięte z kabaretu, filmy wideo. Aktor jest u niego tworzywem, jednym z elementów jego onirycznego świata. Warlikowski bawi się ustalonymi kodami, podważa je, aby zastąpić własnymi. To wizjoner.

Przez ponad 40 lat kariery zawsze chroniła pani życie prywatne. Nikt nie publikuje zdjęć pani rodziny – trojga dzieci i męża. Prawdziwa gwiazda powinna być tajemnicza?

– Nie jest to żadna strategia z mojej strony. Nie ukrywam się, bywam na wystawach z dziećmi i mężem, ale moje życie jest tak normalne, że nie stanowię łakomego kąska dla paparazzich i łowców sensacji. Myślę jednak, że nawet jeśli pokazuje się dosłownie wszystko, zawsze można zachować swoje tajemnice. Nasz wizerunek nie jest nami – to prawda, o której łatwo się zapomina.

Niedawno udzieliła pani z córką obszernego wywiadu na temat waszych relacji.

– Zgodziłam się wyłącznie dlatego, że moja córka Lolita Chammah jest aktorką, Francuzi odbierają ją więc jako osobę publiczną. Nigdy za to nie afiszuję się z synami. Życie rodzinne pozostaje moim intymnym ogrodem.

Pani wieloletnie małżeństwo stanowi wyjątek w świecie show-biznesu. Recepta na przetrwanie związku?

– Nie chcę mówić o moim życiu prywatnym, powiem tylko, że taka recepta po prostu nie istnieje. Podstawowym warunkiem trwałego związku dwojga ludzi, nieważne, jaki zawód wykonują, jest wzajemna ciekawość i tolerancja. Oraz akceptowanie drugiej osoby jako oddzielnej jednostki. Tylko wtedy możliwa jest wspólna ewolucja. Inaczej związek umiera.

Coraz szybciej pędzący świat zaczyna przerażać, stąd coraz częstsze hasła *slow life*. Pani pracuje szalenie intensywnie. Czy udaje się pani zatrzymać?

– Staram się chwytać małe chwile. Poza tym jestem prawdziwą szczęściarą – odpoczywam w pracy. Dlatego trudno mi zrozumieć ludzi, którzy marzą o emeryturze, bo mogłabym grać bez końca. Aktorstwo stanowi do tego stopnia nieodłączną część mnie, że zawsze myślę o sobie jako o aktorce i osobie jednocześnie – to nie tylko mój zawód, ale i sposób na życie.

Środowisko filmowe było ostatnio terenem ożywionych dyskusji na temat finansowego szykanowania kobiet. Brała pani w niej udział?

– Mężczyźni rzeczywiście są z reguły lepiej opłacani od kobiet, doświadczyłam tego na własnej skórze. Aktorki muszą walczyć o swoją pozycję – świat kina pozostaje światem *macho* w dużo większym stopniu, niż się wydaje. Wiele co prawda się zmieniło, ale wciąż wracamy do punktu wyjścia. Kobiety w tym zawodzie muszą być bardzo silne, dlatego tak lubię aktorki. Mimo że prasa wypisuje czasami zupełnie coś innego.

Czy pani sama uważa się za osobę silną?

– W każdym razie znam swoją wartość i potrafię mówić „nie". To wielka siła, chociaż nie należy jej nadużywać.

Jest pani pasjonatką fotografii. Kino więc to niejedyna miłość.

– Fotografia jest siostrą kina, operuje obrazem. Sama nie fotografuję, kolekcjonuję za to dzieła światowych fotografów, z wieloma jestem zaprzyjaźniona. Jakiś czas temu przygotowałam wystawę własnych portretów – objechała cały świat. Zaznaczam, że nie miało to nic wspólnego z wybujałym *ego*. Chodziło o prace konkretnych artystów i sposób, w jaki przedstawiają kobietę.

> Warlikowski jest wizjonerem teatru.

Czy po Złotych Globach i Oscarach chciałaby pani pracować w Hollywood?

– Hollywood nigdy mnie specjalnie nie pociągało, ale czemu nie? Mogę pracować wszędzie. Uwielbiam podróżować, mimo że panicznie boję się samolotów, poznawać nowych ludzi, odkrywać nowe kultury. Rozumiem nomadów, którzy nie mogą osiąść w jednym miejscu – jestem jednym z nich.

Podobno podąży pani wkrótce śladami innego wielkiego reżysera, Josepha Loseya?

– Tak, niebawem rozpoczynam zdjęcia do remake'u jego słynnej „Ewy". Nowa Ewa to ja.

Joanna Orzechowska

FOT. AFP/EAST NEWS, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl cc63cee1ad

ALICJA W KRAINIE SWARÓW

Kłopoty Warszawskiej Opery Kameralnej

Bronisław Tumiłowicz

„Od 15 do 23 marca zostanie zwolnionych 61 pracowników, w tym WSZYSCY! soliści, których jest 55, oraz 6 dyrygentów". Taką hiobową wieść zatytułowaną „Koniec Warszawskiej Opery Kameralnej" zamieściła na blogu czołowa krytyczka muzyczna Dorota Szwarcman. Przekaz jest jasny: była opera, nie ma opery. Wtórują jej poprzedni dyrektorzy WOK, Jerzy Lach i Stefan Sutkowski – twórca placówki i autor jej największych sukcesów.

Jerzy Lach, niedawno odwołany ze stanowiska dyrektora WOK, oświadczył na Facebooku, że przerywa milczenie: „Tak bardzo zabolała mnie wiadomość o zwolnieniach wszystkich solistów i muzyków. To przykre. Dlaczego nie zwalnia się 100 urzędników, żeby zwiększyć dotację dla Opery? Dlaczego zwalnia się artystów, a nie urzędników? Zapytajcie, ile etatów jest w Urzędzie Marszałkowskim? Ilu dyrektorów? Zastępców? I ich zastępców? Sekretarek? Ilu kierowców? I co oni dają polskiej kulturze?".

Uwagi dotyczące urzędników pewnie warto sobie wziąć do serca, ale czy kultura i administracja to naczynia połączone, przynajmniej finansowo?

Stefan Sutkowski pisze z nieskrywanym smutkiem, że po wielu latach doczekał się niszczenia instytucji, którą stworzył ponad 50 lat temu. „Dzisiaj z wielkim niepokojem patrzę na chylący się ku upadkowi Dom, w którym wykonawcy mogli się czuć bezpiecznie. Czai się zło, które niszczy wielką sztukę. Wielka sztuka z natury swej nie broni się sama".

Skąd się bierze takie zło? Wymienieni zgodnie uważają, że tym złem, a może Złym, jest p.o. dyrektor Alicja Węgorzewska. Dorota Szwarcman dodaje: „Czarną postacią jest tu niestety nie tylko p. Węgorzewska, ale i wspierający ją Jacek Laszczkowski, którego przez wiele lat bardzo ceniłam jako muzyka. Teraz coś się z nim stało bardzo niedobrego. Jakaś żądza władzy? Bo to on jest tu motorem, on traktuje lekceważąco kolegów, którym przecież bardzo wiele zawdzięczał".

Niszczyciele zostali zatem wymienieni po nazwisku, jest również hipotetyczny plan spisku: „Pani W.-W. [Alicja Węgorzewska-Whiskerd] opowie podłej zmianie, jak wspaniale prowadziła teatr operowy, i będzie startować do Teatru Wielkiego. Na miejscu zostanie Jacek Laszczkowski".

FOT. MICHAŁ WARGIN/EAST NEWS

DZIAŁALNOŚĆ ARTYSTYCZNA NIE ZOSTAŁA PRZERWANA. NA KWIECIEŃ PLANOWANA JEST PREMIERA.

Czy tak będzie? Zobaczymy. Na razie posłuchajmy, co ma do powiedzenia „najczarniejsza postać", czyli Alicja Węgorzewska. Jej zdaniem gdyby nie ogromne zadłużenie opery (ponad 3 mln zł) i stan zapaści finansowej, dyrektor Jerzy Lach nie zostałby odwołany w trakcie kontraktu. Nowa p.o. dyrektor nie przyszła do WOK, by ją zniszczyć, ale by uchronić od upadku i zamknięcia na cztery spusty.

Można by nie wierzyć zapewnieniom Alicji Węgorzewskiej, ale bieżący repertuar placówki pokazuje, że działalność artystyczna wcale nie została przerwana. W lutym odbyło się sześć przedstawień operowych, w tym Haendla i Mozarta, w marcu ma być ich 14, a w kwietniu 12, w tym jedna premiera. A co będzie dalej? Dyrektorka obiecuje kontynuowanie najlepszej tradycji tego teatru, wystawianie oper barokowych. Obok oper Mozarta, które są wizytówką WOK, chce dać np. premierę „Armidy" Jeana-Baptiste-'a Lully'ego, do współczesnego repertuaru zaś wprowadzić operę Michała Dobrzyńskiego „Tango" według Mrożka. Nadal będzie też działać scena marionetkowa.

Dlaczego w takim razie daje się wymówienia wszystkim śpiewakom? – Ten stan zatrudnienia na etatach jest przeżytkiem, który generuje ogromne koszty i długi – tłumaczy pani dyrektor. – Artyści będą, tak jak w innych teatrach, zatrudniani na zasadach kontraktowych do konkretnych przedstawień. 55 etatów solistów, z których część była w ogóle niedostępna, bo już zaangażowana gdzieś indziej, to marnotrawstwo pieniędzy publicznych.

Z tej powiastki wynikają dwa wnioski. Po pierwsze, fatalnie, że od lat władze samorządowe obcinały nawet już przyznane dotacje na ten wspaniały teatr, a i tak co roku dotacja się zmniejszała. Urzędników i ich szefów trzeba by częściej wysyłać na przedstawienia i edukować kulturalnie. Po drugie, gdy pieniędzy jest mało, należy oglądać z obu stron każdy grosz. Przez lata byliśmy utrzymywani w przekonaniu, że mamy w Warszawie „największą operę kameralną na świecie", gdzie pracuje ponad 300 osób i gdzie grają aż trzy orkiestry. Dziś jednak trzeba za wszystko płacić rachunki. ■

eprasa.pl cc63cee1ad

KURTYNA W GÓRĘ

KTO ZDEJMIE KLĄTWĘ?

To nie jest inscenizacja „Klątwy" Stanisława Wyspiańskiego. Chorwacki reżyser Oliver Frljić, za którym ciągnie się sława skandalisty, niczego nie udaje. Przeciwnie, w programie teatralnym wyraźnie obwieszcza, że to „Klątwa" na motywach Wyspiańskiego. I rzeczywiście, w spektaklu znajdują się fragmenty dramatu, opowiadającego o klęsce suszy, rzekomo wywołanej grzechem obcowania wiejskiej panny z księdzem, o ofiarach przebłagalnych i palcu bożym, który wszystko rozwiązuje.

W przedstawieniu Frlijcia dramat Wyspiańskiego to swego rodzaju echo, rezonator opowieści o innej klątwie, która zawisła nad Polską – klątwie zniewolenia przez panoszący się kler katolicki, przez jego zachłanność, obsesje obyczajowe i seksualne, poczucie bezkarności. Ale ta „Klątwa" jest jednocześnie opowieścią o teatrze, o jego odpowiedzialności, wolności, możliwościach oddziaływania i miejscu we współczesnym świecie. Wreszcie o aktorach, którzy przecież swoją twarzą firmują sceniczne konflikty. Już od początku wiadomo, że będziemy mieli do czynienia z teatrem postdramatycznym. Barbara Wysocka dzwoni do… Bertolta Brechta po wskazówki, jak „Klątwę" wystawiać. Brecht nie wie nic o Wyspiańskim ani o „Klątwie", ale wie, że trzeba odesłać Polaków do papieża, bo tylko jemu uwierzą. Tak to się zaczyna i publiczność od razu zostaje wprowadzona w sieć powiązań, z jakimi będzie miała do czynienia, w grę między tekstem Wyspiańskiego, monologami i dialogami aktorów odnoszącymi się do Polski współczesnej i autokomentarzami, które objaśniają, co się dzieje na scenie, jakie to ma znaczenie i co jeszcze będzie się działo. Bo ten spektakl sam siebie recenzuje i komentuje, co więcej, podejmuje nawet krytykę reżysera (świetny monolog Barbary Wysockiej), który nie cofa się przed niczym, aby umocnić swoją sławę objazdowego opozycjonisty.

W precyzyjnie skomponowany scenariusz, ukazujący dzisiejszą „klątwę" Polaków, których państwo dryfuje w stronę państwa kościelnego, wpisuje wiele poruszających scen i argumentów, czasem drastycznych, czasem bardzo emocjonalnych, dzięki czemu nie pozwala widzowi ani na moment na spokojny dystans. Ten spektakl krzyczy, niekiedy prowokuje, ale i obdarza nadzieją, że świat można poprawiać.

Aktorzy (Karolina Adamczyk, Klara Bielawka, Maria Robaszkiewicz, Barbara Wysocka, Julia Wyszyńska, Jacek Beler, Arkadiusz Brykalski i Michał Czachor) idealnie rozumieją jego konwencję, odważnie oddając swój talent wspólnej sprawie. To dzięki nim „Klątwa" jest przedstawieniem nie tylko wyjątkowym i społecznie ważkim, ale też artystycznie wybitnym. To właśnie za sprawą zdyscyplinowanej formy, zespołowego zgrania i dramaturgii scenariusza wychodzimy z teatru przekonani, że stało się coś naprawdę ważnego.

Tomasz Miłkowski

„Klątwa", na motywach dramatu Stanisława Wyspiańskiego, reżyseria Oliver Frljić, Teatr Powszechny w Warszawie, premiera 18 lutego 2017

MIT HOLLYWOODZKI

Ten spektakl nawiązuje do sytuacji hollywoodzkich aktorów kategorii B, ale alegorycznie. Kobiety są tam jedynie paliwem fabuły jako nieszczęsne ofiary w thrillerach lub filmach kryminalnych albo kociaki w naiwnych romansach. Mężczyźni to najczęściej brutalni macho, oszuści lub demony wojny. Troje aktorów na małej scenie Teatru WARSawy odgrywa zatem kilkanaście różnych ról, ale i wypowiada sentencje poetyckie, których nagromadzenie z czasem staje się nudne. Widz skupia się więc na stronie wizualnej i muzycznej. Większość akcji dzieje się w ciekawie zrekonstruowanej przyczepie kempingowej, jaką aktorzy otrzymują na planie, a poszczególnym scenkom towarzyszy niezła muzyka, zaczerpnięta np. z „Wariacji Goldbergowskich" Bacha czy znanego z filmu „Pluton" „Adagia na smyczki" Samuela Barbera. Część monologów i dialogów oglądamy równocześnie na dużym ekranie, aby poczuć się jak w prawdziwym kinie, choć to jednak nie film, co najwyżej sen o filmie.

Bronisław Tumiłowicz

„Hollywood", autorzy tekstu i inscenizacji Michał Siegoczyński i Magdalena Zaniewska, Teatr WARSawy, premiera 15 lutego 2017

NA EKRANACH

POKOT

Nie można traktować zwierząt tak samo jak człowieka – mówi do Janiny Duszejko (wielka rola Agnieszki Mandat) proboszcz gdzieś w Kotlinie Kłodzkiej, przepięknie sfotografowanej przez Jolantę Dylewską. Kobieta nie przyjmuje tego do wiadomości i rozpoczyna rewolucję. Sama staje przeciw towarzystwu myśliwskiemu, lokalnym kłusownikom, a nawet proboszczowi, któremu w jednej z mocniejszych scen każe zejść z ambony. Nagrodzona na Berlinale Srebrnym Niedźwiedziem za otwieranie nowych perspektyw Holland proponuje kino zupełnie inne niż jej wcześniejsze dokonania i to, co kręci się dziś w Polsce. Reżyserka niemal popkulturową opowieść o mścicielce ubiera w szaty kryminału, który raz przechodzi w thriller, a innym razem w moralitet. Do warsztatu nie można się przyczepić, choć sam film nie wywołuje wielkich emocji. Gorączka wokół niego bierze się z aktualności tematu ekologii w naszym kraju. Holland nie rzuca na niego nowego światła, za to jak zawsze zadaje niewygodne pytanie o moralność: do czego można się posunąć w walce o bezbronnych?

Artur Zaborski

reż. Agnieszka Holland, prod. Polska, Niemcy, Czechy, Słowacja, Szwecja, już w kinach

eprasa.pl cc63cee1ad

ZAJRZYJ TU

PODRÓŻ DO EDO

Japońskie drzeworyty ukiyo-e z kolekcji Jerzego Leskowicza

Na wystawie możemy oglądać pierwsze wydania najsłynniejszych prac graficznych wybitnych artystów ukiyo-e. Wybrane grafiki oddają barwną panoramę życia w dawnej Japonii, ukazując krajobrazy dwóch głównych szlaków komunikacyjnych łączących Edo z Kioto oraz pejzaże Edo i podobizny jego mieszkańców – wizerunki pięknych dziewcząt, portrety aktorów teatru kabuki. Udostępnione publiczności arcydzieła pochodzą z prywatnego zbioru o randze międzynarodowej, zapraszają w fascynującą podróż po Japonii schyłku XVIII i pierwszej połowy XIX w.

MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE, DO 7 MAJA

MAJA BEKAN. 23 ZGROMADZENIA

Żywa instalacja rzuca światło na związki sztuki z życiem codziennym i polityką. Punktem wyjścia są historie małych zbiorowości: dwóch artystek, stowarzyszenia sąsiedzkiego, grupy kobiet związanych rodzinnie i prowadzących drobny biznes. Podczas wystawy udostępnionych zostanie pięć instalacji stanowiących remiks prac Mai Bekan powstałych w ciągu 10 lat. Będą to skonstruowane sytuacje w dokumentacji wideo, akcje na żywo czy zapiski dotyczące dawnych działań.

WARSZAWA, CSW ZAMEK UJAZDOWSKI, 3 MARCA-3 MAJA

AUKCJA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ WYSTAWA PRZEDAUKCYJNA

Wojciech Fangor, Henryk Stażewski i Tadeusz Kantor to artyści, którzy najbardziej się przyczynili do bicia aukcyjnych rekordów. Od 27 lutego ponownie można zobaczyć ich prace przy Marszałkowskiej 34/50. Wystawa i aukcja to kwintesencja tego, co aktualnie najważniejsze na rodzimym rynku sztuki. Znanym nazwiskom klasyków towarzyszyć będą artyści mniej popularni, za to błyskawicznie zyskujący na wartości. Zofia Artymowska czy Jerzy Kałucki to twórcy, których prace w zaledwie pół dekady kilkakrotnie zwiększyły wartość. Zainteresowanie kolekcjonerów z pewnością wzbudzi obraz Fangora „E28" z motywem koła.

WARSZAWA, DOM AUKCYJNY DESA UNICUM, DO 9 MARCA

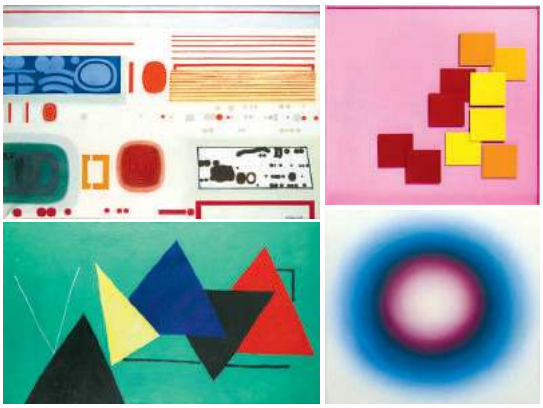

W TV

KINO MÓWI: ROMANS

Uczucie okiem kurtyzany, seksoholika, znudzonego męża, sióstr i wdowy. W marcowym cyklu romansowym kanału Ale kino+ czeka nas telewizyjna premiera „Boris bez Béatrice" (Konkurs Główny 66. MFF w Berlinie) w reżyserii Denisa Côtégo. Ponadto „Między nami seksoholikami" w reżyserii Stuarta Blumberga, „Chéri" z Michelle Pfeiffer w reżyserii Stephena Frearsa, „3 serca" z Charlotte Gainsbourg w reżyserii Benoît Jacquota oraz „Oblicze miłości" z Annette Bening i Robinem Williamsem w reżyserii Ariego Posina.

ALE KINO+, CZWARTKI OD 2 MARCA, GODZ. 20.10

Kolumnę przygotowała Agata Gogolkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, TEATR POWSZECHNY W WARSZAWIE, ROBERT PAŁKA/NEXT FILM

eprasa.pl cc63cee1ad

METROPOLIE WYSYSAJĄ POWIA

Nie dostrzegam, by obecna władza miała pomysł na zdecentralizowaną administrację w Polsce

Rozmawia Krzysztof Pilawski

Czy zostanie pani mieszkanką przyszłego powiększonego miasta stołecznego Warszawy?

– Nie, bo mieszkam w gminie Tarczyn, która nie znalazła się w granicach projektowanej metropolii, podobnie jak należąca również do powiatu piaseczyńskiego gmina Prażmów.

Jaki będzie los pani gminy?

– Miasto i gmina Tarczyn pozostaną. Zapewne wrócimy do powiatu grójeckiego, do którego zostaliśmy przypisani w 1999 r. w ramach reformy administracyjnej. Wtedy również nie pytano mieszkańców, do jakiego powiatu chcą należeć. Cztery lata później w referendum opowiedzieliśmy się za przyłączeniem do powiatu piaseczyńskiego. Należymy do niego od początku 2003 r. Szkoda by było, gdyby odgórne decyzje przekreśliły społeczną determinację mieszkańców.

CZY KTOŚ TO POLICZYŁ?

Gmina Tarczyn będzie sierotą po obecnym układzie administracyjnym?

– Na to wygląda, ale Tarczyn nie jest jedyną jednostką, której metropolia przysporzy kłopotów. Zmiana powiatu może w jakimś stopniu wpłynąć na kierunek naszego rozwoju i kierunek dojazdów – w sprawach administracyjnych będzie się jeździło do Grójca. To nawet nieco bliżej niż do Piaseczna, z którym jednak jesteśmy nieźle skomunikowani. Po utworzeniu metropolii warszawskiej utrzymanie linii autobusowej łączącej Tarczyn i Piaseczno nie będzie tak oczywiste jak obecnie. Po przyłączeniu do powiatu grójeckiego dwóch gmin z powiatu piaseczyńskiego zasadne będzie pytanie, czy podoła on obsłudze ok. 21 tys. nowych mieszkańców. Jak wpłynie to na jakość świadczonych usług, czy np. nie zabraknie dla nas łóżek szpitalnych? Czy ktoś w ogóle to badał i liczył?

Tarczyn jest gminą zasobną, pewnie jakoś sobie poradzi. Ale tak jak on osierocone będą gminy znacznie uboższe, które zostaną włączone do biedniejszych powiatów.

– To jest problem, bo w tej chwili mniej zasobne gminy podwarszawskie korzystają na przynależności do bogatszych powiatów. Dzięki temu mają szansę na podniesienie poziomu życia mieszkańców w tych sferach, którymi zajmuje się powiat. Jeżeli osierocona zostanie niezbyt bogata gmina i trafi do jeszcze biedniejszego powiatu, nie będzie mogła liczyć na istotniejszą pomoc. Powstanie metropolii warszawskiej dla takich gmin może oznaczać regres w rozwoju.

Od 1 stycznia 2016 r. obowiązuje ustawa o związkach metropolitalnych, uchwalona w poprzedniej kadencji parlamentu i podpisana przez obecnego prezydenta. Na jej mocy Śląsk natychmiast przystąpił do budowy metropolii, ale okazało się, że nie może tego zrobić, bo rząd nie wydał aktów wykonawczych. Z kolei aglomerację warszawską przymusza się do metropolii. O co chodzi?

– Kusi się ludzi nowymi rozwiązaniami na zasadzie: my wam przedstawiamy wizję lepszą niż ta, którą opracowali poprzednicy. Dlaczego? Odnoszę wrażenie, że w grę wchodzą ambicje niepozwalające na uznanie efektów pracy konkurentów politycznych. Nie dostrzegam, by obecna władza miała pomysł na zdecentralizowaną administrację. Za to ma koncepcję powrotu do centralizacji. Podstawowa różnica między ustawą o związkach metropolitalnych z 2015 r. a projektem metropolitalnej ustawy warszawskiej PiS polega na ograniczaniu dobrowolności tworzenia metropolii, na przymuszaniu do metropolii. Od początku lat 90. mówiono o małych ojczyznach, umacnianiu więzi lokalnych, budowaniu lokalnej tożsamości. Wiele w tym kierunku zrobiono, a teraz to wszystko chce się zlekceważyć. Projekt ustawy warszawskiej nie był konsultowany z lokalnymi społecznościami. Było to niezgodne z duchem ratyfikowanej przez Polskę w 1994 r. Europejskiej karty samorządu lokalnego.

DR ELŻBIETA SĘKOWSKA-GRODZICKA

– wykładowca w Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego

METROPOLIE WEDŁUG UZNANIA

Co by to dało w obecnej sytuacji?

– Dobre pytanie. Dostrzegli to autorzy projektu i rozpoczęli spóźnione konsultacje. Nie mogę się pogodzić z niszczeniem dorobku samorządów – m.in. w sferze wspólnych przedsięwzięć. Mamy mnóstwo takich przykładów dotyczących transportu publicznego, infrastruktury wodno-kanalizacyjnej, ochrony środowiska, inwestycji. Ale nie tylko – w zeszłym roku gminy leżące na projektowanej trasie przebiegu linii elektroenergetycznej 400 kV z Kozienic do Ołtarzewa zorganizowały wspólną akcję, wymuszając zmianę jej przebiegu. Jeśli istnieje wspólny interes, samorządy znajdą odpowiednią formułę współpracy.

eprasa.pl cc63cee1ad

TY I GMINY

Mieszkańcy Bobrowca w gminie Piaseczno domagają się chodników, oświetlenia i pobocza. Grudzień 2015 r.

Przykładem jest Podwarszawskie Trójmiasto Ogrodów, obejmujące gminy, które mają wejść do metropolii warszawskiej: Brwinów, Milanówek i Podkowę Leśną.

– Zamiast wykorzystać sprawdzone instrumenty, wymyśla się i narzuca nowe konstrukcje, nie licząc się ze skutkami społecznymi. W projekcie znajduję tylko jedno rozwiązanie warte zastanowienia – wymuszenie koordynacji planowania przestrzennego na terenie metropolii. Poza tym trudno w tym dokumencie dostrzec nowe zadania, których do tej pory samorząd by nie realizował. Czy w związku z tym warto dla Warszawy i 32 gmin wymienionych w projekcie tworzyć obligatoryjny, scentralizowany, ale fragmentaryczny obszar zarządzania? Sensowniejsze byłoby, moim zdaniem, odtworzenie miast na prawach województw.

To mało prawdopodobne. Projekt ustawy o aglomeracji śląskiej jest już po pierwszym czytaniu, potem zapewne przyjdzie kolej na aglomerację warszawską. Ustawa przyjęta w poprzedniej kadencji miała charakter uniwersalny, mogły z niej korzystać różne aglomeracje spełniające pewne jednakowe kryteria.

– Jest wśród nich wymóg zamieszkiwania na terenie aglomeracji co najmniej pół miliona osób. Obawiam się, że faktyczne zniesienie tego zapisu poprzez przyjmowanie odrębnych ustaw dla konkretnych związków metropolitalnych sprawi, że o powołaniu nowej metropolii może decydować nie liczba mieszkańców, czy w ogóle zasadność takiego przedsięwzięcia, lecz wola polityczna, lobbing. Któreś dawne miasto wojewódzkie, mające wpływowych przedstawicieli na szczytach władzy, postanowi przyłączyć parę okolicznych gmin stanie się metropolią.

SKAZANI NA SKANSEN

Projekty obu ustaw metropolitalnych przewidują likwidację powiatów.

– Mamy do czynienia ze zmianą ustroju samorządów. Nie chodzi tylko o zmianę siatki powiatów. Za kilka lat możemy mieć trudną dziś do przewidzenia liczbę metropolii. Każda zostanie utworzona na mocy odrębnej ustawy, każda będzie mieć zapewne różny status i zakres kompetencji. Metropolie, sądząc po projekcie warszawskim, stawałyby się specyficzną formą powiatu. To rozwiązanie inne niż w projekcie metropolii śląskiej. Istnieje więc zagrożenie, że dotychczasowy jednolity system podziału administracyjnego kraju zostanie rozmontowany.

Podobno cel uświęca środki – w tym przypadku chodzi o zapewnienie PiS zwycięstwa w wyborach.

– Nie sądzę, by utworzenie metropolii warszawskiej wpłynęło na wyniki wyborcze. Tym bardziej że preferencje i sympatie polityczne – jak przekonaliśmy się już wielokrotnie – podlegają gwałtownym zmianom. Pokazywanie, że władza może wszystko poprzez nieliczące się z opiniami mieszkańców majstrowanie przy podziale administracyjnym, działa w moim przekonaniu na niekorzyść partii rządzącej.

Zgodnie z ustawą z 2015 r. i projektami PiS metropolie dostaną 5% podatków PIT płaconych przez mieszkańców. Bogatemu i byk się ocieli… Mówimy o zrównoważonym rozwoju i jednocześnie premiujemy metropolie.

– Jeśli metropolie mają odgrywać rolę tzw. biegunów wzrostu, to zapewne mniej lub bardziej świadomie zakładamy, że tereny pozametropolitalne będą drenowane z ludzi rzutkich i przedsiębiorczych. W miastach żyje się łatwiej. Istnieje duże ryzyko, że większość ważnych inwestycji lokowana będzie w metropoliach lub w ich bliskim sąsiedztwie. Tym samym prędzej czy później pojawi się pytanie o sens i zakres dofinansowywania rozwoju obszarów wiejskich – na ten cel przeznacza się przecież miliardy euro. Podejmując inicjatywy w sprawie metropolii, trzeba mieć zarys propozycji także dla tych terenów.

Przed wyborami Beata Szydło powiedziała w Pułtusku, że trzeba dać szansę i oddech Polsce powiatowej. Czy mieszkańcy tego oddalonego o 60 km od Warszawy miasta, spędzający codziennie kilka godzin w autobusie, zyskają na metropolii?

– Większość wykształconych, ambitnych, zmotywowanych do zrobienia kariery przeniesie się do wielkiego miasta. Zostaną głównie osoby niepewne swoich kompetencji. Metropolia wysysa i wypłukuje takie miasta jak Pułtusk z kadr, które mogłyby być przydatne na miejscu. Nie ma pomysłu na małe miasta, a tworzenie metropolii z pewnością nie poprawi ich sytuacji.

A co z zacieraniem różnic między tzw. Polską A i Polską B?

– Miejmy nadzieję, że różnice nie będą się powiększały, ale to zależy od przyjęcia koncepcji rozwoju obszarów pozametropolitalnych. Jeżeli taka koncepcja nie powstanie, znaczna część tzw. Polski B może się przekształcić w skansen. Miło go oglądać, ale żyć w nim trudno. ■

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, DAREK NOWAK/REPORTER

eprasa.pl cc63cee1ad

CHMURY I SZANSE NA

Wyodrębnienie twardego trzonu Unii Europejskiej spowoduje pogorszenie statusu Polski

Prof. Bogusław Liberadzki,
wiceprzewodniczący
Parlamentu Europejskiego

Zbliżająca się 60. rocznica podpisania traktatów rzymskich, które dały początek dzisiejszej Unii Europejskiej, nie zapowiada się dla Polski dobrze. Świadczyć o tym może przyjęta kilkanaście dni temu rezolucja Parlamentu Europejskiego otwierająca kolejne drzwi ku Europie dwóch prędkości. Parlament Europejski stosunkiem głosów 304 za do 255 przeciw przyjął uchwałę wprawdzie niewiążącą, ale niewątpliwie będącą poważnym krokiem na drodze do stworzenia odrębnego budżetu dla krajów UE, które przyjęły wspólną walutę euro.

To nie są nowe pomysły i Polska zawsze bardzo ostro je zwalczała, ale tym razem wydaje się, że nasze protesty mogą nie przynieść oczekiwanego rezultatu. Wyodrębnienie twardego trzonu Unii Europejskiej poprzez utworzenie dla krajów strefy euro odrębnego budżetu spowoduje niewątpliwie powstanie „Europy dwóch prędkości" i ewidentne pogorszenie statusu Polski jako kraju, który europejskiej waluty dotąd nie przyjął. Możemy się znaleźć na obrzeżu Europy.

To, co się stało, nie powinno jednak zaskakiwać tych polskich polityków, którzy odpowiadają obecnie i odpowiadali przez ostatnie 10 lat za sprawy kraju. Wyraźne sygnały o możliwym marszu w kierunku eurolandu, w kierunku tzw. twardego jądra Unii Europejskiej są

Możemy się znaleźć na obrzeżu Europy.

znane od przynajmniej dwóch lat. To jądro – mówiąc najprościej – to strefy euro i Schengen. Państwa, które spełniają te dwa warunki razem – i Schengen, i eurostrefa – stanowią właśnie jądro Unii Europejskiej. Wszyscy wokół nas już tam są. Euro przyjęły państwa bałtyckie i Słowacja, można powiedzieć, że w Czechach praktycznie już się to dzieje. Została Polska.

Musimy więc i my jasno sobie odpowiedzieć, gdzie chcemy być. Pozornie odpowiedź znamy. „Euro? Może kiedyś…". Można jednak odnieść wrażenie, że rządzący co innego mówili i mówią na użytek wewnętrzny, a co innego na zewnątrz, co innego mówią w Warszawie, a co innego w Brukseli. Ani jedna propozycja jakichkolwiek rozwiązań instytucjonalnych, która pojawiła się na forum Rady Europejskiej, nie została na tym forum przez polski rząd zakwestionowana, odrzucona, nie była kontestowana. I nie tylko rząd PiS tak postępuje. Rząd Platformy Obywatelskiej także tego nie robił, niczego nie kwestionował, nie podejmował tematu.

Wydaje się, że dłużej unikać go się nie da, tym bardziej że w traktacie akcesyjnym, który podpisaliśmy, wstępując do Unii Europejskiej, znalazł się zapis, że Polska dąży do wstąpienia do strefy euro. W pewnym momencie musimy powiedzieć sobie, co to znaczy dąży. Czeka nas poważna debata o sprawach, które mają charakter ustrojowy. Bo to, co zostało zapisane w traktacie, oznacza, że strefa euro powstanie, a z tym wiązać się

Rezolucja Parlamentu Europejskiego otwiera drogę ku Europie dwóch prędkości.

będą następne poważne kroki. W przyszłości bowiem mamy mieć ministra finansów strefy euro, Komisja Europejska ma mieć dwóch wiceprzewodniczących – do spraw finansów i do spraw polityki zewnętrznej, powstanie fundusz obronny strefy euro, instytucje wspierające, w Parlamencie Europejskim głos posłów z eurostrefy będzie decydujący w jej sprawach. Głos spoza niej będzie zaś miał charakter opiniodawczy. Tym samym parlament będzie podzielony na dwie części. Powstanie również Europejski Fundusz Walutowy, dający krajom euro możliwość gwarancji i wsparcia w sytuacji kryzysowej. A co my będziemy mieli? Nie jesteśmy na drodze do euro, nie mamy nawet jasnej deklaracji w tej sprawie. Skąd możemy spodziewać się wsparcia na wypadek sytuacji kryzysowej, która przecież może się zdarzyć?

Zmieni się także na pewno nasza sytuacja finansowa wewnątrz Unii. Chodzi już nawet nie o perspektywę wykraczającą poza rok 2020, ale i o bieżącą. Istnieje bowiem możliwość bardzo poważnej modyfikacji bieżącego budżetu Unii. Jest on elastyczny, z założenia da się go zmieniać. Czy są do tego warunki? Są. Przyjęta w tych dniach rezolucja otwierająca drogę ku eurostrefie jest taką przesłanką. Także Brexit, bo oznacza on, że do budżetu wspólnotowego może wpłynąć mniej pieniędzy. Co z kolei pociągnie za sobą konieczność redukcji wydatków, trzeba będzie zmniejszać któreś strumienie pieniędzy, bo ich po prostu nie wystarczy, żeby sprostać planom sprzed Brexitu.

Jakie mogą być kryteria takiej redukcji? Nietrudno się domyślić. Są obszary – nazwijmy je tak – delikatne. Na

eprasa.pl cc63cee1ad

HORYZONCIE

Bogusław Liberadzki z Martinem Schulzem, do 17 stycznia przewodniczącym Parlamentu Europejskiego.

przykład polityka rolna. Ją trzeba chronić. Leży to w interesie wszystkich. Nie tylko dlatego, że dotyczy tak silnych gospodarek rolnych jak niemiecka, francuska, także polska, ale również dlatego, że od polityki rolnej zależą ceny żywości, czyli coś bardzo społecznie wrażliwego. Nikt tu nie popełni nierozważnego kroku.

Parlament Europejski przyjął uchwałę o stworzeniu odrębnego budżetu dla krajów strefy euro.

Drugą wielką polityką jest tzw. polityka spójności. Jej finansowanie to mniej więcej 40% unijnego budżetu. Ale to już nie dotyczy tak bardzo Niemców, Holendrów czy Francuzów. A na pewno nie w tym samym stopniu, co nas. 40% środków z polityki spójności przeznaczonych dla nowych państw członkowskich płynie tylko i wyłącznie do Polski. Jeśli gdzieś może nastąpić ograniczenie, to tu. Polityka spójności bez żalu zostanie złożona na ołtarzu interesów nowej strefy euro, która właśnie na naszych oczach się rodzi.

Jest jeszcze drugi instrument finansowy – tzw. plan Junckera. To *de facto* nowy lewar, który w połączeniu z Europejskim Bankiem Centralnym za pomocą 500 mld euro ma wywołać efekt prorozwojowy, proinwestycyjny w państwach unijnych. Tyle że z tych 500 mld, które już są (a ma być jeszcze kolejnych 100 mld), do Polski płynie bardzo cieniutki strumień pieniędzy. My po prostu nie zgłaszamy własnych projektów, nie wykorzystujemy sytuacji, która jest na wyciągnięcie ręki. Sześć państw ma 70-procentowy udział w planie Junckera. Polski niestety wśród nich nie ma.

Mimo wszystko ciągle – moim zdaniem – nie jesteśmy na marginesie polityki europejskiej, wciąż mamy szanse na odgrywanie poważnej roli. Zależy to tylko od tego, jak te szanse wykorzystamy. Co wnosimy do Unii? Jakie koncepcje? Z kim te koncepcje chcemy wnieść, jakich mamy dla nich sojuszników? I jakim my jesteśmy sojusznikiem dla innych.

Rządzący co innego mówią w Warszawie, a co innego w Brukseli.

Bo jest jeszcze jeden problem – w dokumentach unijnych proponuje się znieść zasadę jednomyślności. W takich kwestiach jak budżet, sprawy obronne, polityka zagraniczna nie będzie jednomyślności, będzie większość. Oznacza to m.in., że kraje „machające szabelką" będą marginalizowane. Praktyka będzie taka: „Macie coś do powiedzenia? Niestety, czas się skończył, złóżcie swój głos do protokołu". Tak to będzie wyglądało.

Poniekąd już się to dzieje, czego dowodzi niedawna, odbywająca się w Monachium wielka konferencja dotycząca bezpieczeństwa, gdzie po raz pierwszy zaprezentował się Mike Pence, wiceprezydent USA. Wiceprezydent Pence spotkał się z wieloma politykami, ale nie z prezydentem Dudą. Z tego powinien wynikać bardzo jasny wniosek – Polska jako tzw. państwo suwerenne, samodzielne wedle wyobrażeń obecnej ekipy rządzącej, niewiele, przepraszam, może wskórać. Natomiast jeżeli będziemy silnym członkiem Unii, ważnym ogniwem, będziemy odpowiednio postrzegani na świecie, będziemy osiągać nasze cele suwerennie zdefiniowane. Myślę, że to ciągle możliwe. W UE akcentowanie swojej roli i oczekiwań jest bardzo ważne (notabene rząd próbuje to robić), ale do tego trzeba mieć sojuszników, przyjaciół. I właśnie w tej sferze oczekiwałbym zmian. Można opisać je obrazowo: każdy minister jest zaprzyjaźniony ze swoim komisarzem. Trzeba dać się lubić i pokazać, że innych się lubi. Tego nam brakuje. ■

Sfinansowano ze środków Grupy S&D w Parlamencie Europejskim

S&D Grupa Postępowego Sojuszu Socjalistów & Demokratów w Parlamencie Europejskim

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl cc63cee1ad

Wiesław Żółtkowski

NAJPIERW ZAROBIĆ, POTEM WYDAWAĆ

Polska na wielkim kredycie

Opinie o stanie naszej gospodarki są rozbieżne. Jedni nawołują do dalszej prywatyzacji, aby poprawić jej efektywność, drudzy zgłaszają pomysły na deregulację, aby przedsiębiorcom było łatwiej. Jedni mówią, że nasza transformacja to największy sukces w ostatnim 200-leciu, drudzy, że dwa lata temu gospodarka była w ruinie. Podstawowym podmiotem gospodarki są przedsiębiorstwa. Doświadczenia bankowe każą mi spojrzeć na nie pod kątem ich efektywności i bezpieczeństwa funkcjonowania. Z tego punktu widzenia firmy można podzielić na pięć grup.

PRYWATNE, SAMORZĄDOWE, PAŃSTWOWE

1. Pierwszą grupę stanowią przedsiębiorstwa zagraniczne. Ich mocna pozycja na rynku wynika z kilku przyczyn. Zagraniczny właściciel gwarantuje im zwykle silne wsparcie kapitałowe. Sprzedają produkty pod obco brzmiącą nazwą, co w Polsce jest dobrze odbierane. Często mają monopolistyczną pozycję na rynku, co jest ważnym czynnikiem ich rentowności. Decydują o większości polskiego eksportu, który po części jest wynikiem kooperacji w międzynarodowych grupach kapitałowych. W Polsce otrzymują różne zwolnienia podatkowe i dotacje, byle tylko utworzyły miejsca pracy. W przedsiębiorstwach tych łączy się nowoczesną, zagraniczną technologię z polską niską ceną pracy. Polscy menedżerowie są dobrze wynagradzani za utrzymywanie tych niskich kosztów, znacznie niższych niż w macierzystym kraju właściciela. Stosunki pracy są względnie dobre, ponieważ kultura organizacyjna – podobnie jak technologia – pochodzi z zagranicy. Wszystko to sprawia, że firmy te osiągają dobre wyniki, mimo że nie są wzorcowo zarządzane – praca w Polsce nie kusi najlepszych menedżerów.

2. Drugą grupę stanowi zaledwie kilkadziesiąt wielkich przedsiębiorstw państwowych. Funkcjonują one w sektorze surowcowym, energetyce, transporcie, przemyśle zbrojeniowym. Ich sytuacja jest skomplikowana, zależy bowiem od zmieniającej się polityki państwa w kwestii własności surowców (węgiel, miedź), funkcjonowania transportu (PKP, porty morskie, lotniska) czy pomysłów na to, gdzie kupować broń. Firmy te mają wielki majątek i w dużej części monopolistyczną pozycję na rynku. W dużym stopniu realizują zadania państwa (np. w zakresie bezpieczeństwa energetycznego). Są zarządzane na różnym poziomie, w zależności od kompetencji zmieniających się menedżerów wyłanianych przez kolejne partie rządzące. Niestety, w większości przypadków lojalność okazuje się ważniejsza od umiejętności menedżerskich. Stosunki pracy – poza okresami zmian politycznych – są raczej dobre. Dyskusja o prywatyzacji tych przedsiębiorstw ma charakter przede wszystkim ideowy, podczas gdy bardziej potrzebne jest praktyczne określenie sposobów funkcjonowania obszarów ważnych dla interesów państwa. Trzeba zdefiniować cele państwa w tym zakresie, wtedy

> W firmach państwowych lojalność okazuje się często ważniejsza od umiejętności menedżerskich.

RYS. MAŁGORZATA TABAKA

eprasa.pl cc63cee1ad

metody interwencjonizmu państwowego będą wtórne wobec formy własności.

3. Podstawowa grupa przedsiębiorstw prywatnych wytworzyła się w warunkach transformacji gospodarczej. Firmy te mają znaczny majątek, który najczęściej zbudowały dzięki przejęciu majątku przedsiębiorstw państwowych z czasów PRL. Ulokowały się w niszach rynkowych powstałych po upadku tamtych przedsiębiorstw. Część nowych firm jeszcze w latach 90. została sprzedana zagranicznym właścicielom. To był czas budowania spółek na fragmentach majątku przedsiębiorstw państwowych, aby je szybko sprzedać tzw. strategicznemu inwestorowi, najczęściej zagranicznemu. Spółki, które pozostały, mają majątek wystarczający do bezpiecznego funkcjonowania na rynku lokalnym. Jednak większość po osiągnięciu pewnego poziomu rozwoju dba przede wszystkim o stabilność i nie rozwija się. Jedną z przyczyn tego stanu jest wyczerpanie się energii właścicieli, którzy osiągnęli wiek emerytalny. Wykazali się wielką determinacją i przebyli trudną drogę przemian gospodarczych lat 90., ale teraz wybierają trwanie na rynku zamiast zdobywania jego nowych obszarów. Nie dotyczy to wszystkich, bo można wskazać przedsiębiorców, którzy ciągle nastawieni są na dynamiczny wzrost, ale to zdecydowana mniejszość. Dowodem stagnacji jest mały popyt tej grupy przedsiębiorstw na kredyty inwestycyjne.

Efektywność gospodarki nie pozwala zaspokoić naszych aspiracji.

4. W Polsce istnieje duża liczba firm utworzonych przez samorządy terytorialne. Są to najczęściej małe spółki komunalne tworzone w celu realizacji różnych usług dla lokalnej społeczności. Będąc biznesowym przedłużeniem funkcji samorządu, są mocno związane z jego organami. Ich funkcjonowanie zależy od koncepcji, a czasem interesów, aktualnego marszałka województwa, prezydenta miasta, starosty powiatu czy wójta gminy. Spółki komunalne są postrzegane przede wszystkim jako przedłużenie lokalnej władzy. Dlatego trudniej oceniać ich efektywność ze względu na różne uwarunkowania ich działalności.

5. W XXI w. powstało wiele firm prywatnych, dysponujących bardzo małym majątkiem własnym. Z tego powodu lokują się one w branżach, w których nie potrzeba dużego kapitału, by wejść na rynek. Wkładem założycielskim są raczej pomysł i indywidualne umiejętności. Firmy takie narażone są na duże ryzyko i większość z nich upada. Tylko część utrzymuje się na rynku, a zaledwie pojedyncze odnoszą duże sukcesy. Dotyczy to przede wszystkim małych podmiotów w innowacyjnych branżach, związanych głównie z informatyką.

BIEDNI PRACUJĄCY

Prywatne przedsiębiorstwa mają ok. 70% udziału w naszym PKB. Pozostałe 30% należy do kilkudziesięciu przedsiębiorstw państwowych i dużej liczby spółek samorządowych. W tej sytuacji zamiast dyskutować o dalszej prywatyzacji, trzeba raczej zastanowić się nad efektywnością przedsiębiorstw. Przyjęło się mierzyć ją zyskiem, z którego korzystają właściciele. Takie kryterium jest właściwe do oceny pojedynczych firm – bez zysku przedsiębiorstwo nie ma środków na rozwój. Jednak efektywności całej gospodarki nie można ograniczyć do tego kryterium. Przedsiębiorstwa nie działają wyłącznie po to, by dostarczać zysków właścicielowi. Są formą organizacji pracy ludzkiej, która powinna zapewnić warunki materialne godziwego życia społeczeństwa na określonym poziomie rozwoju cywilizacyjnego. Spójrzmy na naszą gospodarkę z tego punktu widzenia.

Podstawową sprawą jest odpowiedź na pytanie, czy stwarza ona miejsca pracy dające możliwość zarabiania pieniędzy. Przez długi czas sytuacja w tym zakresie była zła, co spowodowało duże bezrobocie i ponaddwumilionową falę emigracji zarobkowej. Obecnie bezrobocie się zmniejsza, choć nie ma powrotów z emigracji. Problemem pozostaje jednak niskie wynagrodzenie otrzymywane za pracę.

Finansowanie potrzeb materialnych społeczeństwa w gospodarce kapitalistycznej może się odbywać na dwa sposoby. Po pierwsze, pracownicy mogą uzyskiwać takie wynagrodzenie, które pozwoli im kupić żywność i mieszkanie, korzystać z usług zdrowotnych, oświatowych, kulturalnych i innych, wychować dzieci i sfinansować składki emerytalne zapewniające bezpieczną starość. W Polsce z powodu niskiego poziomu wynagrodzeń większość pracujących nie ma szans, by z indywidualnych dochodów zaspokajać te potrzeby na oczekiwanym poziomie.

Po drugie, możliwy – i znany w świecie – jest inny model kapitalizmu, w którym prywatne przedsiębiorstwa płacą podatki w takiej wysokości, aby państwo miało środki na sfinansowanie wielu potrzeb społecznych w ramach konsumpcji zbiorowej. Chodzi o dostęp do bezpłatnej oświaty, służby zdrowia, tanich mieszkań, różnych świadczeń socjalnych. Nie dotyczy to jednak naszego kraju. Polskie przedsiębiorstwa nie zapewniają państwu środków, by skutecznie realizować takie zadania.

ŻYCIE PONAD STAN

Równocześnie konsumpcja społeczna w całej III RP była i jest wyższa, niż pozwala na to efektywność gospodarki. Jak to możliwe? Istnieje kilka dróg dodatkowego finansowania wzrostu konsumpcji. Ważnym źródłem finansowania zewnętrznego są środki z Unii Europejskiej (ok. 200 mld euro do 2020 r.) oraz rosnące zadłużenie budżetu (teraz prawie bilion złotych). Oba strumienie mają swoje granice i pociągają za sobą różnorodne konsekwencje, nie tylko ekonomiczne. W pierwszym przypadku chodzi o naszą politykę wobec trudności, jakie przeżywa Unia. Wspieranie kogoś, kto daje nam pieniądze, powinno być naszym oczywistym celem. Każda inna

Polscy menedżerowie w zagranicznych firmach są dobrze wynagradzani za utrzymywanie niskich kosztów pracy.

eprasa.pl cc63cee1ad

postawa jest polityczną nieodpowiedzialnością. W przypadku długu publicznego podstawową groźbą jest wzrost kosztu jego obsługi, który będzie wypierał w budżecie finansowanie innych celów. A fakt, że około jednej trzeciej długu zaciągnęliśmy w walutach obcych, powoduje, że nasz kraj jest narażony na duże ryzyko kursów walutowych.

Przejściowo budżet państwa był wspierany wpływami z prywatyzacji majątku państwowego wytworzonego w okresie PRL (ok. 100 mld zł) kosztem niskiej wówczas konsumpcji. Ale to źródło już wyschło. Pewną rolę odgrywają też wpływy od Polaków pracujących za granicą, ale ten strumień również maleje, ponieważ rodacy na stałe urządzają się w innych krajach. Ważnym źródłem finansowania konsumpcji indywidualnej są długi osób prywatnych, których wartość zbliża się do wartości długu publicznego. Tutaj także zbliżamy się do bariery zdolności kredytowej ludzi.

Choć jesteśmy przekonani, że należy nam się lepsze życie, nie potrafimy zatem wygospodarować na to pieniędzy. Z tego punktu widzenia nasza gospodarka jest znacznie poniżej efektywności wymaganej przez nasze aspiracje materialne. Dodatkowo występuje dość duże zróżnicowanie dochodowe i majątkowe. Większość społeczeństwa żyje poniżej standardów uważanych za średnie, niezależnie od tego, na jakim poziomie je określimy. Brutalna prawda jest taka, że żyjąc na kredyt, mamy pretensję, że poziom życia jest zbyt niski.

Istotnym źródłem finansowania zewnętrznego są środki z Unii Europejskiej oraz rosnące zadłużenie budżetu.

Podstawowym problemem jest więc niewystraczająca efektywność ogółu firm. Można to racjonalnie wytłumaczyć ich miejscem w międzynarodowej kooperacji. Są one często poddostawcami wyrobów do produkcji finalnej w innych krajach lub montowniami gotowych wyrobów według technologii dostarczonej z zewnątrz. Na takiej produkcji zarabia się mało. Tej sytuacji nie da się szybko zmienić, niezależnie od wyobrażeń osób rządzących. Natomiast można oczekiwać racjonalnego podejścia do rządzenia, czyli dostosowania wydatków do wielkości zasobów finansowych, jakie wytwarza gospodarka. W praktyce oznacza to, że można zwiększać wydatki socjalne, bo na krótką metę budżet je pokryje. Można też planować odległe sukcesy gospodarki, bo do tego wystarczy fantazja. Znacznie trudniejsze jest planowanie na okres trzech-czterech lat, gdy wydatki trzeba pokryć z rzeczywistych dochodów, znacznie różniących się od planowanych w świetlanej przyszłości.

W ostateczności wydatki trzeba pokrywać wpływami, które do pewnego stopnia mogą pochodzić z długu, ale na dalszą metę brak własnego finansowania zawsze prowadzi do kłopotów, zarówno w korporacji, jak i w państwie. To właśnie, a nie dalsza prywatyzacja jest poważnym problemem naszej gospodarki.

Autor jest niezależnym ekspertem finansowym

eprasa.pl cc63cee1ad

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

HORROR GORE, CZYLI FERALNA KLUSECZKA

Pięty obcięło ciotce w latach 80. Wujek trzasnął drzwiami od łazienki i lustro wdzięcznie odpadło ze ściany, odcinając ciotce po eleganckim plasterku mięsa z każdej pięty. Tę tragedię przypominali mi zawsze rodzice, kiedy biegałam przez przedpokój, tańczyłam w łazience i machałam parasolką przed lustrem. „Najwięcej tragedii zdarza się w domu", dodawali. I przytaczali jakieś statystyki oraz badania. Traktowałam to jak niemądre przysłowie ludowe. Jak miałam w nie wierzyć, skoro inne kłamały? Drugie najchętniej przytaczane stwierdzenie – „W domu nic nie ginie" – było tak fałszywe, że wstydziłam się za wszystkich, którzy je wspominali. To właśnie w domu ginęło mi wszystko: legitymacja szkolna, ruska latarka, kaseta, bierki, naklejki, ekierki itd. „W domu wszystko ginie" – to przemawiało do mnie bardziej.

Kolejne historie: o wujku, który wybił sobie oko korkiem od szampana, cioci Gieni, która spaliła włosy nad tortem, małym Tomku, który tak szybko biegł ze sztućcem w dłoni, że nabił się na widelec – brzmiały jak opowieści ze szwedzkiej książeczki grozy. Jednak wszystkie wróciły do mnie rykoszetem trzy dni temu, kiedy w moim własnym domu zaatakował mnie makaronik.

Ironia jako narzędzie literackie nigdy losowi się nie znudzi.

Dzień miałam ułożony przepisowo. Najpierw pisanie, potem spotkania, w międzyczasie spacer z psem, dentystka, zakupy, następnie kino i jeszcze wieczorne pisanie, jeśli Bozia da. Jak śpiewał jeden poeta, „dzień dzisiaj będzie kreatywny bardzo". Tak sobie myślałam, odwalając rano czynności gospodarskie, takie jak mycie garów, składanie łóżek i zbieranie zaschniętych kubków i talerzy po nocnej kulinarnej degrengoladzie. I wtedy zaczął się horror, z gatunku *gore*. Znają państwo tę nieprzyjemną cechę makaronu: jeśli od razu nie odkleimy go od ścianki garnka, złośliwie tam przysycha. Jakby się, skubany, przyspawał. Żadna gąbka ni ścierka nie pomoże. Trzeba go odmoczyć, co trwa i skutkuje tym, że gar stoi z mętną wodą na blacie i straszy.

W szale poranka próbowałam zdrapać makaron z dnia poprzedniego, a ten w zemście wbił mi się pod paznokieć tak bezwzględnie, boleśnie i definitywnie, że usiadłam na kuchennym krześle i zapłakałam. Nie z bólu – muszę zaznaczyć, choć przecież tak łamali ludzi faszyści, wbijając im igły pod paznokcie – tylko z poniżenia. Oto dołączyłam do cioci, której lustro obcięło pięty, Gieni, której spłonęły włosy, kiedy się pochyliła nad tortem, Tomka, co się nabił na widelec. A jeszcze wyszło na to, że wypadki rzeczywiście zdarzają się w domu. Makaron wszedł do końca paznokcia, wyglądał jak dziecięcy rysunek. Tkwił tam i ból siał nieziemski.

„Włóż palec do kieliszka z ciepłą wodą i mydłem – poradziła koleżanka. – Mocz w nim palec, wkładaj i wyjmuj". Pozasłaniałam okna, żeby sąsiedzi nie widzieli, jak wkładam i wyjmuję z kieliszka palec. Nic nie pomogło, makaronu nie dało się wyjąć. I kiedy zadzwoniłam do dr. Dziuby, musiałam wypowiedzieć zdanie: „Wszedł mi pod paznokieć makaron Czaniecki". Tego właśnie chciałam uniknąć! A kiedy doktor powiedział, że przyjmie mnie szybko, nastąpił dalszy ciąg kompromitacji – telefony do wszystkich, z którymi umówiłam się tego dnia: „Cześć, nie mogę przyjść, mam makaron rosołowy pod paznokciem".

Kolejka u doktora była wiosenna, gorączkowa i sezonowa, ale my poszybowaliśmy na górę – przez piętra – do sali zabiegowej. Doktor, biorąc po trzy schodki, jakby miał 15 lat, zgarniał po drodze pielęgniarki. Położono mnie na stole operacyjnym, zapłonęły lampy, usłyszałam szczęk narzędzi. A potem pielęgniarka zapytała: „Doktorze, jaka igła?". I zdążyłam jeszcze pisnąć: „Zemdleję!". Ale trudno mi było nagle upaść, skoro wcale nie stałam. Cóż, nie było też łatwo wyjąć spod paznokcia rosołowy makaron Czaniecki, powiedzmy sobie szczerze – całkiem rozciapciany. W końcu moczyłam go w wodzie z mydłem. Więc po milimetrze, dzielnie, znosząc syczenia i pojękiwania, schodził dr Dziuba igłą coraz niżej, aż usunął feralną kluseczkę.

Niosłam swój zaklejony palec przez miasto jak jakieś trofeum. I myślałam, że ironia jako narzędzie literackie nigdy losowi się nie znudzi. A mną będzie można straszyć dzieci, które nie będą chciały po posiłku myć naczyń: Była sobie kiedyś ciocia, tak leniwa, że zostawiała umycie garnka na przyszłość. I pewnego dnia pokonał ją zwykły makaron. Po prostu załażąc jej za skórę. Myjcie zatem, dzieci, swoje garnuszki od razu. A uchroni was to przed groźnym skrobaniem, igłami i ogólnym rozciapcianiem egzystencjalnym.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cc63cee1ad

REPORTERSKIM ZEZEM NA III RP

PO zostawiła po sobie dwie Polski: jedną maleńką, dotkniętą łaską „złotego wieku" i drugą – większą, biedniejszą, o którą upomniał się Kaczyński. Dlatego wygrał

Tadeusz Zakrzewski

Nie jestem Polakiem! Z ust wybrańców narodu ciągle słyszę, że:

...każdy Polak doskonale wie, że „to" albo „owo"...

a ja co rusz czegoś nie wiem. Jestem typem niewolnika. Wyznaję zasadę włoskiego filozofa Niccola Machiavellego, który radzi:

> ...jeśli nie możesz pokonać wroga – musisz się do niego przytulić, bo to jedyna droga przetrwania...

W roku 1945 Polska miała szczęście, że było w kraju tylko kilkadziesiąt tysięcy „żołnierzy wyklętych". Gdyby za broń chwycił wtedy cały naród, to dziś okolice Wisły zamieszkiwałyby narody Związku Radzieckiego. Nie jestem patriotą. Nie wyznaję zasady, że za ojczyznę należy ginąć. Trzeba dla niej żyć i pracować w jak najlepszym zdrowiu. Tylko Chiny oraz Indie mogą pozwolić sobie na stratę 38 mln obywateli bez specjalnego uszczerbku dla państwa. Dlatego powstanie warszawskie uważam za krok skrajnie nieodpowiedzialny, a decydenci zasłużyli na sąd wojenny. Jestem ślepcem. Bo...

> ... tylko ślepy nie widzi, że Polacy żyją w złotym wieku...

a ja twierdzę, że tylko nieliczni.

Jestem także liczykrupą. Liczę. Sięgam do roczników statystycznych GUS, patrzę na słupki, porównuję.

Dlatego postanowiłem spojrzeć „reporterskim zezem na Trzecią Rzeczpospolitą". Bo wbrew entuzjastycznym zapewnieniom – nie jest bez skazy. Zbyt długo korzystała z przywileju milczenia o czasach, z których wyrosła. Choć cała elita polityczna Trzeciej Najjaśniejszej tkwi korzeniami w PRL, to próbowała wymazać swoją młodość z pamięci, a czasy Polski Ludowej uznała za czarną dziurę.

Stara Praga, dom przy ulicy Środkowej 16, w którym wychował się Tadeusz Zakrzewski.

Bała się porównań. Tymczasem prawda jest taka, że Polska Ludowa rozwijała się ponad dwa razy szybciej, a Gierek miał do spłacenia dziesięć razy mniejszy dług niż Tusk.

Poniżej minimum egzystencji żyje 4,5 mln obywateli.

Pod koniec PRL produkt krajowy brutto sięgał 2,5% wartości produkcji światowej. Teraz – polski PKB ociera się o 1% produktu globalnego i jest porównywalny z poziomem przedwojennym.

Za Bieruta, Gomułki, Gierka i Jaruzelskiego zbudowano prawie 8 mln tanich mieszkań.

Polsce przybyło 14 mln obywateli.

Od 25 lat kraj zaczyna wymierać. Zgonów jest więcej niż urodzeń. Jak tak dalej pójdzie to:

za 100 lat nie będzie nas – jak w biesiadnej pioseneczce.

Nie piszę o tym z pozycji frustrata, któremu w życiu nic nie wyszło i teraz ma wszystkim za złe. Odwrotnie.

Jestem człowiekiem sukcesu, należę do pokolenia, które miało szczęście złapać Pana Boga za nogi. Zdobyłem więcej, niż sięgałem marzeniami.

W Domu Dziecka u popularnego w Warszawie Dziadka – Kazimierza Lisieckiego – redagowałem gazetkę ścienną „Błyskawica". I chciałem zostać dziennikarzem sportowym. Było to marzenie ściętej głowy. Urodziłem się na biednej Pradze, matka skończyła edukację na czterech klasach powszechniaka, a ojciec – drwal z Podlasia – podpisywał się trzema krzyżykami. Oboje planowali, że pójdę na hydraulika.

eprasa.pl cc63cee1ad

A jednak…

Wyboistą drogą, pełną ostrych zakrętów, ukończyłem prawo i dziennikarstwo. Przez 35 lat byłem telewizyjnym reporterem. Z sukcesami. Uzyskałem uprawnienia reżysera filmów dokumentalnych, mam na koncie całą furę reportaży i dwa Złote Ekrany. Jestem chyba jedynym polskim dziennikarzem, który aż siedmiokrotnie miał zaszczyt rozmawiać z Janem Pawłem II. Zrealizowałem o nim kilka filmów i reportaży, a najatrakcyjniejszy wywiad z papieżem Polakiem przeprowadziłem na wysokości 10 tys. m w TU-154 M.

Zdjęcie na okładce książki (s. 52) jest symboliczne. Zostało wykonane na starcie Trzeciej Rzeczypospolitej. Bronisław Komorowski – represjonowany antykomunista, w roli wiceministra obrony narodowej ściska rękę Sobiesławowi Zasadzie – kiedyś znakomitemu kierowcy rajdowemu, teraz czołowemu polskiemu biznesmenowi, przedstawicielowi koncernu Mercedes-Benz, który – przy pomocy wojska – próbuje ratować polską motoryzację. W środku – autor, jeszcze niedawno „reżimowy" dziennikarz obsługujący opozycję podczas obrad Okrągłego Stołu, potem „zmuszony" do zmiany zawodu, wciągnięty do biznesu przez „Mistrza Kierownicy".

BLIŻEJ FAKTÓW

Nastały czasy, w których coraz trudniej ogłupiać młodych historią PRL zawężoną do braku papieru toaletowego i wszechobecnego octu. Bo dociekliwy wnuczek spyta dziadka o tajemne właściwości napoju, na którym wyrosły dwa pokolenia Polaków, a na dodatek przybyło kilkanaście milionów obywateli.

Pokolenie III RP jest dobrze wykształcone, korzysta z internetu, podróżuje po świecie i swoje wie. Kiedy prezydent Komorowski przekonywał młodych, że żyją w złotym wieku – słusznie pytali:

> …jeśli jest tak bosko, to czemu jest tak źle?...

Kiedy topnieją śniegi, jadę na Kurpie do swojej „daczy" i siedzę tam do pierwszych przymrozków. Zapominam o wypasionej „warszawce", przyjaźnię się z rolnikami i sklepikarzami, z fryzjerem i ogrodnikami, z właścicielem warsztatu samochodowego i z bezrobotnymi, głównie młodymi, którzy albo łapią jakąś fuchę po osiem złotych za godzinę, albo wyskakują do Holandii, żeby dorobić. Każdy ma władzy coś za złe: biurokrację, brak pracy, bezwzględność komornika, niesprawiedliwe sądy, układy i układziki, przekręty urzędników, brak nadziei na przyszłość.

> Od 25 lat kraj zaczyna wymierać. Zgonów jest więcej niż urodzeń.

Wszyscy głosowali na Prawo i Sprawiedliwość.

Jeśli w ich duszach mocniej pogrzebać – wychodzi, że nawet nie za bardzo liczą na poprawę warunków życia. „Obejdzie się" – mówią.

Wszyscy chcą sprawiedliwości. Mają nadzieję, że PiS rozbije sitwy, pogoni cwaniaczków, kombinatorów oraz zwykłych złodziei, którzy „przyspawali się do koryta".

Prezydent Komorowski takich nastrojów nie znał. Od początków transformacji grzał ławy poselskie, był też ministrem obrony, marszałkiem Sejmu, a przez ostatnie pięć lat „pilnował żyrandola w Belwederze", co mu wypomniał Donald Tusk. I, walcząc o reelekcję, wyskoczył do ludzi na ulicę jak Filip z konopi. Używał języka oderwanego od realiów.

Pewnie nie wiedział, że:

– polscy emeryci pobierają najniższe świadczenia w Europie. Średnia emerytura w Niemczech i Szwecji jest pięć razy wyższa. W Austrii – cztery i pół razy. Nawet w Grecji – dwa i pół razy;

– ONZ zanotował w Polsce największy wzrost ubóstwa w stosunku do rozwoju gospodarczego;

– poniżej minimum egzystencji żyje 4,5 mln obywateli;

– poniżej minimum socjalnego – 20 mln;

– na zakup 1 m kw. mieszkania młody Polak musi pracować ponad dwa miesiące. I nic nie jeść;

– przy obecnym tempie wzrostu PKB będziemy „gonić" Zachód do usranej śmierci;

– mamy półtora miliona bezrobotnych i ponad dwa miliony pracujących „na zmywaku";

– polityka gospodarcza rządu ogranicza się głównie do zarządzania „kasą". Brakuje długofalowej wizji;

– Polskę sprowadzono do roli europejskiego średniaka, a naszym „atutem" jest tania siła robocza i umiejętność operowania śrubokrętem.

Mówiąc o „złotych czasach", pan prezydent przeoczył, że:

– wzrost polskiego PKB nie przekłada się na poprawę bytu Polaków;

– eksport – którym tak się chwalimy – aż w 65% jest udziałem firm zagranicznych – korzyści z transformacji osiąga ledwie 17% obywateli.

Platforma Obywatelska trzymała w ręku wszystkie atuty, żeby Polakom było lepiej: miała prezydenta, premiera, rząd, wpływy z budżetu, z prywatyzacji, dotacje z Unii Europejskiej i… przychylne media. I… czas. Pełne osiem lat!

A nawet nie potrafiła „dorżnąć watahy". Sama dała się zaszlachtować.

Całokształt sukcesów Sobiesława Zasady docenił prezydent Lech Wałęsa, podkreślając, że „Mistrz Kierownicy" potrafił najlepiej przełożyć swoje sukcesy sportowe na osiągnięcia w biznesie.

Zginęła od własnej propagandy sukcesu. Obrosła w sadełko. Nabrała pychy i arogancji, a Polskę traktowała jak dojną krowę. Lekceważyła demokrację, a teraz krzyczy o łamaniu konstytucji. „Wart Pac pałaca, a pałac Paca".

PRAWDA NAS WYZWOLI

…Nie stawiajcie mi pomników. Słuchajcie, co do was mówię…

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, ARCHIWUM AUTORA (2)

eprasa.pl cc63cee1ad

mówił Jan Paweł II podczas pielgrzymek po rodzinnym kraju. I zachęcał, żeby:

> …poznawać prawdę, bo tylko prawda nas wyzwoli…

Proza życia jest inna. Od prawdy jesteśmy coraz dalej, a Ojca Świętego przekupujemy pomnikami, popiersiami, nazwami ulic, skwerów, szkół i szpitali.

Wobec papieża Polaka jesteśmy tak samo obłudni, jak wobec historii. Tworzymy mity!!! Na świecie nie ma chyba drugiego narodu tak zakochanego we własnej martyrologii, celebrującego porażki i nachalnie naginającego fakty do bieżącej polityki. Albo w ogóle wykreślającego przeszłość. Słowa Józefa Piłsudskiego użyte jako motto mojej książki brzmią jednoznacznie:

> …Naród, który nie szanuje swojej przeszłości, nie zasługuje na szacunek teraźniejszości ani nie ma prawa do przyszłości…

Polska przedwojenna tłumaczyła swoje słabości spuścizną po zaborach. Polska Ludowa opluwała na potęgę międzywojnie, a po 45 latach została zgilotynowana przez Rzeczpospolitą numer trzy. Z kolei ta trzecia trafiła pod but Najjaśniejszej z numerkiem czwartym. I na początku każdego okresu historycznego „kraj zawsze był w ruinie".

Platforma nawet nie potrafiła „dorżnąć watahy". Sama dała się zaszlachtować.

Od lat trwa opętańcza dyskusja, który orzeł jest nam bliższy: ten w koronie czy ten bez nakrycia głowy, czy Bereza Kartuska była obozem koncentracyjnym czy sanatorium, która krew jest bardziej czerwona i cenniejsza: ta przelana pod Monte Casino czy ta w walce o Berlin?

Czy przy naszym zacietrzewieniu, wzajemnej nienawiści i wrogości w ogóle można uwierzyć w prawdę?!

Nie mam nic przeciwko pamięci o „żołnierzach wyklętych", chociaż bardziej pasuje do nich nazwa żołnierzy upartych czy oszukanych, czekających z bronią w ręku na III wojnę światową. Czy nie chcieli nowej Polski? Czy wiedzieli „dlaczego"? Wady powojennego ustroju ujawniały się stopniowo, a miliony Polaków, takich samych jak oni, już odbudowywało kraj. Także w tej sprawie jestem przeciwko fałszerstwu.

PKB pod koniec PRL sięgał 2,5% wartości produkcji światowej. Teraz ociera się o 1%.

Nie można wrzucać do jednego worka rotmistrza Pileckiego, majora Hubala, generała Nila czy generała Jankego z ludźmi mającymi krew na rękach, którzy pomylili patriotyzm ze zwykłym bandytyzmem. Ich liczne „zasługi" w likwidowaniu posterunków MO, w „rozwałkach" pracowników UB, żołnierzy Wojska Polskiego, członków PPR, a także ludzi podejrzanych o sprzyjanie „komunistom": geometrów parcelujących pańską ziemię i chłopów, którzy tę ziemię brali, bo chcieli żyć na swoim, palenie wsi, napady rabunkowe, zabijanie kobiet i dzieci – wymagają potępienia.

Błędem jest stawianie w jednym szeregu ludzi ideowo przeciwnych Polsce Ludowej, po swojemu widzących przyszłość kraju, z „Ogniem" czy „Skałą" – mordercami, którzy raz popełniali zbrodnie, walcząc z „komuną", innym razem współpracując z NKWD, występując w roli funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. „Ogień" organizował tę placówkę w Nowym Targu. Można mieć tylko pretensję do Instytutu Pamięci Narodowej, że przez tyle lat nie potrafił oddzielić ziarna od plew. Polska Ludowa nigdy nie była suwerenna do końca. To fakt. Jednak historia uczy, że:

> …tak jak w ustroju złym można zrobić dla kraju wiele dobrego, tak przy pełnej wolności i demokracji można temu krajowi zaszkodzić…

Po zakończeniu wojny zapanował powszechny entuzjazm. Ten zapał nie zawsze wynikał z wielkiego uczucia do systemu politycznego, częściej – z miłości do ojczyzny. To był fundament, na którym dźwigaliśmy Polskę z ruin, a potem ją budowaliśmy od nowa. Dwa pokolenia PRL wznosiły domy, szkoły, szpitale i fabryki. Nie można ponad nich wynosić ludzi, którzy dla powojennej Polski nie zrobili nic, a w najlepszym razie – studia, doktoraty i profesury. Bo to zwykłe świństwo! Wkład w rozwój naszego państwa trzeba oceniać sprawiedliwie. Zaczynając od międzywojnia.

Prawda… Trzeciej Rzeczypospolitej nie da się potraktować jak podstarzałej niewielkiej urody „Peerelówkę".

Najjaśniejsza skończyła karierę młodo i rzucała się w oczy. Wyglądała jak prof. Joanna Senyszyn na salonach Unii Europejskiej: w koralach, broszkach, bransoletkach i butach *à la* Monika Olejnik w „Kropce nad i".

Niestety – w rankingach europejskich polska piękność musiała występować *sauté* i podlegała surowej weryfikacji wskaźników, wykresów, słupków i procentów. Wtedy zbierała słabsze noty. Jury wytknęło jej brak polotu, inicjatywy, pomysłowości i umiejętności przekładania coraz większego dochodu narodowego na wzrost poziomu życia wszystkich obywateli.

Jurorów raziły jej rozrzutność, marnotrawstwo i malwersacje. No i wylądowaliśmy prawie na końcu przeróżnych tabel i klasyfikacji. Najczęściej wyprzedzamy Swietłanę z Bułgarii, Andromedę z Grecji i Elenę z Rumunii. Ale czeskiej Danie już nie dajemy rady.

Platforma Obywatelska pozostawiła po sobie dwie Polski: jedną maleńką, dotkniętą łaską „złotego wieku" i drugą – większą, biedniejszą, o którą upomniał się Jarosław Kaczyński. I dlatego wygrał.

Fragment książki Tadeusza Zakrzewskiego *Reporterskim zezem na Trzecią Rzeczpospolitą*, Książka i Wiedza, Warszawa 2016

eprasa.pl cc63cee1ad

Ho, ho, ile jest roboty w sporcie!

Edward Mikołajczyk

Kiepsko coś idzie naszemu Pochmurnemu Słoneczku na niwie sportu. Nieoranej, zachwaszczonej i zabagnionej przez skorumpowane ekipy poprzedników. Nie wygaszono do tej pory nawet połowy orlików. Nie zdekomunizowano ulicy Deyny Kazimierza. Nie naprawiono reguł gry w piłkę nożną, tak by można było strzelać tylko do jednej bramki. Nie nakazano Anicie Włodarczyk, żeby przed wypuszczeniem młota przestała się wreszcie kręcić w tę samą stronę co za Tuska.

Sport wyraźnie nie nadąża za dynamiką zmian w realu, dlatego wykonuje właśnie historyczny krok w przestrzeni medialnej. Otóż 26 lutego widzieli państwo po raz ostatni na antenie TVP 1 „Sportową niedzielę". To zasługa wesołej miniaturki Pochmurnego, od roku oświetlającej przedpola Woronicza. Jej robaczkowy z pozoru ruch ma dla planety znaczenie porównywalne z odkryciem San Escobar.

Właśnie rok temu wyniesiony na orbitę Jacek Kurski zapowiedział jednocześnie budowę i odbudowę misyjnej telewizji publicznej, tak zaniedbanej przez nieudolną i skorumpowaną ekipę poprzedników. Cegła w postaci „Sportowej niedzieli" bardzo mu pasowała do nowej konstrukcji i nowej filozofii programowej nadawcy publicznego. Zapowiedział, że będzie murował z misją, bez względu na pogodę i wyniki badań widowni. Aż tąpnęło w Warszawie od tego ruchu na budowie misyjnej ramówki.

Misyjną robotę przerwał na kilka godzin tylko raz, w sierpniu 2016 r., kiedy na rusztowanie wdarł się bez kasku ochronnego jakiś narwany konkurent. Po spuszczeniu intruza z drabiny Kurski wrócił do murarki. Po roku sam zszedł z rusztowania, obejrzał dzieło i z zapałem charakterystycznym dla wesołych budowniczych powiedział, że jest świetnie i dlatego ze względów misyjnych trzeba przenieść „Sportową niedzielę" z TVP 1 do TVP Sport. Nowy wstrząs uspokoił tektonicznie okolicę, mastodont architektoniczny rozłożony w rogu Woronicza i Samochodowej wrócił do pozycji wyjściowej, nie zanotowano zarysowań na stacji metra Służew.

Aby pomnożyć dorobek misyjny TVP, można by ten manewr powtarzać właściwie co kwartał, badając przy okazji, czy zmienia się liczba widzów, którzy cokolwiek zauważyli. Tym razem pies z kulawą nogą nie przystanął i się nie obejrzał, choć to zwierzę uwrażliwione sejsmicznie. Ludzi, nie tylko z branży, głęboko zasmuca popatrywanie, jak życie dziennikarskie uchodzi z Woronicza.

Wielokrotnie większą uwagę publiczności telewizyjnej przyciągnęło wydarzenie ramówkowe telewizji, która w ubiegłym roku osiągnęła 0,02% średniego udziału w rynku, mianowicie Eleven Sports Network. Od kilku miesięcy w soboty był na antenie Jedenastki najdziwniejszy chyba i najdłuższy na świecie program sportowy. Nazywał się „Stan futbolu". Za scenografię w studiu robiła gigantyczna i w tym samym stopniu ohydna ścianowitryna bez początku i końca, od góry do dołu kasetonowo zabudowana i podświetlona jak rozkład jazdy w Pułtusku 30 lat temu. W klatkach wygrzewały się na baczność butelki wina, po jednej sztuce w każdej. No, miodzio.

Musiał się na tej stacji i na tej ścianie zatrzymać każdy spragniony surfer, zwłaszcza że plansza z tytułem audycji od samego początku biesiady leżała już pod stołem i miała wyraźnie pijane U na końcu. Pięć gadających głów wypełniało dyskurs, przy czym cztery były prawie bez przerwy zwrócone ku tej jednej, która gadała najgłośniej, najwięcej i nawet wtedy, kiedy zatrudniała usta w celach spożywczych. Ona też jedna mogła mówić wszystko, na każdy temat i zupełnie nie na temat, w każdym momencie programu i o wszystkim. A nawet używać wyrazów.

I teraz przedstaw sobie, Czytelniku, że tego *one talking head show* wcale nie prowadził Paweł Zarzeczny! Kto był prezenterem, wyszło na jaw, dopiero kiedy program został zlikwidowany. Można było spokojnie rozejrzeć się w sieci i poznać po śledzionie, który to.

Stacja powierzyła misję stworzenia nowego tytułu Mateuszowi Święcickiemu. Wróżę, że najmłodszy w Polsce kanał sportowy będzie miał wielki pożytek z tego niezwykle sprawnego intelektualnie i utalentowanego telewizyjnie młodego człowieka. Do zrobienia jest ho, ho, ale jego stać na więcej, niż w Canal+ zrobili Twarowski & Smokowski, a w Polsacie Borek.

Ludzi, nie tylko z branży, głęboko zasmuca popatrywanie, jak życie dziennikarskie uchodzi z Woronicza.

Dobrze by zacząć od wypuszczenia powietrza z nadętych, grafomańskich tekstów autopromocyjnych. Najtrudniej będzie nauczyć się jedzenia łyżką, nie chochlą w warunkach tego nieszczęścia, które spotkało Eleven w tym roku, mianowicie nadmiaru bogactwa.

Problemy mogą zniknąć pewnego dnia, kiedy nasze Pochmurne Słoneczko zechce zrepolonizować kontent na całej połaci RP. Zamienimy wtedy niemiecką kopaninę w telewizji na jakieś swojskie rodeo, które misyjnie i komisyjnie obejmie w posiadanie narodowa redakcja rolna TVP 1 w latach parzystych, a TVP Sport – w nieparzystych. ■

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl cc63cee1ad

Héctor García,
Francesc Miralles

REKORDZIŚCI Z OKINAWY

Co jedzą i piją najbardziej długowieczni ludzie świata

Według danych Światowej Organizacji Zdrowia Japonia jest krajem o najdłuższej oczekiwanej długości życia. Mężczyźni żyją tu średnio 85 lat, a kobiety 87 lat i cztery miesiące. Za sprawą klimatu i śródziemnomorskiej diety Japonii bliska jest Hiszpania, tam mężczyźni żyją średnio 79 i pół roku, a kobiety 85 lat. Na dodatek Japonia ma najwyższy na świecie odsetek osób, które przekroczyły setny rok życia: na milion mieszkańców przypada ponad 452 stulatków (stan na lipiec 2014 r.).

Oczekiwana długość życia w Japonii jest bardzo wysoka, ale między prowincjami panuje w tej kwestii wielka różnorodność. Na wykresie porównującym oczekiwaną długość życia mieszkańców Japonii, Szwecji, Stanów Zjednoczonych i Okinawy (japońskiej prowincji) widać, że oczekiwana długość życia w Japonii jest wysoka, ale to Okinawa zajmuje pierwsze miejsce, począwszy od lat 70. ubiegłego wieku.

Okinawa była jednym z regionów, które najbardziej ucierpiały podczas wojny. Wielu jej mieszkańców zginęło bądź zmarło z głodu i braku innych zasobów po zakończeniu konfliktu, więc średnia oczekiwana długość życia jej mieszkańców w latach 40. i 50. nie była zbyt wysoka. Ale gdy podnieśli się ze zniszczeń, z czasem stali się najbardziej długowiecznymi mieszkańcami kraju.

Jakie są sekrety długowieczności Japończyków? Co wyjątkowego kryje w sobie Okinawa, że stała się numerem jeden wśród numerów jeden?

Japonia ma najwyższy na świecie odsetek osób, które przekroczyły setny rok życia.

Naukowcy podkreślają np., że Okinawa jest jedyną prowincją w Japonii, w której nie ma infrastruktury kolejowej. Jej mieszkańcy są niejako zmuszeni do tego, by przemieszczać się pieszo. Jest również jedyną prowincją, w której zdołano zastosować się do zaleceń japońskiego rządu, by spożywać mniej niż 10 g soli dziennie.

CUDOWNA DIETA Z OKINAWY

Na tej leżącej na południu Japonii wyspie wskaźnik zgonów z powodu chorób układu sercowo-naczyniowego jest jednym z najniższych w kraju i bez wątpienia ma to związek ze sposobem odżywiania się. Nieprzypadkowo dieta z Okinawy, jeśli chodzi o wartości odżywcze, jest słynna na całym świecie.

Najpoważniejsze dane dotyczące sposobu żywienia na tej wyspie, najczęściej wykorzystywane w książkach i artykułach, zebrał Makota Suzuki, kardiolog z uniwersytetu w Ryukyu, który opublikował ponad 700 artykułów naukowych na temat diety oraz starzenia się na Okinawie, począwszy od lat 70. ubiegłego wieku. Do zespołu badawczego Suzukiego dołączyli J. Willox i C. Willox i zebrali całą wiedzę w książce, którą uważa się za podstawową publikację na ten temat. „The Okinawa Program" opublikowano w 2011 r.

Po przeprowadzeniu 25-letnich obserwacji sposobu odżywiania się mieszkańców wyspy naukowcy doszli do następujących wniosków:

* Wszyscy mieszkańcy odżywiają się bardzo różnorodnie, przede wszystkim produktami pochodzenia roślinnego. Różnorodność wydaje się tutaj słowem kluczowym. Podczas badania przeprowadzonego na stulatkach z Okinawy wykazano, że regularnie jedzą 206 różnych produktów, wliczając w to przyprawy. Każdego dnia spożywają zaś średnio 11 różnych produktów, co kontrastuje z ubóstwem naszej kultury fast foodów.

* Jedzą co najmniej pięć porcji warzyw i owoców dziennie, w tym co najmniej siedem różnych rodzajów. Najprostszym sposobem, by sprawdzić, czy na stole jest ich wystarczająca różnorodność, jest zróżnicowanie kolorystyczne. Na przykład na stole z czerwonymi paprykami, marchewką, szpinakiem, kalafiorem i bakłażanem wielość kształtów i kolorów widać już

eprasa.pl cc63cee1ad

na pierwszy rzut oka. Warzywa, ziemniaki i strączkowe oraz produkty sojowe, np. tofu, są najpowszechniejszymi artykułami w diecie na Okinawie. Ponad 30% dziennego spożycia kalorii pochodzi z warzyw.

Okinawa nie ma infrastruktury kolejowej. Jej mieszkańcy są zmuszeni do przemieszczania się pieszo.

* Podstawą diety są zboża. Japończycy codziennie jedzą biały ryż i uzupełniają go makaronem *soba* albo *udon*, które stanowią najpopularniejsze rodzaje makaronów.

* Cukier stosują tylko bezpośrednio, a jeśli to robią, jest to cukier trzcinowy. (…) Codziennie rano przejeżdżaliśmy samochodem przez rozliczne plantacje trzciny cukrowej w drodze do Ogimi, a obok zamku Nakajin wypiliśmy nawet po szklance soku z trzciny. Obok stoiska znajdował się plakat z informacjami na temat badań nad właściwościami cukru trzcinowego, które pomagają chronić się przed rakiem.

Należy jeszcze dodać, że mieszkańcy wyspy średnio trzy razy tygodniowo jedzą ryby, co odróżnia ich od mieszkańców innych części Japonii – najczęściej spożywanym mięsem zwierzęcym jest tam wieprzowina podawana do posiłku zaledwie raz czy dwa razy w tygodniu.

Badania Makoty Suzukiego wykazały ponadto, że:

* Mieszkańcy Okinawy spożywają średnio jedną trzecią cukru w porównaniu z pozostałymi regionami Japonii, co sugeruje, że słodycze o wiele słabiej zakorzeniły się w ich nawykach żywieniowych.

* Podobnie wygląda spożycie soli – dziennie używają jej do posiłków 7 g czyli prawie o połowę mniej niż reszta Japończyków (przeciętnie 12 g).

* Przyjmują mniej kalorii dziennie: 1785, w porównaniu do średniej, która w pozostałych regionach Japonii wynosi 2068. Co ciekawe, nieduża liczba spożytych kalorii jest cechą wspólną wszystkich pięciu niebieskich stref. (miejsc, gdzie występuje najwięcej przypadków długowieczności; są to: Okinawa, Sardynia, Loma Linda w Kalifornii, kostarykański półwysep Nicoya i grecka Ikaria – przyp. red.).

HARA HACHI BU

Wspomnijmy tu o zasadzie 80%, koncepcji nazywanej po japońsku *hara hachi bu*. Stosowanie się do tej reguły jest bardzo proste. Gdy czujesz się prawie syty, ale zmieściłbyś jeszcze kilka kęsów, przestań jeść! Łatwym sposobem na rozpoczęcie praktykowania *hara hachi bu* jest zrezygnowanie z deserów. Albo zmniejszenie o odrobinę zazwyczaj zjadanej porcji. Odchodząc od stołu, nie możesz czuć się najedzony.

Z tego samego powodu porcje podawane w Japonii są zazwyczaj o wiele mniejsze od serwowanych na Zachodzie. Na przykład posiłek nie składa się z zupy, drugiego dania i deseru, jak ma to miejsce w Polsce. Typowe jest podawanie wielu niewielkich półmisków z ryżem, warzywami, zupą miso, miseczek z drobnymi przekąskami. Taki sposób podania posiłku sprzyja nienadużywaniu jedzenia, a przede wszystkim ułatwia wprowadzenie różnorodności potraw, o której mówiliśmy na początku tego rozdziału.

Zasada *hara hachi bu* została wprowadzona wieki temu. Autorzy księgi „Zazen Yokijinki" z XII w., w której omówione są praktyki zen, zalecają spożywanie posiłków o wielkości dwóch trzecich porcji, jaką mamy ochotę zjeść. Jedzenie mniej, niż chcemy, jest czymś powszechnym we wszystkich świątyniach buddyjskich na Wschodzie. Być może korzyści płynące z ograniczania liczby kalorii zostały intuicyjnie odkryte przez wyznawców religii buddyjskiej już dziewięć wieków temu, a nawet dawniej.

CZY JEDZENIE MNIEJSZYCH PORCJI WYDŁUŻA ŻYCIE?

Oto dowód, który niewielu ośmiela się kwestionować. Spożywanie mniejszej liczby kalorii, niż domaga się organizm, o ile nie graniczy z niedożywieniem, wydaje się czynnikiem mającym duży wpływ na długowieczność. Najistotniejsze w tym sposobie żywienia bez szkody dla zdrowia jest spożywanie wielu produktów o wysokiej wartości odżywczej, znanych nam jako superżywność, i ograniczanie tych, które zawierają puste kalorie, niewykorzystywane w procesie spalania przez ludzki organizm. (…)

Mieszkańcy wyspy spożywają 11 różnych produktów dziennie, co kontrastuje z ubóstwem kultury fast foodów.

Jedną z korzyści, jakie niesie ograniczenie liczby spożytych kalorii, jest obniżenie poziomu IGF-1 (insulinopodobnego czynnika wzrostu typu pierwszego). Jest to białko, które odgrywa bardzo ważną rolę w procesie starzenia. Jednym z powodów, dla których zarówno zwierzęta, jak i ludzie się starzeją, jest nadmierna ilość IGF-1 we krwi.

Jeśli rodzaj pracy nie zezwala na codzienne stosowanie zasady 80%, alternatywą jest przeprowadzanie postu przez jeden lub dwa dni w tygodniu.

eprasa.pl cc63cee1

Modna w Stanach Zjednoczonych dieta „5:2" zaleca dwudniową głodówkę (spożywanie mniej niż 500 kalorii w dniu postu), a w pozostałe dni normalne jedzenie.

Głodówka pomaga układowi trawiennemu odpocząć, a organizmowi się oczyścić, przynosi także wiele innych korzyści.

15 naturalnych przeciwutleniaczy z okinawskiej diety

Przeciwutleniacze to cząstki, które opóźniają oksydację komórek, neutralizując wolne rodniki, które je niszczą i powodują starzenie się organizmu. Dobrze znana jest antyoksydacyjna moc zielonej herbaty, o czym piszemy szerzej w dalszej części.

Oto 15 produktów, które uważane są za najważniejsze dla zachowania witalności mieszkańców Okinawy ze względu na dużą zawartość przeciwutleniaczy oraz fakt, że są spożywane tam praktycznie codziennie:

* tofu, * miso, * bonito (rodzaj tuńczyka), * marchew, * przepękla ogórkowata (znana też jako goya, warzywo zielone i gorzkie), * kombu (rodzaj glonów), * kapusta, * nori (glony), * cebula, * kiełki soi, * hechima (odmiana ogórka), * ziarna soi (gotowane lub surowe), * boniato (słodki ziemniak), * papryka, * herbata sanpin.

Herbata sanpin – królowa okinawskich naparów

To na Okinawie najczęściej spożywana herbata, mieszanka zielonej herbaty i kwiatów jaśminu. Najbardziej zbliżonym do niej odpowiednikiem na Zachodzie jest herbata jaśminowa, która zazwyczaj pochodzi z Chin. Badanie przeprowadzone przez Hiroko Sho na Uniwersytecie Okinawskim wykazało, że herbata jaśminowa obniża poziom cholesterolu we krwi. Na Okinawie można znaleźć ją w przeróżnych postaciach i na pewno nie zabraknie jej w żadnym stojącym na ulicy automacie z napojami.

Poza typowymi dla zielonej herbaty korzyściami antyoksydacyjnymi ma ona także zalety herbaty jaśminowej:

* Obniża ryzyko ataków serca.
* Wzmacnia układ odpornościowy.
* Pomaga opanować stres.
* Obniża poziom cholesterolu.

Mieszkańcy Okinawy piją średnio trzy czarki herbaty sanpin dziennie.

U nas znalezienie tej konkretnej mieszanki herbat może się okazać trudne, ale możemy zamiennie parzyć herbatę jaśminową lub zieloną dobrej jakości.

SEKRETY ZIELONEJ HERBATY

Ten napar jest od wieków uważany za produkt spożywczy o silnym działaniu leczniczym. Niedawno przeprowadzone badania potwierdziły te właściwości i poświadczyły wpływ tej prastarej rośliny na długowieczność osób, które ją często piją.

Zielona herbata pochodzi z Chin, gdzie spożywa się ją od wielu tysięcy lat, a do reszty świata zaczęto ją eksportować dopiero kilka wieków temu.

W odróżnieniu od innych herbat, dzięki procesowi suszenia na powietrzu z pominięciem fermentacji, zachowuje ona swoje lecznicze właściwości. Wpływa pozytywnie na zdrowie na wiele sposobów:

* Kontroluje poziom cholesterolu.
* Obniża poziom cukru we krwi.
* Reguluje krążenie krwi.

Odchodząc od stołu, nie możesz czuć się najedzony.

* Chroni przed grypą z racji zawartości witaminy C.
* Ma korzystny wpływ na kości z powodu wysokiej zawartości fluoru.
* Osłania przed niektórymi infekcjami bakteryjnymi.
* Chroni przed promieniowaniem słonecznym.
* Ma działanie oczyszczające i moczopędne.

Herbata biała, o największej zawartości polifenoli, może być jeszcze skuteczniejsza w walce z procesem starzenia się. Uznawana jest za produkt naturalny o najsilniejszym działaniu przeciwutleniającym na świecie, a jedna porcja naparu z białej herbaty może odpowiadać ok. 12 szklankom naturalnego soku pomarańczowego.

Podsumowując: codzienne picie herbaty zielonej lub białej umożliwia zmniejszenie liczby wolnych rodników i dzięki temu przedłużenie młodości.

OGIMI, WYJĄTKOWY PRZYPADEK

Nazywana także miasteczkiem stulatków, jest miejscowością najbardziej długowiecznych osób na Okinawie. W Ogimi nie tylko żyje się dłużej, ale zachowuje się także dobre zdrowie do późnego wieku. Widok ponaddziewięćdziesięcioletnich mieszkańców przemieszczających się na motorach albo stulatków, którzy dużo spacerują i pielęgnują swoje ogródki, nie jest tutaj niczym dziwnym.

W porównaniu z pozostałą częścią Japonii mieszkańcy Ogimi:

* Jedzą trzykrotnie więcej zielonych warzyw dziennie.
* Spożywają półtora raza więcej warzyw strączkowych (soi).
* Jadają dużo więcej wodorostów i ryb.
* Konsumują mniej ryżu.

POTĘGA SHIKUWASY

Shikuwasa jest rdzennie okinawskim cytrusem, a największym jego

FOT. MATOME.NAVER.JP, MAT. PRASOWE

eprasa.pl cc63cee1ad

dostawcą do całej Japonii jest miasteczko Ogimi.

Jest to owoc niezwykle kwaśny (nie da się wypić soku bez uprzedniego rozcieńczenia go wodą), w smaku przypomina połączenie limonki z mandarynką, do której zresztą jest zewnętrznie podobny. Shikuwasa zawiera dużą ilość nobiletyny, flawonoidu o ogromnej mocy przeciwutleniającej.

Każdy rodzaj cytrusa – pomelo, pomarańcza, cytryna – zawiera nobiletynę, ale w shikuwasach z Okinawy jest jej 40 razy więcej niż w pomarańczach. Udowodniono, że spożycie nobiletyny pomaga chronić się przed miażdżycą, rakiem, cukrzycą typu drugiego i ogólnie przed otyłością.

Dodatkowo shikuwasa zawiera witaminy C, B1, beta-karoten i minerały.

Stosuje się ją do doprawiania różnych tradycyjnych dań, a także pije zmiksowaną w postaci soku. (…)

ANTYOKSYDACYJNY KANON LUDZI ZACHODU

W 2010 r. w dzienniku „Daily Mirror" opublikowano listę produktów spożywczych, które zdaniem ekspertów mogą opóźnić proces starzenia się. Należały do nich m.in.:

* Warzywa: ze względu na wysoką koncentrację wody i minerałów, a przede wszystkim błonnika. Na przykład botwina i brokuły.

* Tłuste ryby morskie: ze względu na wysoką zawartość przeciwutleniaczy w tłuszczu. Na przykład łosoś, makrela, tuńczyk i sardynki.

* Owoce: są doskonałym źródłem witamin i pomagają oczyszczać organizm z toksyn. W diecie nie może zabraknąć cytrusów, truskawek i moreli.

* Jagody: zawierają dużo przeciwutleniaczy fotochemicznych. Na przykład czarna borówka czy jagody goji.

* Suszone owoce: zawierają przeciwutleniacze i witaminy, a także dostarczają energii.

* Zboża: dostarczają energii i zawierają minerały. Na przykład owies i pszenica.

* Oliwa z oliwek: ze względu na swoje działanie antyoksydacyjne, przede wszystkim na skórę.

* Czerwone wino: spożywane z umiarem, ze względu na swoją wysoką zdolność antyoksydacyjną i rozszerzanie naczyń krwionośnych.

Wprowadzenie nawyku trzymania się tej diety pomoże czuć się młodziej i opóźnić przedwczesne starzenie organizmu.

UWAGA: Produktami, które należy wyeliminować z diety, są mąka i cukier rafinowany, wypieki pochodzenia przemysłowego oraz gotowe dania, a także mleko krowie i jego przetwory.

Tytuł i skróty pochodzą od redakcji

Fragmenty książki Hectora García i Francesca Mirallesa *Ikigai. Japoński sekret długiego i szczęśliwego życia*, przekład Katarzyna Mojkowska, Muza SA, Warszawa 2017

Fundacja Jolanty Kwaśniewskiej
„Porozumienie Bez Barier" działa nieprzerwanie od 20 lat.

Od 2013 roku Fundacja prowadzi na terenie całego kraju autorski program pod nazwą „Oswajanie starości".

FUNDACJA JOLANTY KWAŚNIEWSKIEJ
Porozumienie Bez Barier

Przekaż 1% podatku
NA PROGRAM OSWAJANIE STAROŚCI !
Pobierz darmowy program PITax.pl 2016
KRS 0000167578

Wejdź na naszą stronę internetową:
www.fpbb.pl
Odwiedź nas na Facebooku:
www.facebook.com/fundacjapbb

Fundacja Jolanty Kwaśniewskiej
"Porozumienie Bez Barier"
Al. Przyjaciół 8/1a, 00-565 Warszawa
tel./fax: 22 849 96 62
e-mail: radafundacji@fpbb.pl

eprasa.pl cc63cee1ad

1

DWIE TWARZE IRANU

4

FOT. WORLD PRESS PHOTO

eprasa.pl cc63cee1ad

WORLD PRESS PHOTO

Ponad 60% Irańczyków ma mniej niż 30 lat i niewiele wie o swoim kraju sprzed teokratycznych rządów. Jednak propagandowa, oficjalna wersja irańskiego życia zostaje za progiem. W domu dostępne są internet i telewizja satelitarna. Chociaż ciągle jest to przekaz nielegalny, jego ślady zaczynają być widoczne na ulicy czy w kawiarni.

Irańska podróż, autor: Hossein Fatemim. 2. miejsce w kategorii Projekty długoterminowe, historie.

1 Modlący się taksówkarz i młoda para, sierpień 2016 r.
2 Dźwig jako szubienica. Seryjny morderca, nazwany wampirem pustyni, sto razy powieszony na oczach tysięcy widzów, marzec 2004 r.
3 Modlitwy matek męczenników – mężczyzn, którzy zginęli w czasie wojny irańsko-irackiej, listopad 2008 r.
4 Szisza bar. Palenie fajki wodnej przez kobiety w miejscach publicznych jest oficjalnie zakazane, maj 2013 r.
5 Duchowny z rodziną na spacerze, maj 2005 r.
6 Kobiety z paramilitarnych oddziałów Basidż zdają broń po paradzie z okazji święta Aszura, listopad 2008 r.

eprasa.pl cc63cee1ad

PRANIE MÓZGÓW

Przemysław Wojcieszek (PRZEGLĄD nr 8) mówi: „Jakikolwiek lewicowy rząd, który w tym kraju za 20, może 30 lat dojdzie do władzy, powinien przede wszystkim usunąć religię ze szkół na zawsze". Jeśli w Polsce lewicowy rząd nie dojdzie do władzy w ciągu najbliższych kilku lat, to nie dojdzie już nigdy. Jesteśmy w naszym kraju świadkami niesłychanego wręcz prania mózgów, które doprowadziło do tego, że słowa: lewicowy, społeczny, socjalistyczny stały się obelgami. Nikt już nie rozumie ich prawdziwego znaczenia – każdego, kto ma inne zdanie od „jedynie słusznego", nazywa się komuchem albo lewakiem. A jestem przekonany, że większość osób używających tych określeń nie ma pojęcia, co to jest komunizm albo organizacja lewacka.

Ugrupowania lewicowe zostaną trwale wyeliminowane z życia publicznego, ponieważ na zasadzie tresury psów przez Pawłowa będą się kojarzyć ze wszystkim, co złe. Tak jak PRL został sprowadzony wyłącznie do octu na półkach i nikt już sobie nie zada najprostszego pytania: jakim cudem prawie 40 mln ludzi przez ponad 40 lat przeżyło, pijąc ocet.

Polacy wyeliminują lewicowość, ponieważ uważają, że jest to społeczna aberracja! Zastępuje ją prymitywna demagogia i rzucanie ochłapów w postaci 500+. Jak widać – to działa. Nie mam cienia wątpliwości, że cała ta kampania transformacji społecznej jest dobrze zaplanowana i konsekwentnie realizowana.

Przypomnę pewien fakt z historii najnowszej. W pierwszych powojennych wyborach we Włoszech wielkie szanse na zwycięstwo mieli komuniści – był to zapewne efekt odreagowania dwóch dekad faszyzmu. Obawiając się, że kolejne państwo może wpaść do radzieckiej strefy wpływów, CIA rozkręciła wielką kampanię propagandową, której celem była zmiana preferencji wyborczych Włochów. Oczywiście propaganda sączyła się w kościołach. Mistrzowskim posunięciem CIA było zaangażowanie do zniechęcającej akcji włoskiej diaspory w USA. Ludzie ci zaczęli wysyłać do rodzin w starym kraju listy, przestrzegając przed „niewłaściwym wyborem". Wiadomo, że „spontaniczny" list od rodziny jest bardziej wiarygodny niż wiece czy ulotki. Komuniści wybory przegrali.

Włochom o tyle to się opłacało, że w nagrodę dostali pomoc z planu Marshalla. Natomiast Polacy w nagrodę dostają prawo do wydania kolejnych miliardów na amerykańską broń.

Radosław

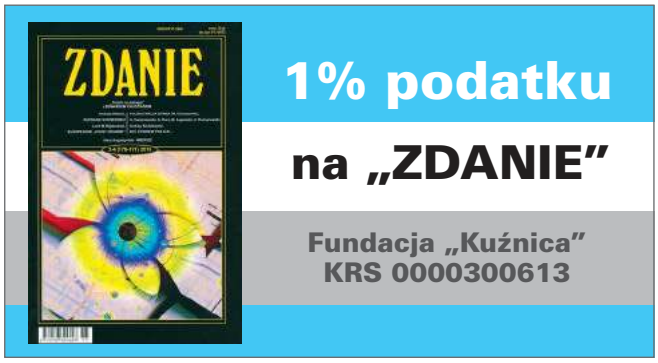

ZNALEZISKO

Badacze dziejów Warmii działający przy Muzeum Nowoczesności Miejskiego Ośrodka Kultury w Olsztynie odnaleźli skradzioną w latach 70. tablicę pamiątkową z cmentarza wsi Dajtki pod Olsztynem. Pochodziła z pomnika z przełomu lat 20. i 30. poświęconego poległym w I wojnie światowej żołnierzom, ówczesnym mieszkańcom Dajtek. Wymienione są na niej m.in. nazwiska: Moczarski, Rykowski, Koslowski, Konieczka, Langowski, Wróblewski, Kornalewski, Schranowski, Orłowski, Wojdowski, Jabłoński, Falkowski, Dombrowski i inni.

Jak podaje znawca historii przedwojennej Warmii, Rafał Bętkowski, owi niemieccy żołnierze, niewątpliwie Warmiacy, walczyli w latach 1914-1918 m.in. w bitwach pod Łodzią i nad Rawką.

W czasie II wojny światowej obywatele niemieccy, w tym Warmiacy i Mazurzy, podbili Polskę, a następnie część ZSRR, zabijali żołnierzy tych państw, dręczyli ludność cywilną, rabowali, palili miasta i wsie. Z tego powodu sporo najeźdźców poległo na okupowanych terenach, a od stycznia 1945 r. żołnierze niemieccy ginęli w Prusach Wschodnich i w innych częściach Niemiec.

Poplątane były więc losy Warmiaków i Mazurów w czasach wojen. Także po II wojnie światowej trudno było tej ludności zaakceptować Polskę, która – wbrew temu, co głosił Związek Polaków w Niemczech – nie okazała się dla nich „Matką naszą".

dr Feliks Walichnowski, Olsztyn

SZKODA ŻYCIA NA BYCIE Z NIEWŁAŚCIWĄ OSOBĄ

Mój były mąż był towarzyski i kochał każdego oprócz swojej rodziny. Miał w zwyczaju popijać z kolegami z pracy. Każdego dnia czekałam na niego z obiadem jak na swojego pana. Nawet teraz, gdy to piszę, odczuwam silny stres, a od tamtego czasu minęło 18 lat.

Któregoś dnia wrócił z pracy pijany w sztok, oczywiście z hordą kolegów i alkoholem. Postawił na stole butelkę wódki i zaprosił kolegów, żeby się rozgościli. Zaprotestowałam. Grzecznie wyprosiłam jego pijanych kolegów z domu. Mąż zareagował agresywnie, doskoczył do mnie. Wzięłam do ręki butelkę, której nie zdążyli dopić, i walnęłam go w pijaną głowę. Po raz pierwszy ze strachem w oczach spojrzał na mnie, nazywając mnie diabłem, ale od tamtej pory nie podniósł na mnie ręki. Owszem, były wyzwiska, ale bez rękoczynów.

Dzisiaj jestem sama, ale nie czuję się samotna. Mam internet w domu, to mi umila czas, a na panów nie mam już ochoty. Pewnie są gdzieś ci fajni, ale nie spotkałam ich na swojej drodze życia. Lepiej żyć samej niż z tyranem pod jednym dachem. Byłego męża nie zabiłam, ale gdybym to zrobiła, miałabym dożywocie przez takie coś, co na początku zapewniało o miłości, a potem podniosło na mnie rękę.

Lepiej żyć samej

eprasa.pl cc63cee1ad

Będzie czystka do spodu

Witold Waszczykowski to wie. Wie, że musi się starać, bo Prezes jest niezadowolony z jego pracy. Sygnały, że Prezes patrzy na Witolda bez entuzjazmu, są łatwe do uchwycenia nawet przez osoby postronne. Swego czasu Prezes mówił o ministerstwach, które ciągną się w ariergardzie. W taborach. Mówiono też, że szefowanie MSZ zaproponował prof. Legutce, ale ten na przyjęcie oferty się nie zdecydował. A jak odebrać ostentacyjną nieobecność Prezesa w Sejmie, gdy szef MSZ prezentował założenia polityki zagranicznej?

A czegóż to Prezes oczekuje od ministra? W czym minister go zawodzi? Odpowiedź na to pytanie jest chyba łatwa – Prezes oczekuje szybszych zmian kadrowych, rozprawienia się z tymi wszystkimi dyplomatami, którym ufał Sikorski, a zwłaszcza tymi, którzy przyszli do MSZ w czasach Geremka, Bartoszewskiego i Skubiszewskiego.

Stąd te wahania Waszczykowskiego. Z jednej strony, korzysta z dyplomatów z długim stażem, bo wie, że bez nich ministerstwo daleko nie ujedzie. Z drugiej – godzi się na obsadzanie najważniejszych placówek ludźmi z poręki PiS. Przymykając oko na to, że powodują oni kłopoty niemal od pierwszych dni urzędowania, jak choćby ambasador Przyłębski w Niemczech. Stąd pewnie też się biorą niemądre ataki ministra na Donalda Tuska, żeby agresją i zaczepliwością przypodobać się Prezesowi.

A i tak widać, że wszystko to za mało, więc teraz w MSZ szykowany jest projekt nowej ustawy o służbie zagranicznej. Pracuje nad nim zespół pod kierownictwem wiceministra Jana Dziedziczaka, swego czasu rzecznika rządu premiera Kaczyńskiego, co wskazuje, że to osoba pewna i zaufana. Już wiadomo, że intencją ustawy będzie wyrzucenie z MSZ wszystkich, którzy studiowali na uczelniach w ZSRR, oraz tych, którzy byli powiązani ze służbami specjalnymi w czasach Polski Ludowej. Czyli ma być dokonana pełna dekomunizacja MSZ. O czym zresztą minister Waszczykowski poinformował na Twitterze, pisząc, że stworzona zostanie szansa, by niechciani przez obecną władzę mogli odejść.

O co tu chodzi?

Biegli w przepisach prawa tłumaczą, że raczej nie będzie możliwe wpisanie do ustawy zakazu pracy dla absolwentów MGIMO lub innych nieprawomyślnych uczelni, więc rozpatrywany jest też inny wariant. Że MSZ na jeden dzień zostanie rozwiązane, wszystkich pracowników się zwolni, a potem kierownictwo przyjmie, kogo będzie chciało.

W ten sposób za jednym zamachem przeprowadzone zostaną dwie operacje. Wyczyszczenie ministerstwa z ludzi niechcianych przez PiS oraz przyjęcie nowych kadr. Jakich? Jeśli przyjrzeć się ruchom kadrowym, wyraźnie widać, że do MSZ regularnie przychodzą nowi ludzie. Z ich kompetencjami jest różnie, ale z rewolucyjnym zapałem do pracy – już świetnie. Na przykład do gabinetu politycznego trafiła pani, która swego czasu była „aniołkiem Kaczyńskiego", Miss PiS albo Angeliną Jolie PiS, czyli Sylwia Ługowska-Bulak. A teraz zajmuje się monitorowaniem w mediach społecznościowych wpisów pracowników MSZ i ich rodzin.

Kobieto, nie pomyliłaś resortów?

Attaché

Dlaczego na kolanach? Słowacki minister finansów Peter Kažimír (z lewej) i jego niemiecki odpowiednik Wolfgang Schauble. Posiedzenie Rady ds. Gospodarczych i Finansowych UE, Bruksela.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl cc63cee1ad

JOLKA

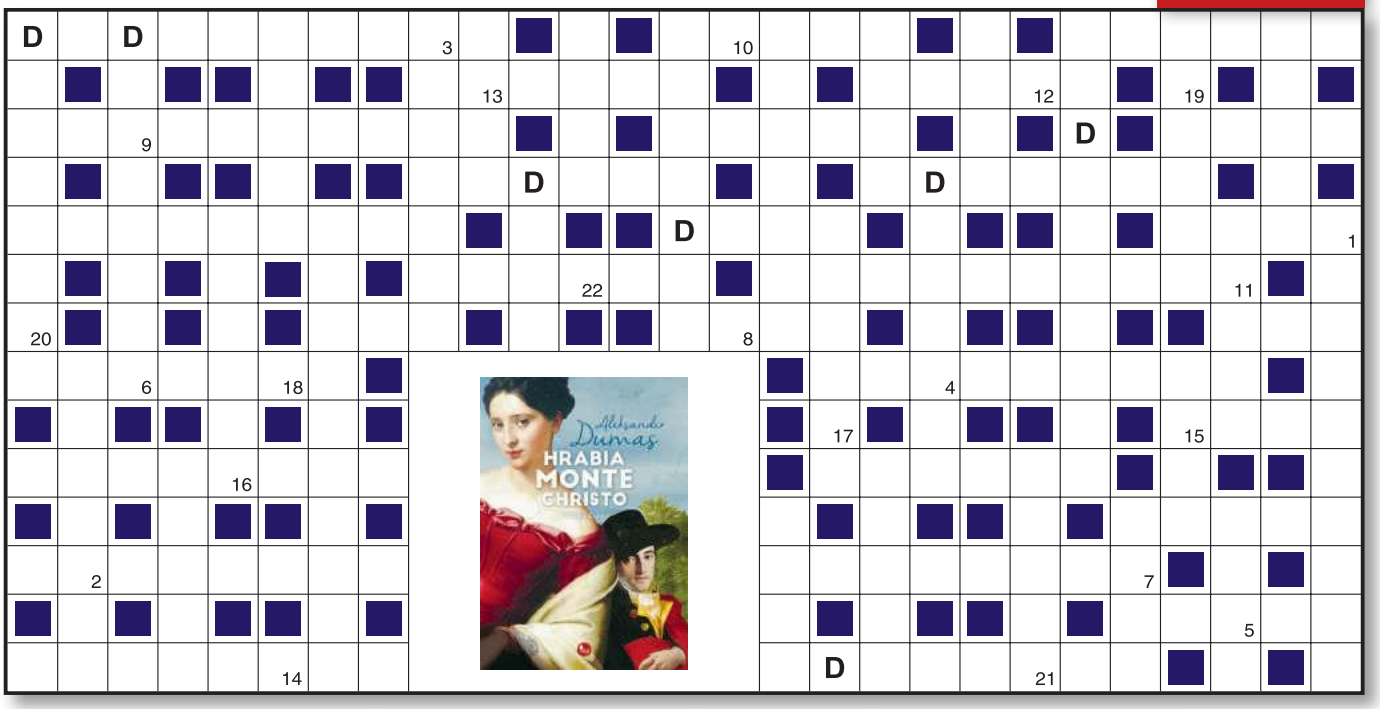

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery D ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- samochód osobowy
- przedświt, jutrzenka
- część tnąca piły
- robiona z gęby, niekoniecznie przez szewca
- podjęte ustalenie
- samowolnie opuścił armię
- bogactwo, dostatek
- dawka, porcja
- w dłoni atlety dłuta Myrona
- na powierzchnię gleby wychodzi po deszczu
- mówić jednym to zgadzać się
- birbant, bibosz
- niegdyś Persja
- czeskie miasto sztucznej biżuterii
- „…Muzykant"
- muza historii
- owad żądny krwi
- tułów lub centralna część
- tu, pod tą gruszką, drzemał…
- graniaste w zabawie
- nieroby, próżniacy
- tekst słowny opery
- kryta wnęka balkonowa
- mięczak w dwuczęściowej muszli
- imię aktora Gibsona
- wzmaganie się
- znieważanie, postponowanie
- Vasco da Gama lub Alexander Fleming
- część widowiska, meczu
- jego atrakcjami zamek i Jaskinia Łokietka
- widzów podziękowanie za granie
- strzelać w nie Panu Bogu to pudłować
- nazwa opactwa w Gościkowie
- pismo z wnioskiem o wszczęcie procesu
- zboże na kaszę jaglaną
- papryka lub curry
- puca
- stary sklerotyk
- …Sylwia, matka Romulusa i Remusa
- zwój, ileś jednakowych monet
- zabawa z dawaniem klapsów, sprzed Greya
- na niego to pod kątem ostrym
- podwyższenie, na którym ścinano
- małpa nam najbliższa
- …wonna, czyli żubrówka
- ślepa lub Złota
- wypoczynek z noclegiem i wiktem
- pik w kartach
- tam walczył kpt. Raginis
- jeden z objawów wścieklizny
- doły, dziury w drodze
- atrofia, uwiąd
- angielskie lub jaskółcze
- misa pod kranem
- Indianie z grupy Pueblo
- głownie, pochodnie
- kamyki na alejkę

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie" i opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych i prawie do ich poprawiania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-796". Do rozlosowania książki „Hrabia Monte Christo. Część 2" ufundowane przez wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu. Aby przesłać hasło krzyżówki, trzeba napisać SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI, np. KRPRZ.796.DZIEŃ DZIECKA. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). SMS-y należy wysyłać pod numer 72037 (płatny 2,46 PLN + VAT) do dnia 5 marca 2017 r.
Rozwiązanie „JOLKI-793" z 12 lutego: ***Wiele daje, kto daje z radością.***
Nagrody otrzymują: Mieczysława Budziszewska z Gorzowa Wielkopolskiego, Jan Kleta z Kielc, Katarzyna Krogulska z Piotrkowa Trybunalskiego.

ĆWICZ UMYSŁ, PÓKI CZAS

1. Znajdź prawidłowe znaki drogowe.
2. Odgadnij hasło i jego autora.

Masz na to pół minuty.

1

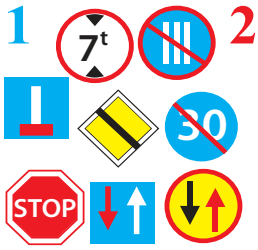

2

Cz	ńs	ze	ec	oł	sp
ło	tw	a.	Ste	el	a#
wi	ek	#n	fan	si	tw
#t	ny	ie	#Ki	Ki	ós
o#	io	za	sie	#–#	ub
do	ąp	st	lew	ski	o#
wó	d#	du	ch	ow	eg

Rozwiązanie na s. 64

eprasa.pl cc63cee1ad

RES HUMANA

PROF. JERZY WIATR,
SOCJOLOG

Papieża Polaka czci się, ale jego przesłania się nie respektuje. Przypomnę choćby stosunek papieża do gen. Wojciecha Jaruzelskiego – pełen szacunku i osobistej sympatii mimo wyraźnych różnic politycznych. Już po opuszczeniu przez prezydenta Jaruzelskiego stanowisk państwowych Jan Paweł II spotykał się z nim, choć nie wynikało to z protokołu dyplomatycznego. Jak to się ma do obecnej kampanii nienawiści prowadzonej przeciw zmarłemu przez Macierewicza i jego akolitów? Hierarchowie Kościoła katolickiego mogliby wywrzeć korzystny wpływ na atmosferę polityczną w kraju, gdyby – jak ich wielcy poprzednicy Jan Paweł II i prymas kard. Stefan Wyszyński – szukali tego, co łączy, i dążyli do zasypywania przepaści, która coraz bardziej dzieli Polaków.

POLSKA

ARKADIUSZ SZCZEŚNIAK,
PREZES ORGANIZACJI STOP BANKOWEMU BEZPRAWIU

Wygrywają interesy najbogatszych. Nie chodzi nawet o banki, ale o te osoby, które posiadają akcje tych banków, jak np. pan wicepremier Mateusz Morawiecki. Nie tylko on, ale i wiele innych osób, które się często wypowiadają w mediach w tej sprawie, mają często duże pakiety akcji. Ciężko jest udawać niezależnego eksperta, jeśli się posiada dość istotny pakiet akcji sektora bankowego. W takich wypadkach można przypuszczać, że te osoby dbają o swój interes.

TYGODNIK ANGORA

PROF. ANDRZEJ SAKSON,
INSTYTUT ZACHODNI W POZNANIU

90% prasy lokalnej jest w niemieckich rękach. Wyjątkową pozycję ma Polska Press należąca do Verlagsgruppe Passau, bawarskiego wydawnictwa, które w Niemczech miało marginalne znaczenie i zupełnie nieoczekiwanie, za niewielkie pieniądze, przejęło większość największych polskich lokalnych gazet. Dziś w pierwszej piątce największych wydawców prasy w Polsce są cztery niemieckie spółki: Bauer (także właściciel RMF oraz Interii), Axel Springer (większościowy udziałowiec Onetu), Polska Press, Gruner + Jahr. W Europie, w Unii Europejskiej jest to sytuacja bez precedensu.

charaktery magazyn psychologiczny

IGNACY KARPOWICZ,
PISARZ

Piloci prezydenckiego tupolewa wyrazili się dosadnie: „Kurwa mać! Kurwa!". Co ciekawe, w tabloidach dodano pilotom: „O, Jezu!". Kilka razy wysłuchałem nagrania z dramatycznych ostatnich chwil, lecz wezwania do świeżo i ponownie intronizowanego Króla Polski nie usłyszałem. Dziwaczny, ale i bardzo polski wydaje mi się ów zabieg uwznioślenia, tak jakby prawdziwy Polak musiał ginąć z odpowiednim imieniem na ustach. Dodanie Syna Bożego ma chyba na celu sakralizację tych śmierci, tak jakby nie uchodziło ginąć ze słowem k...

Doskonałe do grania i inwestowania – eksperci szacują, że skrzypce Antonia Stradivariego prezentowane w Sotheby's w Hongkongu pójdą na aukcji nawet za 2,5 mln dol.

FOT. AFP/EAST NEWS

Aby język giętki…

PROF. ANDRZEJ K. KOŹMIŃSKI O POLSKICH PRZEDSIĘBIORCACH
Podejrzewam, że niemałą część swoich środków ulokowali w bankach zagranicznych.

AGNIESZKA HOLLAND O KOŚCIELE
Sprzedał się PiS, a to była kiedyś w Polsce instytucja budząca zaufanie.

ERNEST BRYLL O PRZYSZŁOŚCI
Przyjdzie czas wstydu za różnego rodzaju działania, wypowiedzi, bezsensowne słowa.

EDWARD DWURNIK O ZDZISŁAWIE BEKSIŃSKIM
Jego malarstwo jest nic niewarte. Jak to oglądam, to chce mi się śmiać.

MAGDALENA BOCZARSKA O „SZTUCE KOCHANIA" MICHALINY WISŁOCKIEJ
Minęło ponad 40 lat, a seks ciągle jest tematem tabu i wciąż nie ma edukacji seksualnej w szkołach.

WŁADYSŁAW KOSINIAK-KAMYSZ O PSL
Jesteśmy partią, na którą PiS wydało wyrok.

KATARZYNA LUBNAUER O ANDRZEJU DUDZIE
Już nawet nie jest notariuszem, bo u notariusza złożenie podpisów pod dokumentami trwa dłużej i notariusz nie chce w środku nocy przyjmować ślubowania.

ROBERT GÓRSKI O KRYSTYNIE PAWŁOWICZ
Nie zna mnie i szczerze mówiąc, niech tak zostanie.

KINGA PREIS O REKLAMIE
Gdy patrzę na gwiazdeczki, które na sekundę pojawiają się w serialu i grają reklamę za reklamą, mam poczucie niesprawiedliwości.

ZBIGNIEW WODECKI O RODZINIE
Rodzina to kareta, którą koń musi ciągnąć. I ciągle na tej karecie mi przybywało.

PIOTR NAJSZTUB O WYWIADZIE Z ANITĄ WERNER
Zapytałem ją, czy nosi majteczki w kropeczki, bo chciałem ją rozluźnić. A skądinąd wiedziałem, że nosi taką bieliznę.

PIOTR FRONCZEWSKI O KASI UCHERSKIEJ
Świetna dziewczyna, temperamentna, a przede wszystkim myśląca aktorka z dużym poczuciem humoru.

eprasa.pl cc63cee1ad

MEMY BEZ ŚCIEMY

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

BOSKOŚĆ NIE DLA GUCCIEGO

Dom mody Gucci zamarzył sobie zorganizowanie pokazu nowej kolekcji na Akropolu. Zaoferował 2 mln euro, ale Grecja (jak informuje Spiegel.de) odrzuciła ofertę, gdyż zgody nie wyraziła Centralna Rada Archeologiczna Grecji. Gucci musi więc w inny sposób stworzyć „boski" klimat swojego pokazu – w końcu to tylko ubrania dla śmiertelników.

ZAANGAŻOWANY TATA

Najnowsza kampania firmy Mattel, producenta słynnych Barbie, pokazuje ojców zaangażowanych w zabawę lalkami. Kampania ma podkreślać ważną rolę ojca w życiu dziewczynki i jego wpływ na rozwój emocjonalny i społeczny dziecka. Rola ojca to zadanie wszechstronne – musi się sprawdzić i kopiąc piłkę, i bawiąc lalkami.

AMBITNA SIEDMIOLATKA

Siedmioletnia Brytyjka Chloe Bridgewater napisała list motywacyjny w sprawie pracy i wysłała do firmy Google. Dziewczynka lubi się uczyć, jest ambitna i uwielbia nowe technologie. Prezes Google Sundar Pichai przeczytał list i odpisał jej, zachęcając do dalszej nauki i wytrwałej pracy. Zapewnił, że będzie czekał na jej podanie, gdy skończy szkołę. Ciekawe, czy będzie na nią czekała posada?

SMAK KSZTAŁTU

Brytyjska firma projektowa Michel/Fabian odkryła, że kształt sztućców ma wpływ na smak potraw. Stworzyła więc

Uzależnienie od internetu

Odpowiedz na poniższe pytania TAK lub NIE.

1. Czy czujesz się zaabsorbowana/y internetem do tego stopnia, że ciągle rozmyślasz o odbytych sesjach internetowych i/lub nie możesz doczekać się kolejnych?

2. Czy odczuwasz potrzebę zwiększenia ilości czasu spędzanego w internecie, aby uzyskać większe zadowolenie (mieć więcej satysfakcji)?

3. Czy podejmowałaś/eś wielokrotnie nieudane próby kontrolowania, ograniczania lub zaprzestania korzystania z internetu?

4. Czy odczuwałaś/eś wewnętrzny niepokój, miałaś/eś nastrój depresyjny albo byłaś/eś rozdrażniona/y, kiedy próbowałaś/eś ograniczyć lub przerwać korzystanie z internetu?

5. Czy zdarza ci się spędzać w internecie więcej czasu, niż pierwotnie zaplanowałeś?

6. Czy kiedykolwiek ryzykowałaś/eś utratę bliskiej osoby, ważnych relacji z innymi ludźmi, pracy, nauki albo kariery zawodowej w związku ze spędzaniem zbyt dużej ilości czasu w internecie?

7. Czy kiedykolwiek skłamałaś/eś swoim bliskim, terapeutom albo komuś innemu, by ukryć nadmierne zainteresowanie internetem?

8. Czy używasz internetu w celu ucieczki od problemów albo uniknięcia nieprzyjemnych uczuć (np. poczucia bezradności, winy, niepokoju lub depresji)?

Wyniki

0-3 odpowiedzi TAK
Gratulacje! Nie masz wcale lub masz niewiele objawów uzależnienia od internetu.

4 odpowiedzi TAK
Ten wynik to ostrzeżenie. Masz niebezpieczną skłonność, by traktować sieć jako ucieczkę od rzeczywistości, co grozi uzależnieniem. Lepiej ogranicz czas spędzany w internecie, bo świat realny z czasem upomni się o swoje prawa. Uważaj, bo wkrótce będziesz spędzał więcej czasu z komputerem niż z realnymi ludźmi. Poszukaj innych sposobów spędzania wolnego czasu i wyjdź do ludzi.

5-8 odpowiedzi TAK
Jesteś uzależnionay od internetu. Zapewne traktujesz sieć jako ucieczkę od rzeczywistości. Konsekwencją takiej postawy mogą być problemy rodzinne, małżeńskie, zawodowe oraz twoja izolacja społeczna. Zastanów się nad kontaktem z psychologiem. Pamiętaj, że te wyniki mają tylko wartość informacyjną i nie mogą zastąpić diagnozy psychologicznej ani lekarskiej.

Źródło: portal Psychologia.net.pl

„PRZEGLĄD" NA ANTENIE
POSŁUCHAJ, O CZYM PISZEMY
RDC Warszawa 101 FM DAB+
RADIO PARADA 96.00 FM Łódź 96 FM

ĆWICZ UMYSŁ, PÓKI CZAS – ODPOWIEDZI:

1. stop, pierwszeństwo na zwężonym odcinku drogi
2. Człowiek niezastąpiony to dowód duchowego ubóstwa społeczeństwa. Stefan Kisielewski – Kisiel

eprasa.pl cc63cee1ad

Zatroskanie i uśmiech w polityce. Christine Lagarde i Angela Merkel przed debatą o finansowej pomocy dla Grecji oraz Theresa May i książę Abu Zabi, szejk Muhammad ibn Zaid an-Nahajana przed „omawianiem spraw bezpieczeństwa regionalnego, obrony i handlu".

łyżkę, której kształt nawiązuje do palca ma ona dawać więcej przyjemności podczas jedzenia. Podobno kształt ten kojarzony jest często z beztroskimi latami dzieciństwa. Zachodzimy w głowę, jak taką łyżką zjeść zupę.

KOLEJNA BIAŁA ŚMIERĆ

Badania szwedzkich naukowców wskazują, że osoby spożywające nadmierne ilości mleka są w wysokim stopniu zagrożone wczesną śmiercią. Nadużywanie mleka powoduje bowiem nieznaczny, ale chroniczny stan zapalny organizmu, co staje się przyczyną skrócenia życia. Zanim zostaną wydane ostateczne rekomendacje, trzeba jednak przeprowadzić więcej kompleksowych badań. Już wiemy, dlaczego właściciel najważniejszych kotów w kraju dorosłym osobnikom mleka nie daje.

WYCINKA DRZEW

Idzie turysta przez Podhale, patrzy, a góral Szyszko (co za zbieżność nazwisk jego i ministra) ścina drzewa. Pyta więc turysta: – Gazdo, a gdzie się nauczyliście tak drzewa ścinać? – Na Saharze – odpowiada góral. – Przecież na Saharze drzewa nie rosną! – No, teraz już nie!

FOT. AFP/EAST NEWS, WWW.SOKZBURAKA.PL, IMGFLIP.COM

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 (22) 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax (22) 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
redakcja@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

REDAGUJE KOLEGIUM
Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Kacper Leśniewicz, Bartosz Machalica, Mariola Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Maciej Polkowski, Michał Sobczyk Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Katowice)
Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Agnieszka Szeszko
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska **Fotoreporterzy:** Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy: Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
p.o. Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy: Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji: Sandra Zawadzka

Redakcja zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Rozpowszechnianie artykułów bez zgody wydawcy jest zabronione.

Druk: Drukarnia Prasowa SA w Łodzi, al. Piłsudskiego 82
Prnumeratę krajową od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu „Przeglądu". Prenumerata roczna – 250 zł, półroczna – 130 zł, kwartalna – 70 zł
Prenumerata zagraniczna pocztą priorytetową jeden kwartał: Europa, Ameryka Płn., Afryka, Ameryka Płd., Azja, Australia i Oceania – 225 zł. Wpłata za prenumeratę krajową i zagraniczną na konto **Nr 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821.** Dodatkowe informacje o prenumeracie **Dział Kolportażu:** tel. +48 (22) 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Prenumerata realizowana przez RUCH S.A.: Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać na stronie **www.prenumerata.ruch.com.pl.** Pytania prosimy kierować na adres e-mail: **prenumerata@ruch.com.pl** lub do Centrum Obsługi Klienta „RUCH" tel.: +48 (22) 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7.00-17.00.

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
Sąd Rejonowy dla m. st. Warszawy
XIII Wydział Gospodarczy KRS nr 0000198445

Projekt graficzny
ARTREPUBLICA
Rafał Poławski
i Magdalena Jonas-Poławska

Finansowe wspieranie „Przeglądu" Fundacja Oratio Recta

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl cc63cee1ad

Barnaby Barford „Do it again, I didn't press record"

Michael Craig-Martin „...and a Cello"

Nancy Fouts „ Still life +real Life"

Janne Malmros „Un fold"

Nature morte

Muzeum Sztuki Współczesnej
we Wrocławiu
Pawilon Czterech Kopuł,
ul. Wystawowa 1
do 14 maja

Punktem wyjścia do tej ekspozycji była książka „Nature morte" Michaela Petry'ego, dyrektora londyńskiego Museum of Contemporary Art (MOCA), w której analizował rozmaite współczesne próby reinterpretacji martwej natury. Kuratorzy skupiają się na dziełach współczesnych i traktują ten motyw w możliwie szerokim kontekście, sięgając do zupełnie nowych i niekonwencjonalnych ujęć. Wystawa podróżuje i w każdym miejscu, w którym się pojawia, wygląda trochę inaczej, wciąż jednak obejmując pięć tematów: florę, faunę, jedzenie, przedmioty domowe oraz śmierć.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl cc63cee1ad

stowarzyszenie
ICHLEPSZEJUTRO
www.ichlepszejutro.pl

LAUREAT PRESTIŻOWYCH NAGRÓD

ZŁOTA RÓŻA TEMI

KRYSZTAŁY SOLI

Podaruj nam 1% podatku
KRS 0000237677

Od ponad 10 lat pomagamy dzieciom z niepełną sprawnością

1% od Państwa
to konkretna pomoc najmłodszym

w naszych placówkach:

- Aktywnej Świetlicy Terapeutycznej
- Przedszkolu „Mały Książę" dla dzieci z autyzmem
- Gabinecie Integracji Sensorycznej
- Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej

organizacja pożytku publicznego opp.

1% NIEJEDEN UŚMIECH!

Dziękujemy, że zmieniają Państwo ICH JUTRO na LEPSZE

eprasa.pl cc63cee1ad

Akademia Humanistyczna
im. Aleksandra Gieysztora

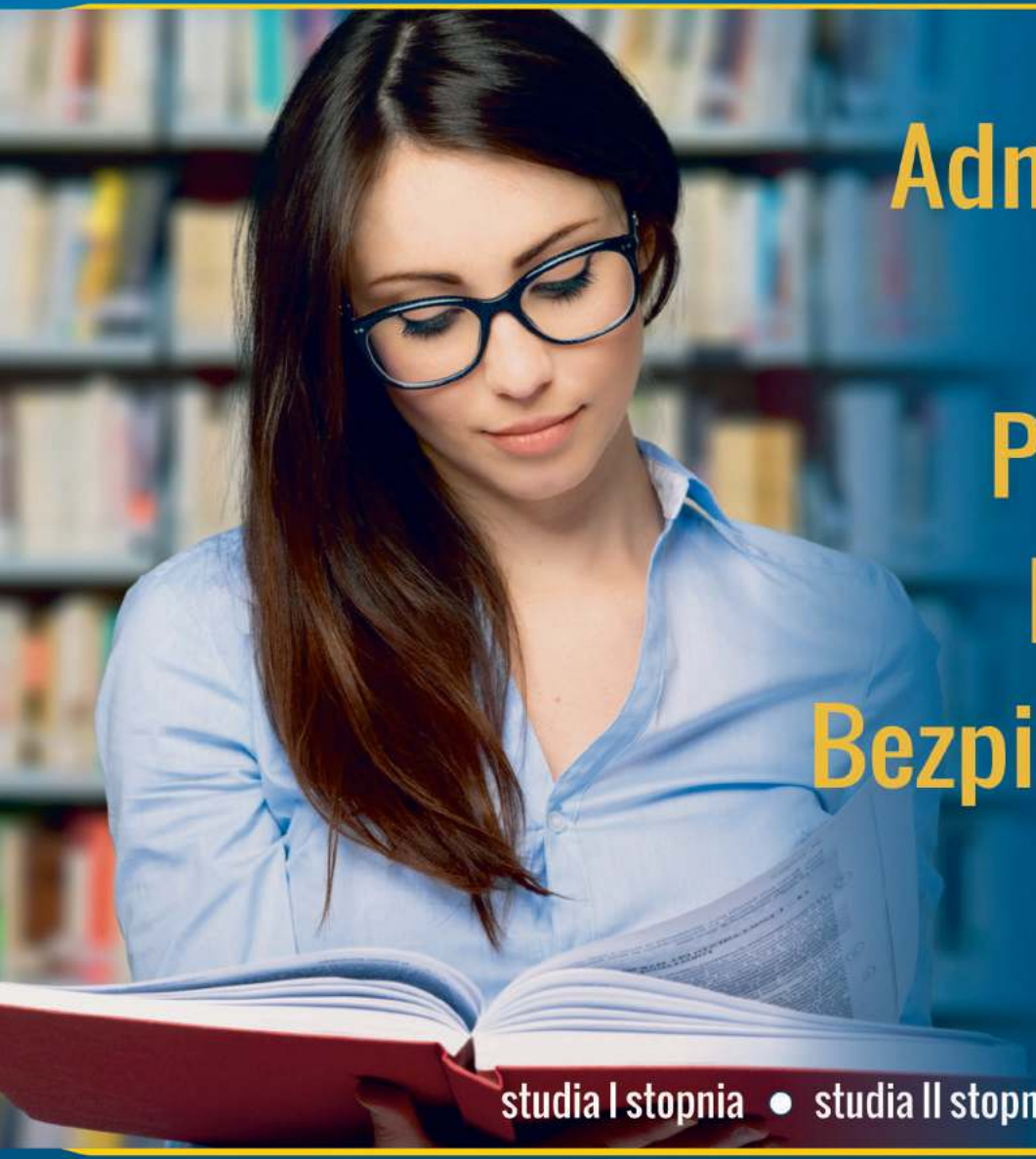

Administracja
Historia
Pedagogika
Politologia
Bezpieczeństwo Narodowe

studia I stopnia • studia II stopnia • studia podyplomowe

seminaria doktorskie w dyscyplinie historii i nauk o polityce

INFORMACJE I ZAPISY

Biuro Rektora
ul. Daszyńskiego 17, 06-100 Pułtusk
tel. 23 692 98 13 do 16, e-mail: rektorat@ah.edu.pl

www.ah.edu.pl

eprasa.pl cc63cee1ad